

**MEG CABOT**

**MAGICZNY PECH**

# 1

Rzecz w tym, że ja zawsze miałam takie pieskie szczęście. Patrzcie tylko, jak mi na imię: Maggie. Nie Madelaine ani Margaret. Po prostu Maggie. Kiedyś, na wsi, słyszałam, jak ktoś wołał tak na krowę!

Mieszkam w zapadłej dziurze w stanie Iowa. I w dodatku jestem dziewczyną, która ma imię dobre dla jakiejś mučki.

Właśnie taki pech mnie prześladuje. Pech, który towarzyszył mi, zanim jeszcze mama zdążyła wypełnić akt urodzenia.

Dlatego wcale się nie zdziwiłam, kiedy kierowca taksówki nie pomógł mi z walizkami. Już wcześniej zdążyłam się przekonać, że na lotnisku, po przylocie, nikt na mnie nie czekał, a potem nikt nie odpowiadał na moje liczne telefony z pytaniem, gdzie się podziali ciocia i wujek. Może jednak nie chcieli mnie u siebie? Czyżby zmienili zdanie? Doszło do nich coś na temat mojego pecha - aż z Iowy - i stwierdzili, że nie chcą się nim zarazić?

Ale nawet, jeśli to prawda, nic nie poradzę - powtarzałam to sobie z milion razy od chwili, kiedy dotarłam do hali przylotów, gdzie miałam się z nimi spotkać i gdzie nie zobaczyłam nikogo poza tragarzami i kierowcami limuzyn, którzy na niewielkich tabliczkach mieli powypisywane wszystkie nazwiska świata poza moim. Do domu wracać w żadnym razie nie mogłam. To był wybór między Nowym Jorkiem - domem ciotki Evelyn i wuja Teda a jedną wielką wpadką.

Więc kiedy taksówkarz, zamiast wysiąść i pomóc mi z tobołkami, przycisnął tylko jakiś guziczek, żeby klapa bagażnika uchyliła się o parę centymetrów, to wcale nie była najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła. To nawet nie była najgorsza rzecz, jaka mi się przydarzyła tego dnia.

Wyciągnęłam walizki, każda ważyła, co najmniej pięćset ton - jedynie skrzypce w pokrowcu były lżejsze - a potem zamknęłam bagażnik, cały czas stojąc na środku Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Za moimi plecami niecierpliwie roztrąbił się sznureczek samochodów, które nie mogły przejechać, bo po przeciwnej stronie ulicy, przy której stoi dom cioci i wujka, zaparkował na drugiego żółty busik firmy czyszczącej, dywany.

Dlaczego ja? Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

Taksówka odjechała tak szybko, że musiałam praktycznie skoczyć pomiędzy dwa zaparkowane auta, żeby mnie nie potrafiła. Trąbienie ustało, jak tylko sznur czekających za nią samochodów znów ruszył, a ich kierowcy, bez wyjątku, mijając mnie, rzucali nieprzyjazne spojrzenia.

Właśnie te spojrzenia spode łba przekonały mnie ostatecznie, że naprawdę znalazłam się w Nowym Jorku. Nareszcie.

I owszem, kiedy przejeżdżaliśmy przez most Triboro, widziałam z taksówki zarys wieżowców na tle nieba... Wyspę Manhattan, w całej jej surowej świetności, z Empire State Building sterczącym pośrodku jak wyciągnięty w górę wielki, jarzący się światłem, środkowy palec.

Ale to te spojrzenia spode łba upewniły mnie na sto procent. W domu, w Hancock, nikt by się nie zachowywał tak wrednie wobec kogoś, kto ewidentnie przyjechał spoza miasta.

Nie żeby w Hancock pojawiało się aż tak wielu przyjezdnych. No, ale nieważne.

Poza tym ta ulica, na której się znalazłam... Wyglądała dokładnie jak te, które pokazują w telewizji, kiedy chcą, żeby człowiek się zorientował, że akcja toczy się w Nowym Jorku. Na przykład w Prawie i porządku. No wiecie, takie wąskie dwu - albo trzypiętrowe kamieniczki z elewacją z piaskowca, z jaskrawo pomalowanymi frontowymi drzwiami i kamiennymi schodkami...

Według mojej mamy, większość tych nowojorskich kamieniczek, kiedy je w XIX wieku pobudowano, stanowiła domy jednorodzinne. Ale teraz podzielono je na osobne mieszkania, więc zwykle na każdym piętrze mieszka jedna rodzina - a czasami nawet dwie lub więcej.

Ale nie w przypadku kamieniczki siostry mojej mamy, Evelyn. Ciocia Evelyn i wujek Ted są właścicielami wszystkich trzech pięter domu. To praktycznie jeden poziom domu dla jednej osoby, skoro ciocia i wujek mają tylko troje dzieci: Tory, Teddy'ego i Alice.

My w domu mamy tylko parter i jedno piętro, za to mieszka tam aż siedem osób. I jest tylko jedna łazienka. Nie, żeby narzekała. Mimo to, odkąd moja siostra Courtney odkryła zalety szczotko - suszarki, w domu zrobiło się zdecydowanie kiepskawo.

Chociaż wysoki, dom cioci i wujka był naprawdę wąski - zaledwie na trzy okna. A jednak, wyglądał ładnie, stylowo, pomalowany na szaro i z nieco jaśniejszymi szarymi wykończeniami. Drzwi miały jasny, radosny żółty kolor. U podstawy okien stały żółte skrzynki kwiatowe, z których wylewały się jaskrawoczerwone pelargonie - najwyraźniej świeżo zasadzone, bo była zaledwie połowa kwietnia i jeszcze za chłodno na takie kwiaty.

To miłe, że nawet w takim wyrafinowanym mieście jak Nowy Jork ludzie nadal rozumieją, że skrzynka pełna pelargonii wygląda naprawdę zachęcająco i przytulnie. Widok tych pelargonii nieco mnie podniósł na duchu.

Hm... może ciocia Evelyn i wujek Ted po prostu zapomnieli, że dzisiaj przylatuję, a nie celowo nie przyjechali po mnie na lotnisko, bo się rozmyślili i nie chcą, żebym u nich

mieszkała.

Może jednak wszystko się jakoś ułoży.

Tak... Z moim pechem to raczej mało prawdopodobne.

Ruszyłam po schodkach prowadzących do frontowych drzwi domu z numerem 326 przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej ulicy, i wtedy dotarło do mnie, że nie dam sobie rady z obiema walizkami i skrzypcami na raz. Zostawiłam jedną walizkę na chodniku, a drugą wciągnęłam po schodach, pokrowiec ze skrzypcami trzymając pod pachą. Pierwszą walizkę i skrzypce złożyłam pod drzwiami, a potem od razu wróciłam po drugą.

Tylko, że chyba zbiegłam po tych schodkach za szybko, bo potknęłam się i o mało nie walnęłam nosem o chodnik. W ostatniej chwili udało mi się złapać równowagę i chwyciłam się sztachet parkanu z kutego żelaza, którym Gardinerowie otoczyli pojemniki na śmieci. I kiedy wisiałam na tych sztachetach, nieco oszołomiona po niedoszłej katastrofie, jakaś elegancka starsza pani wyprowadzająca na spacer coś, co przypominało szczura na smyczy, (choć to coś jednak musiało być pieskiem, bo nosiło kubraczek w kratkę) minęła mnie, zerkając podejrzliwie i kręcąc głową. Zupełnie jakbym rzuciła się na łeb, na szyję z frontowych stopni domu Gardinerów specjalnie po to, żeby ją wystraszyć, czy coś.

W domu, w Hancock, gdyby ktoś zobaczył, że ktoś inny prawie spadł ze schodów - nawet ktoś taki jak ja, kto niemal codziennie o mało nie spada z jakichś schodów - wysiliłby się na coś w rodzaju: „Nic ci się nie stało?”

Na Manhattanie najwyraźniej jest zupełnie inaczej.

Dopiero kiedy starsza pani ze swoim szczurem poszła dalej, usłyszałam jakiś odgłos. Prostując się - i widząc, że dłonie mam całe pokryte rdzą z parkanu, którego się przytrzymałam - zobaczyłam, że drzwi numeru 326 otworzyły się i że z podestu spogląda na mnie ładna jasnowłosa dziewczyna.

- Hej... - odezwała się z zaciekawieniem.

Od razu zapomniałam o starszej pani i jej szczurze oraz moim niedoszłym upadku na chodnik. Uśmiechnięta szybko wróciłam po schodkach na górę. Choć trudno mi było uwierzyć, że aż tak się zmieniła, bardzo się ucieszyłam na jej widok... I bardzo się zmartwiłam, że ona może moim widokiem nie cieszy się tak samo.

- Witaj, Tory - powiedziałam.

Dziewczyna, bardzo malutka i bardzo jasnowłosa, zamrugła, patrząc tak, jakby mnie nie poznawała.

- Nie, ja nie jestem Tory. Jestem Petra. - Dopiero wtedy zauważyłam, że dziewczyna mówi z akcentem... Jakimś takim europejskim. - Pracuję u Gardinerów jako au pair.

- Aha - mruknełam niepewnie. Nikt mi nic nie wspominał o żadnej au pair. Na szczęście wiedziałam, co to słowo znaczy, bo kiedyś obejrzałam odcinek Prawa i porządku, w którym taką jedną au pair podejrzewano, że zamordowała dzieci, którymi miała się opiekować.

Wyciągnęłam w stronę dziewczyny swoją uwalaną rdzą prawą rękę.

- Cześć - rzuciłam. - Jestem Maggie Honeychurch. Evelyn Gardiner to moja ciocia...

- Maggie? - Petra odruchowo potrząsnęła moją dłoń. Teraz ścisnęła ją mocniej. - Och, znaczy się Maga?

Skrzywiłam się nie tylko ze względu na mocny uścisk dłoni tej dziewczyny - a była naprawdę silna jak na tak drobniutką osobę. Skrzywiłam się przede wszystkim dlatego, że reputacja najwyraźniej mnie wyprzedziła, jeśli ta au pair знаła mnie raczej jako Mage niż Maggie.

- Właśnie - sapnęłam. Bo co innego miałam zrobić? I to by było na tyle, jeśli chodzi o zaczynanie wszystkiego od nowa w miejscu, gdzie nikt nie zna mojego mało pochlebnego przezwiska. - Rodzina mówi na mnie Maga.

I będzie tak już zawsze, jeśli nie zdołam jakoś pozbyć się tego swojego pecha.

## 2

- Megge, ty miałaś przyjechać dopiero jutro! - zawołała Petra.

Twarda gula ściskająca mi żołądek nieco odpuściła. Przynajmniej odrobinę.

Powinnam była wiedzieć. Powinnam była się domyślić. Ciocia Evelyn na pewno by o mnie nie zapomniała.

- Nie - odparłam. - Miałam przyjechać dzisiaj.

- Och, nie - zaprotestowała Petra, nadal potrząsając moją ręką. Zaczynałam tracić czucie w palcach. Poza tym, miejsca, gdzie sobie obtarłam skórę, chwytając się żelaznego parkanu, też trochę protestowały. - Jestem pewna, że twoja ciocia i wujek mówili, że jutro. Och! Strasznie się zmartwiła! Chcieli wyjechać po ciebie na lotnisko. Alice nawet plakat namalowała... Sama aż taki kawał drogi przyjechałaś? Taksówką? Tak bardzo mi przykro! O Boże, wchodź, wchodź do środka!

Z serdecznością, która przeczyła jej drobnutkiej posturze - ale pasowała do uścisku dłoni - Petra uparła się, że weźmie obie moje walizki i sama je wniesie do środka, dla mnie zostawiając pokrowiec ze skrzypcami. Potężny ciężar walizek wydawał się wcale nie robić na niej wrażenia, a ja w ciągu zaledwie dwóch minut dowiedziałam się, dlaczego. Petra okazała się niemal taką samą gadułą jak moja najlepsza przyjaciółka w Hancock, Stacy. Opowiadała, że przeprowadziła się do Nowego Jorku z rodzinnych Niemiec, bo chce zostać fizjoterapeutką. I że codziennie jeździ do szkoły w Westchester, na przedmieściach Nowego Jorku, gdzie uczą fizjoterapii. A tam, kiedy nie ma zajęć, musi dźwigać ciężkich ludzi i pomagać im wchodzić do basenów, i na nowo uczyć ich, po wypadkach albo udarach, jak posługiwać się własnymi kończynami i tak dalej.

To wyjaśniało, skąd u niej taka siła. Przez to całe dźwiganie ciężkich pacjentów i tym podobne.

Petra mieszkała u Gardinerów. Jej opieka nad moim młodszym ciotecznym rodzeństwem była zapłatą za czynsz i utrzymanie. A kiedy dzieci codziennie szły do szkoły, ona jechała do Westchester. Za rok, gdy zdobędzie dyplom, będzie mogła starać się o pracę w jakimś gabinecie rehabilitacyjnym.

- Gardinerowie są dla mnie bardzo mili - mówiła Petra, niosąc moje walizki do pokoju gościnnego na drugim piętrze, jakby nie ważyły więcej niż kilka płyt CD.

Wcale nie wyglądało na to, że między zdaniami Petra musi złapać oddech. Zadziwiająco, zwłaszcza że angielski to nie jej ojczysty język.

W takim razie po niemiecku nawija pewnie jeszcze szybciej.

- I jeszcze do tego trzysta dolarów na tydzień mi płacą - ciągnęła Petra. - Wyobraź sobie, mieszkać na Manhattanie za darmo, mieć do tego wyżywienie i jeszcze dostawać od kogoś trzysta dolarów tygodniowo! Przyjaciele w Bonn mówią, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Państwo Gardiner są teraz dla mnie jak mama i tata. A ja kocham Teddiego i Alice, jakby to były moje własne dzieci. No cóż, mam dopiero dwadzieścia lat, a Teddy ma dziesięć, więc chyba nie mógłby być moim synem. Ale może jak własne młodszemu rodzeństwo. O, to właśnie twój pokój.

Mój pokój? Zajrzałam przez próg do środka. Sądząc po tym, na co udało mi się zerknąć w pozostałej części domu, kiedy szliśmy na górę po schodach, wiedziałam, że najbliższe miesiące spędzę, pływając się w luksusach...

Ale pokój, w którym Petra postawiła moje walizki, zaparł mi dech w piersiach. Totalnie przepiękny... Miał białe ściany, kremowe, zdobione złoceniami meble i różowe jedwabne zasłony. Był tam nawet marmurowy kominek.

- On nie działa - poinformowała mnie Petra ze smutkiem, jakby myślała, że liczyłam na działający kominek w moim nowym pokoju, czy coś.

Naprzeciwko były drzwi do łazienki. Słońce wpadało przez okna i na jasnoróżowej wykładzinie malowało cętkowany wzór.

Oczywiście z miejsca wiedziałam, że coś jest nie tak. To była najładniejsza sypialnia, jaką w życiu widziałam. Sto razy ładniejsza niż moja własna w domu. No i tam musiałam dzielić pokój z Courtney i Sarabeth, moimi młodszymi siostrami. W sumie, to będzie pierwszy raz, kiedy będę mogła spać sama w pokoju.

A ja nigdy w życiu nawet sobie nie wyobrażałam, że mogłabym mieć łazienkę tylko dla siebie.

Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Ale ze swobody, z jaką Petra poruszała się po pokoju, strzepując z różnych rzeczy jakieś wymaginowane pyłki kurzu, mogłam wnioskować, że jednak się zdarzają. I nie tylko się zdarzają, ale jeszcze, że... w gruncie rzeczy nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Łau - tylko tyle zdołałam wykrztusić. To było pierwsze słowo, które udało mi się wtrącić, odkąd Petra zaczęła do mnie mówić jeszcze przy drzwiach wejściowych.

- Tak - powiedziała prostując się Petra. Myślała, że chodzi mi o ten pokój. Ale mnie naprawdę chodziło o... no cóż, wszystko razem. - Bardzo ładny, prawda? Ja mam w tym domu własne mieszkanie, z osobnym wejściem, na dole, wiesz? Na parterze. Pewnie go nie widziałaś. Drzwi wejściowe są pod frontowymi schodkami. I są jeszcze tylne drzwi, z ogrodu. I mam też własną, osobną kuchnię. Dzieci przychodzą czasem wieczorem, a ja im pomagam

przy odrabianiu lekcji, albo oglądamy razem telewizję, bardzo tam przytulnie. Ten pokój jest naprawdę fajny.

- A weź, nic mi nie mów - rzuciłam bez tchu. Mama mówiła mi, że cioci Evelyn i jej rodzinie dobrze się powodzi - jej mąż, a mój wujek, ostatnio awansował na prezesa firmy, dla której pracuje, a ciocia Evelyn, dekoratorka wnętrz, dodała do swojej listy klientów kilka supermodelek.

Ale i tak nic nie mogło mnie przygotować... na to. I to było moje. Wszystko.

No cóż, przynajmniej przez jakiś czas. Dopóki jakoś tego nie zepsuję.

A skoro jestem, kim jestem, wiedziałam, że to nie potrwa długo. Ale przecież na razie mogłam się tym cieszyć.

- Państwu Gardinerom będzie bardzo przykro, że nie mogli cię przywitać - mówiła Petra, podchodząc do wielkiego łóżka i niezwykle starannie układając stos poduszek, które opierały się o pikowane wezgłowie. - A jeszcze bardziej ich zmartwi, że dni pomylili. Oboje są jeszcze w pracy. Ale Teddy i Alice niedługo ze szkoły do domu wrócą. Oboje bardzo się cieszą, że kuzynka Maga przyjeżdża na dłużej. Alice zrobiła dla ciebie powitalny plakat. Miała zamiar trzymać go na lotnisku, kiedy do nich wyjdiesz, ale teraz... No cóż, może będziesz mogła powiesić go tu na ścianie w swoim pokoju? Musisz udawać, że sprawiła ci tym przyjemność, nawet jeśli tak nie jest, bo ona się nad nim naprawdę napracowała. Rozumiesz, pani Gardiner nie wieszala nic u ciebie na ścianach, bo chciała zaczekać i zobaczyć, co lubisz. Mówi, że to już pięć lat, odkąd cię widzieli po raz ostatni!

Petra popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Widocznie w Niemczech rodziny bywają bardziej zżyte i odwiedzają się nawzajem znacznie częściej niż w Stanach... A przynajmniej częściej niż w mojej rodzinie.

Pokiwałam głową.

- Tak, to by się zgadzało. Ciocia Evelyn i wujek Ted przyjechali do nas z ostatnią wizytą, kiedy miałam jedenaście lat... - urwałam. A to, dlatego, że zauważyłam wreszcie tę wielką łazienkę, gdzie wszystkie kurki były z mosiądzu i miały kształt łabędzich głów, więc woda wylatywała z rzeźbionych ptasich dziobów. Nawet uchwyty do ręczników ozdobiono na końcach łabędzimi główkami. Na widok wszystkich tych wspaniałości zaczęło mi trochę zasychać w ustach. No, bo, czym sobie na to wszystko zasłużyłam?

Niczym. A już zwłaszcza ostatnio.

Przecież właśnie, dlatego znalazłam się w Nowym Jorku.

- A gdzie Tory? - zapytałam, próbując jakoś zmienić temat. Lepiej nie rozmyślać o tym, dlaczego jestem tu, w Nowym Jorku, a nie w Hancock. Zwłaszcza, że ile razy o tym



myślałam, wzmagął się ten paskudny ucisk w żołądku. - Kiedy wraca ze szkoły?

- Och - westchnęła znowu Petra. Ale to „och” jakoś się różniło od wszystkich innych, które Petra już zdążyła z siebie wydać. Zauważyłam to od razu. Poza tym, chociaż przedtem Petra opowiadała mi różne rzeczy z wyraźnym entuzjazmem, teraz opuściła wzrok i odezwała się niechętnie, lekko wzruszając ramionami: - No, Tory już wróciła ze szkoły do domu. Jest z tyłu, w ogrodzie, ze znajomymi.

Petra machnęła ręką w stronę jednego z dwóch okien naprzeciwko łóżka. Podeszłam do niego, ostrożnie odsuwając białą, zwiewną firankę - była delikatna jak pajęczyna - i spojrzałam w dół... a tam zobaczyłam ogród jak z bajki.

A przynajmniej na mnie zrobił takie wrażenie. Dobra, przywykłam do naszego podwórka na tyłach domu w Hancock, zawalonego rowerami i plastikowymi zabawkami mojego młodszego rodzeństwa, z huśtawką, wybiegiem dla psa, zarośniętymi grządkami warzywniaka mamy i wielkimi kopcami ziemi usypanymi przez tatę, wiecznie pracującego nad jakąś kolejną przybudówką, której nigdy jakoś nie udaje mu się dokończyć.

Ten ogród wyglądał jednak jak prosto z telewizji. I to wcale nie z Prawa i porządku, ale już raczej z MTV Cribs. Z trzech stron otoczony ceglanym murem porośniętym mchem, pełen krzaków róż - i to w pełnym rozkwicie. Ściany niewielkiej, stojącej w kącie ogrodu oszklonej altany porastały pnące róże. W ogrodzie były też: otoczony krzesłami stół z kutego żelaza i wyłożony poduszkami szezlong, stojący pod gałęziami wierzby płaczącej, obsypanej pączkującymi listkami.

Ale najlepsza ze wszystkiego była niewielka fontanna. Nawet przy zamkniętych oknach słyszałam szmerzącą w niej wodę. Pośrodku półtorametrowej szerokości baseniku stała syrenka, a woda tryskała z pyska ryby, którą trzymała w ramionach. Z tak wysoka nie byłam pewna, ale zdawało mi się, że w basenie fontanny widzę jakieś pomarańczowe błyski. Złote rybki!

- Koi - uściśliła Petra, kiedy powiedziałam to na głos. Nie mogłam nie zauważyć, że teraz, kiedy przestałyśmy rozmawiać o Tory, znów mówi normalnym tonem. - Japońskie są. A widziałas już Muszkę, tę małą kotkę Gardinerów? Siedzi tam przez cały dzień i na nie patrzy. Jeszcze żadnej nie złapała, ale kiedyś na pewno złapie!

Zobaczyłam rozbłysk zapalanej zapałki pod szklanym dachem altany. Do środka nie dało się w sumie zajrzeć, bo ściany miała z matowego szkła. Tory i jej znajomi musieli siedzieć w środku, ale nie widziałam ich, tylko jakieś ruchliwe cienie i płomyki.

Wyglądało na to, że Tory i jej znajomi sobie popalają. Ale nie ma sprawy. Znam w Iowa mnóstwo osób w naszym wieku, które palą. No, dobra. Jedną.

Ale i tak wszyscy mi mówili, że w Nowym Jorku będzie naprawdę inaczej. I że ludzie też tam są inni. A już zwłaszcza ludzie w naszym wieku. Że ludzie w naszym wieku, ale z Nowego Jorku, są podobno o wiele bardziej wyrafinowani i dojrzałi jak na swój wiek - w porównaniu z nami.

Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy.

Chociaż mój żołądek, który znów się z całej siły zacisnął, najwidoczniej się ze mną nie zgadzał.

- Chyba powinnam zejść tam i przywitać się z Tory - powiedziałam. Czułam, że naprawdę tak wypada.

- Tak - zgodziła się Petra. - Chyba powinnaś. - Wydawało mi się, że chciała coś jeszcze dodać, ale po raz pierwszy od chwili, kiedy ją zobaczyłam, zamilkła.

Super. No więc, co jest nie tak między nią a Tory? O co chcecie się założyć, że przy moim pechu zaraz znajdę się w samym środku konfliktu?

- Hm... Pokazesz mi, jak tam zejść? - odezwałam się z udawaną odwagą, pozwalając fircanie opaść na miejsce.

- Jasne.

Petra, jak się okazało, nie umie długo wytrzymać bez słowa. Kiedy schodziłyśmy na pierwsze piętro, zapytała mnie o skrzypce:

- Ile już na nich grasz?

- Od szóstego roku życia - powiedziałam.

- Od szóstego! To na pewno bardzo dobrze grasz! Któregoś wieczoru zagrasz dla nas koncert, prawda? Dzieci będą zachwycone.

Trochę w to powątpiewałam, chyba, że moje cioteczne rodzeństwo różni się znacznie od mojego domowego. W Hancock nikt nie lubi, kiedy gram. No może z wyjątkiem Diabeł pojechał do Georgii. Ale nawet wtedy tracą zainteresowanie, jeśli jednocześnie nie śpiewam. A trochę trudno jest grać i śpiewać jednocześnie. Nawet Patti Scialfa, żona Bruce'a Springsteena, która umie grać na skrzypcach i śpiewać, raczej nie robi tych dwóch rzeczy naraz.

A potem Petra zapytała mnie, czy nie jestem głodna, i opowiedziała mi o kursie gotowania, na który chodzi też na koszt pani Gardiner, żeby się nauczyć szykować dla dzieci amerykańskie potrawy.

- Na twój jutrzejszy przyjazd miałam przygotować filet mignon, ale już u nas jesteś, a dziś wieczorem mamy jeść chińszczyznę na wynos z Sechuan Pałace! Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Państwo Gardiner muszą potem na jakąś imprezę charytatywną iść. To

bardzo mili, szcudrzy ludzie i zawsze chodzą na imprezy charytatywne, żeby zbierać pieniądze na różne ważne sprawy... A w Nowym Jorku są często organizowane. I to tutejsze chińskie jedzenie jest bardzo dobre, naprawdę autentyczne, pani Gardiner sama tak mówi, a ona z mężem w zeszłym roku do Chin na rocznicę ślubu pojechała... O, tu są drzwi do ogrodu. No to chyba do zobaczenia później.

- Na razie, Petra. - Posłałam jej pełne wdzięczności spojrzenie.

A potem ruszyłam przez oszklone drzwi na patio wychodzące na ogród i po schodkach na dół (trzymając się poręczy z kutego żelaza, żeby uniknąć kolejnej prawie - katastrofy na schodach).

Tutaj fontannę słyhać było znacznie lepiej, a w powietrzu unosił się silny zapach róż. Dziwnie było w samym środku Nowego Jorku poczuć taki silny różany aromat.

Chociaż z tym aromatem róż mieszał się też dym tytoniowy.

Żeby ich uprzedzić, że idę, podchodząc do altany zawołałam:

- Halo?

Nikt mi nie odpowiedział od razu, ale na pewno dobiegło mnie głośno rzucone słowo na „k”. Stwierdziłam, że Tory i jej znajomi na wyścigi gaszą papierosy.

Podeszłam szybko do altany, żeby dodać:

- Hej, nie przejmujcie się, to tylko ja!

No i, oczywiście, okazało się, że zwracam się do sześciu totalnie mi nieznanym osób. Mojej kuzynki Tory nigdzie nie zauważyłam.

No bo wiecie - takie to już moje szczęście.

### 3

Potem jedna z tych nieznanymi mi osób, dziewczyna, której kruczoczarne włosy pasowały do koloru minisukienki i kozaków na wysokim obcasie, pewnym siebie krokiem wyszła z altany i stanęła, jedną dłoń opierając na kościstym biodrze i przyglądając mi się podejrzliwie mocno podmalowanymi oczami.

- A ty kim, do diabła, jesteś? - spytała ostrym tonem. Wyczuwając, że pozostali gapią się na mnie z taką samą niechęcią, wyjąkałam niepewnie:

- Hm, jestem Maggie Honeychurch, kuzynka Tory Gardiner...

Czarnowłosa dziewczyna znów rzuciła słowo na „k”, ale już zupełnie innym tonem. A potem uniosła rękę, którą do tej pory chowała za plecami i pociągnęła długi łyk z trzymanej w niej szklaneczki.

- Bez paniki - rzuciła przez ramię do kumpli. - To tylko moja cholerna kuzynka z Iowy.

Zamrugałam raz, drugi, a potem trzeci.

- Tory? - odezwałam się z niedowierzaniem.

- Torrance - poprawiła mnie moja cioteczna siostra. Odstawiła szklanekę na niską kamienną ławeczkę, wyciągnęła papierosa zza ucha i włożyła go w kącik szkarłatnych ust. - Co ty tu robisz? Miałaś przyjechać dopiero jutro.

- Ja... Jakoś tak przyjechałam wcześniej - powiedziałam. - Przepraszam...

Nawet nie pytajcie, dlaczego przeprosiłam za coś, co wcale nie było moją winą - to Gardinerom pomyliła się data mojego przyjazdu, nie mnie.

Ale w Tory - w tej nowej Tory - było coś takiego, że żołądek zacisnął mi się jeszcze mocniej niż przedtem. To miała być ona? To miała być moja cioteczna siostra Tory, z którą, kiedy Gardinerowie ostatnio nas odwiedzili w Iowa, brodziłyśmy w Pikę Creek i lażyłyśmy po drzewach przy podstawówce?

Przecież to niemożliwe. Tamta Tory była pyzatą blondynką z psotnym uśmiechem i równie figlarnym poczuciem humoru.

Ta Tory wyglądała tak, jakby sporo - naprawdę sporo - czasu minęło, odkąd uśmiechnęła się po raz ostatni.

Nie żeby nie była ładna. Bo miała taki super wyrafinowany, wielkowiejski szyk. Straciła cały ten szczeniacki tłuszczyk i teraz była smukła jak trzcina. A jasne włosy zostały zastąpione kruczoczarną, surową w stylu fryzurą na pazia.

Wyglądała jak modelka - ale nie jedna z tych uśmiechniętych i pogodnych, na

przykład Cindy Crawford. Przypominała raczej którąś z tych nadąsanych i niezadowolonych... Jak Kate Moss, kiedy ją przyłapali na zażywaniu kokainy.

Tory, co się z tobą stało? - chciałam ją zapytać.

Tory na pewno myślała tak jak ja - znaczy, że w jej oczach zmieniłam się, odkąd widziała mnie po raz ostatni.

Nagle zachichotała (a udało jej się wydobyć z siebie najmniej radosny chichot, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałam) i powiedziała:

- O Boże, Maga. Ta sama, co zawsze. Nadal wyglądasz jak zdrowa, wiejska dziewczucha.

Ups! Więc chyba jednak nie myślałyśmy podobnie.

Spojrzałam po sobie. Dziś rano ubrałam się niezwykle starannie, wiedząc, że kiedy wysiądę z samolotu, znajdę się w najszykowniejszym mieście świata.

Ale najwyraźniej moje dzinsy, różowy bawełniany sweterek i dobrane kolorystycznie zamszowe mokasyny nie wyglądały wystarczająco wielkomięsko, żeby ukryć fakt, że jestem, w gruncie rzeczy, dokładnie tym, o co oskarżyła mnie Tory: zdrową, wiejską dziewczuchą.

Chociaż, tak na dobrą sprawę, mieszkamy na przedmieściu, a nie na wsi.

- Boże - odezwał się ktoś z wnętrza altany. - Czego ja bym nie dała za takie włosy! - A potem, wijąc się jak wąż, jakaś dziewczyna tak samo szczupła jak Tory - zupełnie jak Gisele przy tej Kate Moss - wysunęła się z wnętrza altany i dołączyła do Tory w oględzinach mojej osoby.

- Prawdziwe? - spytała dziewczyna, wspinając się na palce, żeby ująć jeden z rudych, kręconych loków, piętrzących mi się na głowie w szalonym nieładzie, który dawno już przestałam nawet próbować ogarniać. Miała na sobie coś w rodzaju szkolnego mundurka: białą bluzkę, granatowy sweter i plisowaną szarą spódniczkę.

Ale była taka śliczna, że nawet szkolny mundurek wyglądał na niej jak ostatni krzyk mody.

- Och, włosy ma naturalne - odparła Tory, ale wcale nie tak, jakby to uważała za zaletę. - Nasza babka też takie ma.

- Boże - pisnęła dziewczyna. - Ale burza loków! Znam dziewczyny, które płacą setki dolców za takie spiralne pierścioneczki. A ten kolor! Jest taki... żywy.

- Hej - z altany odezwał się męski głos. - Dziewczyny, będziecie tam dalej pisać nad tą Rudą, czy przejdziemy wreszcie do rzeczy?

Dziewczyna, której spodobały się moje włosy, przewróciła oczami, a nawet Tory - czy też Torrance, jak najwyraźniej wołała się teraz nazywać - zdobyła się na coś w rodzaju

uśmiechu.

- Rany, Shawn - rzuciła. - Wyluzuj. - A do mnie: - Chcesz piwa?

Próbowałam nie okazać szoku. Tory proponowała mi piwo? Tory, która pięć lat temu nie chciała spróbować musujących cukierków Pop Rocks, bo twierdziła, że żołądek jej od nich eksploduje?

- Hm - mruknęłam. - Nie, dzięki.

Nie dlatego, że nie piję - piłam szampana na ślubie mamy Stacy z jej nowym ojczymem, Rayem - ale dlatego, że nie lubię piwa.

- Mamy tu też dzbanek mrożonej herbaty z Long Island - odezwała się przyjaznym tonem koleżanka Tory.

- Och - sapnęłam z ulgą. - Okej. Chętnie spróbuję. Kumpelka Tory się skrzywiła.

- Jasne - powiedziała. - Sama też nie lubię piwa. A przy okazji, jestem Chanelle.

- Chanel? - powtórzyłam. Nie byłam pewna, czy dobrze ją usłyszałam.

- Dokładnie. Tylko z dodatkiem „le” na końcu. Chanel to ulubiona firma mojej mamy.

- Dobrze, że nie Gucci - rzucił ten chłopak, do którego Tory mówiła: Shawn.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradziła mi Chanelle, znów przewracając ciemnymi oczami, kiedy wchodziłam jej śladem do altany. - To Shawn - powiedziała, wskazując jasnowłosego chłopaka, który siedział przy stoliku ze szklanym blatem w środku altany. Miał na sobie szare spodnie i białą zapinaną koszulę z podwiniętymi rękawami oraz krawat w czerwono - niebieskie paski, który wcześniej niedbale związał w węzeł, a teraz równie niedbale poluzował. - A to mój facet, Robert, ten tam - ciągnęła Chanelle. Kolejny chłopak, tym razem ciemnowłosy, ale ubrany w dokładnie takie same ciuchy co Shawn, skinął do mnie głową znad właśnie rolowanego papierosa.

I w tym momencie dotarło do mnie, że to wcale nie papieros.

- A to jest Gretchen - Chanelle przedstawiła mi następną śliczną jak modelka dziewczynę - tym razem blondynkę, z kolczykiem w łuku brwiowym - ubraną w taki sam mundur, co Chanelle. - A to Lindsey. - Lindsey, też w szkolnym mundurku, była pomniejszoną kopią Gretchen. Minus kolczyk. Zamiast tego na szyi miała szeroką czarną aksamitkę, a na wargach jaskrawoczerwoną szminkę.

Obie dziewczyny ledwie raczyły zauważyć moje istnienie. Wydawały się o wiele bardziej zainteresowane trzymanymi w dłoniach drinkami niż mną.

- Okej - odezwał się Shawn, zacierając ręce. - Pogaduszki mamy z głowy? Możemy wracać do interesów?

W najdalszym kącie altany, gdzie szklana ściana łączyła się z ceglany murem, ktoś

odchrząknął.

- A! - pisnęła Chanelle. - Byłabym zapomniała. To Zach. Facet stojący w kącie uniósł w moją stronę puszkę coli w czymś w rodzaju powitalnego gestu.

- Cześć, kuzynko Maggie z Iowy - powiedział miłym tonem. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych chłopaków nie nosił krawata ani spodni od mundurka, ale dżinsy i T-shirt. Stwierdziłam też, że musi być z rok czy dwa starszy niż wszyscy inni w tej altanie, którzy wyglądali mniej więcej na mój wiek.

Poza tym był seksowny. Można by go opisać, że wyglądał jak szeroki w ramionach, ciemnowłosy, zielonooki grecki bóg...

- A ty czasem nie miałaś już sobie iść, stary? - Shawn zapytał Zacha. I to niezbyt przyjaznym tonem.

- Miałem zamiar - sapnął Zach, przesuwając się na swojej ławeczce, żeby zrobić miejsce dla mnie, bo już tylko tam można było usiąść. - Ale może zostanę jeszcze trochę.

- Jak sobie chcesz - rzucił Shawn. Ale wcale nie miał uszczęśliwionej miny.

- Dobra, Zach - włączyła się Tory, nalewając do szklanki mrożonej herbaty z dzbanka, który stał na posadzce altany. Podała mi ją, a ja usiadłam obok Zacha. - Nie podoba mi się, że tak ciągle unikasz imprezek, koleś.

- Może po prostu nie lubię być narąbany przed zmrokiem - odparł chłopak.

- Ja tam mógłbym być narąbany dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedział Robert tęsknie, zwilżając językiem bibułkę rolowanego papierosa.

- Przecież i tak jesteś - zapewniła go Chanelle. I wcale nie takim tonem, jakby się z tego jakoś specjalnie cieszyła.

- No dobra, to na czym stanęliśmy? - podjęła Tory. - A, jasne. Potrzebuję przynajmniej tyle,, żeby przetrwać półsemestr. A ty, Chanelle?

- No cóż - westchnęła Chanelle. Zauważyłam, że sweter, który zawiązała w talii, miał taki sam niebieski kolor co paski na krawatach chłopaków. Również swetry Gretchen i Lindsey były niebieskie. A więc oni wszyscy chodzili do jednej szkoły - Liceum Chapmana, do którego się przenosiłam... Przyznaję, trochę późno, biorąc pod uwagę porę roku. Ale w grę wchodziły też pewne dodatkowe okoliczności. Przelknęłam ślinę. Lepiej nie myśleć teraz o tych dodatkowych okolicznościach. - Ja nie chcę, dzięki - dokończyła Chanelle.

- Boże, Chanelle. - Tory wyduła wargi. - Testy półsemestralne. Nie wspominając już o wiosennym balu. Chcesz się do balu roztyć jak krowa? No wiesz?

- Boże, Torrance. Wągry. Nie mówiąc już o pryszczach. Chcesz, żeby moja dermatolożka mnie zabiła? No wiesz? - odpaliła Chanelle, w sumie bez złości i tak świetnie

przy tym przedrzeźniając Tory, że Lindsey parsknęła śmiechem, a mrożona herbata cofnęła jej się przez nos.

- Ofiara losu - mruknęła Tory na ten widok. Lindsey otarła nos rękawem, a potem odezwała się:

- Mnie zapisz na dwadzieścia sztuk.

- Dwadzieścia - powiedział Shawn, wstukując cyfry do treo, którego wyciągnął z leżącego na podłodze plecaka. - A ty, Tor?

- Chyba tyle samo - rzuciła.

Zapaliła papierosa, starannie unikając mojego wzroku, chociaż patrzyłam prosto na nią. W głowie mi się to wszystko nie mieściło. No bo, już wystarczy, że Tory teraz jest brunetką i to tak chudą jak Lara Flynn Boyle. A do tego jeszcze kupuje prochy? Chociaż muszę przyznać, że Shawn w niczym nie przypominał tych handlarzy narkotyków, których pokazują regularnie w Prawie i porządku. Nie był jakiś superchudy ani nie miał na sobie brudnych łachów. Wyglądał... przyzwoicie.

A Tory wcale nie wyglądała na ćpunkę. Śliczna dziewczyna.

Poza tym jej życie, o ile zdołałam się zorientować, wydawało się idealne. Po co jej prochy?

Właśnie takie myśli tłukły mi się po głowie, kiedy tam siedziałam. Chyba można by powiedzieć: przeżywałam poważny szok kulturowy.

Poza tym ta gula w żołądku zrobiła mi się większa i twardsza niż kiedykolwiek przedtem.

- I przyda mi się trochę valium - dodała Tory. - Ostatnio jestem jakaś spięta.

- Myślałam, że temu zapobiegać powinny szybkie wycieczki z Shawnem do kotłowni w czasie nauki własnej - odezwała się po raz pierwszy Gretchen. Głos miała zadziwiająco chropawy.

Jej słowa też takie były. To znaczy... zaskakujące: Tory chodziła z Shawnem?

Ale Tory tylko rzuciła przyjaciółce drwiące spojrzenie. I pokazała jej środkowy palec.

- Mogę ci odpalić dziesięć - zaoferował Shawn z szerokim uśmiechem. - Więcej to zwykle proszenie się o kłopoty, o ile cię znam. Wiem, że to przegrana sprawa, ale co z tobą, Rosen? Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dzięki. Mnie nic nie trzeba - odparł siedzący obok mnie Zach.

Tory zrobiła zaskoczoną minę.

- Zach? Jesteś pewien? Bo wiesz, Shawn ma dostęp do prawdziwego towaru. Żadnego generycznego szajsu. Jego tata jest lekarzem.



- Jezus, Tor, ten facet nie bierze, jasne? Daj mu spokój - burknął Shawn. Spojrzał teraz na mnie. - A ty, Ruda?

Tory, która przed sekundą wydawała się rozzłoszczona, teraz roześmiała się tak serdecznie, że trochę napoju dostało jej się do nosa i zaczęła się krztusić. Na co Lindsey odezwała się dokładnie takim samym tonem, co Tory, kiedy coś podobnego przytrafiło jej się wcześniej:

- Ofiara losu.

Próbując nie okazywać, jak bardzo mnie to wszystko wytrąciło z równowagi, odpowiedziałam:

- Nie, dzięki. Ja... próbuję z tym skończyć.

- Hej - odezwał się Zach ze śmiertelną powagą. - To ci się chwali, kuzynko Maggie. Pierwszy krok to przyznać się, że człowiek ma jakiś problem.

- Dzięki - odparłam i upiłam łyk mrożonej herbaty, próbując nie okazać, że ten facet robi na mnie wrażenie.

.. i natychmiast tę herbatę wyplułam. Niestety, całą na Zacha.

- Hej! - zawołał Robert, obronnym gestem ściskając w palcach jointa. - Ruda, ty mi tu nie prychaj!

- O Boże! - zawołałam. Czułam, że policzki zaczynają mi płonąć. - Strasznie przepraszana Nie wiedziałam... Nie spodziewałam się, że w tym będzie.

- Alkohol? - Tory doszła już do siebie, a teraz rzuciła Zachowi garść serwetek. - A jak sądzisz, kretynko, dlaczego to się nazywa mrożona herbata z Long Island?

- Nigdy takiej nie piłam - przyznałam. - Nigdy nawet nie byłam na Long Island. O mój Boże, Zach, bardzo cię przepraszam.

Ale Zach wcale nie był zły. W sumie miał na twarzy nieco speszony uśmiešek.

- Nigdy nawet nie byłam na Long Island - powtórzył, jakby próbował nauczyć się tego zdania na pamięć.

- Bardzo przepraszam - powtórzyłam, Naprawdę, w głowie mi się to nie mieściło. To znaczy, mieściło się, bo przecież było w końcu takie dla mnie typowe. Właśnie oplułam mrożoną herbatą z Long Island najfajniejszego chłopaka, jakiego spotkałam w życiu. Jestem w Nowym Jorku zaledwie od godziny i już zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Tory i jej przyjaciółki na pewno pomyślały sobie, że jestem największą wieśniarą, jaką w życiu widziały. A to nie tak, że żadne dzieciaki w mojej szkole tam, w Hancock, nigdy nie piły alkoholu ani nie kupowały prochów.

One po prostu raczej tego nie robiły... przy mnie...

- Naprawdę bardzo przepraszam - powiedziałam jeszcze raz.

Zach uśmiechnął się do mnie od ucha do ucha. Poczułam, że ten uśmiech chwyta mnie za serce. Tylko spokojnie, Maggie.

- Nie ma sprawy, kuzynko Maggie z Iowy. Chcesz colę, albo coś? - Wyszczерzył się jeszcze bardziej. - Mówię tylko o bąbelkach.

- Jasne - sapnęłam, kompletnie oszołomiona tym jego uśmiechem. - Wielkie dzięki.

Zach wstał, ale znów usiadł, bo Tory warknęła:

- Ja jej przyniosę. - A potem zamaszycie wyszła z altany.

- Jezu - jęknęła Gretchen. - A tej co znowu? Rober przewrócił oczami, zerkając w stronę Zacha.

- Zgadnij.

- Bo co? - spytała Chanelle ostro, stając w obronie Tory.

- Jezu, wszystkie jesteście ślepe? Torster leci na Rosena - powiedział Robert między jednym sztachem a drugim.

- Że niby jak, że Tory leci na mnie? - Zach zmarszczył brwi.

- Ta au pair, facet. - Robert pokręcił głową. - A po co taki ważniak maturzysty miałby zadawać się z nami, marnymi drugoklasistami? Przecież widać, że nie przyszedłeś tu nic kupić...

Zach, zamiast zaprzeczać, jak tego po nim oczekiwałam, zamyślił się.

- Hej - rzuciła Chanelle gniewnie. - Ale Torrance leci na Shawna, nie na Zacha.

- Jeśli Tor tak bardzo leci na Shawna - odezwał się Robert - to dlaczego tak bardzo się stara nie dopuszczać Rosena do au pair? Ha?

- Zamknij się, Robert - warknęła Chanelle, kopiąc go pod szklanym blatem stołu. - Nie wiesz, co gadasz.

- Hej, nie zabija się posłańca - parsknął Robert. - Torster tak się napaliła na naszego szanownego mózgowca, że aż ślini się do niego.

- Ohyda! - zawołała Chanelle, i nawet Zach skrzywił się z dezaprobatą, a potem powiedział:

- Nie przy kuzynce Maggie, proszę., Jest tu nowa.

Robert obejrzał się na mnie.

- Och, sorki.

A ja jeszcze bardziej niż przedtem zapragnęłam umrzeć. Kuzynka Maggie? To było prawie tak samo okropne jak Maga. Prawie.

- Hej, nie ma problemu. Torrance i ja mamy pewien układ - oznajmił Shawn pogodnie,

unosząc wzrok znad swojego treo.

I dokładnie w tej chwili Tory wróciła z puszką napoju.

- Trzymaj, Maga - powiedziała, rzucając mi tę puszkę. - Jaki układ mamy, Shawn?

- No wiesz - zaczął Shawn. Palce mu fruwały po klawiaturce treo, a oczu nie odrywał od wyświetlacza. - Otwarty związek, te rzeczy.

- Och - mruknęła Tory, siadając na swoim miejscu. - Jasne. Przyjaciele plus seks. Ale dlaczego o tym rozmawiamy?

- Bez powodu - wyjaśniła szybko Chanelle, zerkając na Roberta, który tylko uśmiechnął się złośliwie.

Siedziałam tam i próbowałam nie robić zaszokowanej miny. „Przyjaciele plus seks”? Usiłowałam sobie wyobrazić, co by zrobiła moja najlepsza przyjaciółka, Stacy, gdyby jej chłopak, Mike, zaproponował, żeby zostali przyjaciółmi plus seks, a nie parą na wyłączność.

A potem aż w środku zadrzałam. Bo wiedziałam, że wynikły z tego rozlew krwi nie wyglądałby ładnie.

- A tak przy okazji - zwróciła się do mnie Tory, przerywając te rozmyślenia. - Nie ma za co.

- Oj - powiedziałam, spoglądając na puszkę, którą trzymałam w ręku, całkiem zapomnianą, i poczułam, że znów się czerwienię. - Dzięki.

- W lodówce znajdziesz wiele podobnych - dodała znacząco Tory. - Petra oprowadziła cię po kuchni?

- Jeszcze nie...

- No cóż, to poproś ją o to. Ostatni raz coś ci przynosiłam.

- Boże, Tor - jęknęła Chanelle. - Nie ma to jak być suką, co? - A potem, jakby zażenowana brakiem grzeczności Tory.

Chanelle obróciła się do mnie i spytała: - No więc, na jak długo przyjechałaś do Nowego Jorku, Maggie?

Gula w moim żołądku drgnęła. Spuściłam wzrok na colę.

- Przenoszę się do Liceum Chapmana na resztę roku szkolnego - odpowiedziałam. - A potem zostanę tu też na lato.

Nie umknęła mi wymiana spojrzeń między Gretchen a Lindsey. Nie żebym miała do nich pretensje. Kto się przenosi do nowej szkoły, kiedy do końca roku został miesiąc? Tylko takie dziwadła jak ja.

- Dobra - rzuciła Tory lekkim tonem. - Ludzie, zapomniłam wam powiedzieć, że Maga będzie kończyła ten semestr szkoły z nami.

- Dlaczego? - zapytała Chanelle.

Z jednej strony ulżyło mi, że Tory najwyraźniej nie opowiadała im o mnie. Teraz będę im mogła powiedzieć, co zechcę, o tym dlaczego tu przyjechałam.

Z drugiej strony, poczułam się nieco urażona. Co, właściwie, było śmieszne.

Ale można by pomyśleć, że Tory wspomni swoim kumplom, że jej siostra cioteczna, Maggie, przyjeżdża, żeby z nią zamieszkać. Chyba że, oczywiście, to dla niej nic nie znaczy.

- Och! - przełknęłam ślinę. - Po prostu potrzebowałam odmiany.

Tory przewróciła oczami.

- Boże, Maga - burknęła. - Głupszej odpowiedzi na takie pytanie już nie umiałaś sobie wymyślić? Bo będą pytali, wiesz.

I to często.

Łau. No i już po okazji powiedzenia im co sama zechcę o tym, dlaczego tu przyjechałam.

Poczułam, że znowu się rumienię..

- No cóż - westchnęłam. Gula w moim żołądku zamieniała się w pokaźny balon. - To takie trochę... osobiste.

- Na litość boską - sarknęła Tory, wrywając jointa Shawnowi. Zaciągnęła się głęboko. - Zwyczajnie im powiedz. Magę ktoś molestował, jasne?

Super. No po prostu super...

Przyznaję, zaskoczyła mnie. Powinnam była od dawna mieć pod ręką gotową odpowiedź na to bardzo naturalne, łatwe do przewidzenia pytanie.

Ale nie miałam.

Więc pewnie należał mi się numer, jaki właśnie wycięła mi Tory.

Mimo wszystko zaszokowało mnie, kiedy usłyszałam, jak spokojnie o tym mówi.

Zwłaszcza że to tylko część tej historii. Drugą część, oczywiście, znałam tylko ja.

I dzięki Bogu. Bo gdyby Tory o niej wiedziała, to bez skrupułów resztę też mogłaby wypaplać.

Tym bardziej, że chyba bardzo jej się podobała reakcja, jaką wywołała - moje zażenowane milczenie i stłumione okrzyki Gretchen i Lindsey.

Shawn rzucił:

- Zalewasz.

A nawet Zach, jak zauważyłam, spojrzął na mnie tymi swoimi zielonymi oczami w taki sposób, że zrobiło mi się jeszcze bardziej niewyraźnie niż przedtem.

Chanelle szeroko otworzyła oczy.

- Serio? - spytała. - Molestował? Na pewno się przeraziłaś.

- Ależ ty masz szczęście - pisnęła Lindsey i zachichotała. - Mnie nigdy nikt nie molestował. Jak to wyglądało?

- Boże... - Tory gwałtownym gestem zdusiła niedopałek jointa w stojącej na szklanym blacie popielniczce. - Nie ma w tym nic ciekawego, Lindsey, ty wariatko. Słyszałam, że ten facet to kompletny świr. Pewnie tu przyjedzie i wszystkich nas pomorduje we własnych łózkach. W głowie mi się nie mieści, że rodzice się na to zgodzili.

- Hej - odezwał się Robert, oburzony. - Tego jointa było jeszcze sporo.

Mnie też się to w głowie nie mieściło. Nie mówię o jointcie, ale o tym, że Tory mogła w taki sposób... No cóż, rozgłosić to, zupełnie jakby nigdy nic. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że musiałam wyjechać z domu i zostawić wszystkich swoich przyjaciół, i szkołę, w której, nie ma co ukrywać, byłam dosyć popularna. Bo jestem miłą dziewczyną. Ludzie lubią miłe dziewczyny. Tego typu rzeczy miłym dziewczynom się nie zdarzają. Miłych dziewczyn nikt nie prześladowuje...

Chyba że, oczywiście, same się o to prosiły.

Ale Tory tej części historii nie знаła.

Więc żeby w taki sposób wyskoczyć z tą częścią historii, którą znała...

I to jeszcze przy Zachu, który trącał jakieś czułe struny w moim sercu, ilekroć na niego zerkałam.

Znów zachciało mi się umrzeć. Albo zwymiotować? Sama nie wiem.

- To nie jest żaden psychopatyczny prześladowca - ostrożnie dobieierałam słowa. Ze spojrzeń, które mi rzucili, zorientowałam się, że powiedziałam to być może trochę zbyt żywiolowo. Ściszyłam głos. - To żaden świr. To po prostu taki jeden facet, z którym chodziłam, a który zaczął to nieco zbyt poważnie traktować.

Proszę, i jak to brzmi? Czy mi uwierzą? Proszę, niech uwierzą.

- Pewnie chciał się z tobą trzymać za rączki - powiedziała Tory z kamiennie poważną miną, a Shawn ryknął śmiechem.

Okej. No nie, to było wredne. Ale mi uwierzyli. A przynajmniej Tory uwierzyła. Nic więcej się nie liczyło.

Kiedy posłałam jej niechętną minę za tę uwagę o trzymaniu się za rączki - bo uważałam, że dziewczyna taka jak ja powinna tak zareagować - Tory dodała:

- No, dajże spokój, Maga. W końcu twoja mama jest pastorem.

Chanelle spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Poważnie? Jesteś córką kaznodziejki? - Oczywiście powiedziała to takim tonem, jakby to było coś złego. Ludzie zawsze tak reagują.

- Jestem też córką informatyka - oznajmiłam. - Tata pracuje przy komputerach.

Ale nikt nie słuchał. Nikt nigdy nie słucha.

- Boże - westchnęła Lindsey. - To takie romantyczne. Musiałaś wyjechać poza granice stanu, żeby umknąć obsesyjnemu kochankowi. Sama chciałabym mieć obsesyjnego kochanka.

- Mnie by wystarczył nie naćpany - stwierdziła sucho Chanelle. - A zamiast tego trafił mi się Robert.

Robert podniósł wzrok znad jointa, którego starał się jeszcze odratować.

- Co? - mruknął, kiedy zauważył, że wszyscy się na niego gapią.

- Widzicie, co miałam na myśli? - odezwała się Chanelle z takim szelmowskim błyskiem w oku, że nie mogłam się nie roześmiać...

...ale przestałam się śmiać, kiedy Shawn wypalił:

- Co to jest? Cholerny show Oprah? Dostyc o tym życiu uczuciowym Rudej. Moje panie, czekam na wpłaty. - Wyciągnął przed siebie treo, żeby mogły zerknąć na kwoty, jakie mu wyszły. - I nie, czeków nie przyjmuję.

Tory skrzywiła się, ale sięgnęła do torebki. Prada, taka za tysiąc dolców, z nowej, wiosennej kolekcji. Moja siostra Courtney powiedziała rodzicom, że tylko to chce dostać na urodziny. Mama i tata uśmiechali się tak, jakby nigdy w życiu nie słyszeli lepszego dowcipu.

Dziewczyny odliczyły po niewielkim pliczku dwudziesto - dolarówek. Potem, podsuwając pieniądze swojemu chłopakowi, Tory spytała:

- To kiedy mamy się spodziewać dostawy?

- Jutro - odparł Shawn, zgarniając pieniądze i układając je w równy stosik, zanim włożył do portfela. - Najpóźniej w poniedziałek.

- Jutro - syknęła Tory, mrużąc oczy.

- Dobrze, dobrze. - Shawn pokiwał głową. - Jutro.

- Torrance? - Od strony patio zabrzmiał głos Petry. - Torrance, twoja matka dzwoni.

- Cholera - zakląła Tory. - Zaraz wracam. Wiedziałałam, że to sygnał dla mnie, żebym się z wdziękiem wyniosła. No cóż, znając mnie, raczej bez wdzięku. Ale powinnam się tak czy inaczej wynieść.

- Muszę już iść - rzuciłam, wstając. - Mam mnóstwo rzeczy do rozpakowania. Bardzo miło było was wszystkich poznać.

Nie byłam pewna, czy właśnie coś takiego należy powiedzieć grupce zblazowanych nowojorskich nastolatków. Ale Chanelle odparła pogodnie:

- Nam też było miło. To do zobaczenia w szkole! Więc chyba dobrze zrobiłam.

- A ja słyszę, że woła mnie praca domowa z matmy - odezwał się Zach i też wstał. - Na razie!

- Torrance! - znów zawołała Petra.

Tory zakląła i wyszła z altany. Zach poszedł jej śladem, a ja śladem Zacha. Chociaż widok tylnej połowy jego ciała był równie przyjemny, co frontowy, nie umiałam się nim cieszyć. Chciałam tylko wejść na górę do swojego pokoju, zatrzaskać drzwi, zostać na chwilę sama ze swoim nieczynnym marmurowym kominkiem i przemyśleć to, co się właśnie stało - oraz co w związku z tym zamierzam zrobić.

Bo wszystko układało się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Nie żebym myślała sobie, że Tory i ja będziemy spędzać czas, wspólnie brodząc po jakimś potoku i wspinając się na drzewa. Ja tylko nie spodziewałam się...

No cóż, tego.

Na patio Petra wręczyła telefon Toryr a potem uśmiechnęła się do mnie i Zacha.

- Cześć! - zawołała. - Widzę, że wy dwoje już się poznaliście. Dzisiaj przez mur nie przechodzisz, Zach?

Zach uniósł dłonie w górę, a ja po raz pierwszy zauważyłam, że są pokryte niewielkimi zaróżowionymi zadrapaniami - trochę podobnymi do otarć, których się dorobiłam, chwytając się parkanu z kutego żelaza, żeby nie upaść.

- Nie przez te wszystkie róże, które tam z tyłu tak się straszliwie rozrosły - powiedział.  
- Za którymś razem mógłbym nie przeżyć.

- Tak czy siak, powinieneś wchodzić drzwiami, jak normalny człowiek - stwierdziła Petra z szerokim uśmiechem. - Jesteś już za stary, żeby przez mury przełazić. - Do mnie dodała: - Maggie, gdybyś chciała iść do jakiegoś muzeum czy wybrać się do opery albo do teatru, to powinnaś poprosić Zacha. Wie o tym mieście wszystko, co warto o nim wiedzieć...

- Hej, daj spokój - odezwał się Zach z lekko zażenowaną miną. Czyżby Robert miał rację? Czy Zach rzeczywiście interesował się Petrą?

Ale jeśli podkochał się w Petrze, to ze sposobu w jaki się do niej zwracał, trudno by się było zorientować. Wydawało się, że traktuje ją z taką samą przyjazną swobodą, z jaką traktował.

.. .No cóż, mnie.

- To prawda - powiedziała Petra, patrząc na Zacha rozpromienionym wzrokiem. - Kiedy tu przyjechałam i nie znałam nikogo poza państwem Gardinerami i dziećmi, Zachary mnie wszędzie zabierał. Do Muzeum Guggenheima, do galerii Fricka, do MET. Do jazz klubów. Nawet do zoo.

Zach zrobił jeszcze bardziej zażenowaną minę.

- Lubię foki - powiedział, jakby chciał przede mną usprawiedliwić ewidentną osobliwość zabierania au pair do zoo.

Hm. Może jednak podkochał się w niej troszkę.

- A potem - ciągnęła Petra, kiedy wchodziliśmy za nią przez przeszklone drzwi do salonu - kiedy przyjechał z wizytą mój chłopak, Willem... On nam dał bilety do... Jak to się nazywa, Zachary?

- Cirque du Soleil - odpowiedział Zach, teraz już z kompletnie zażenowaną miną. Wzruszył ramionami. - Tata ciągle dostaje w pracy bilety na różne imprezy.

Uśmiechnęłam się do niego. Nijak nie mogłam się powstrzymać. No bo, pomijając już tę jego atrakcyjność, było w nim też coś takiego, co... No cóż, zwyczajnie dawało się lubić. „Lubię foki”. Totalnie bym zrozumiała, gdyby to, co mówił Robert, okazało się prawdą - że Tory leci na Zacha. Sama już się w nim pod - kochiwałam, a przecież dopiero co go poznałam.

- Jezu, mamó! - Głos Tory, od strony patio, zabrzmiał wojowniczo. - Ty sobie ze mnie



żartujesz? Ja mam co robić, wiesz?

Petra rzuciła się zamknąć przeszklone drzwi.

- Maggie - powiedziała szybko - muszę iść dzieci ze szkoły przyprowadzić. Może chciałabyś się ze mną przejść? Dzieci bardzo by się ucieszyły.

Ale Petra nie dość szybko zamykała te przeszklone drzwi, zresztą jej łagodny głos nie zagłuszyłby następnych słów Tory:

- Bo mam ciekawsze plany niż siedzieć w domu jako opiekunka mojej kuzynki z zapyziałej wiochy, oto dlaczego.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a Petra szybko oparła się o nie, ze spanikowanym wyrazem twarzy.

- Och - sapnęła. - Jestem pewna, że ona nie... Hm... Czasem Torrance mówi rzeczy, w które wcale nie wierzy, Maggie.

Uśmiechnęłam się. Co innego miałam zrobić?

Tak właściwie to ona wcale nie uraziła moich uczuć. Znaczy, nie za bardzo. Oczywiście, byłam zażenowana. Zwłaszcza że zauważyłam, że Zach tak jakoś się skrzywił, a przy słowach „kuzynka z zapyziałej wiochy” jego wargi ułożyły się w bezgłośnie .” „ups”.

Ale ja już zaczynałam przyjmować do wiadomości, że ta Tory to już nie jest ta sama słodka, urocza kuzyneczka, którą pamiętałam sprzed pięciu lat. Tej chłodnej i wyrafinowanej dziewczyny zupełnie nie znałam.

I poważnie, nic mnie nie obchodziło, co może na mój temat wygadywać jakaś obca osoba.

Naprawdę.

No cóż, dobra, może trochę...

- Nie ma sprawy - rzuciłam lekkim tonem. A przynajmniej z nadzieją, że to zabrzmiało lekko. - Pewnie faktycznie ma lepsze rzeczy do roboty niż mnie niańczyć. Wkurza mnie, że ludzie zwykle uważają, że mnie trzeba niańczyć - dodałam, w razie gdyby któreś z nich jeszcze tego nie pojęło. - Bo nie trzeba.

Zach uniósł ciemne brwi, ale nie powiedział ani słowa. Miałam nadzieję, że nie wspomina sprawy z mrożoną herbatą z Long Island, ale pewnie właśnie o tym myślał. Przez całą drogę do drzwi frontowych Petra nadal usprawiedliwiała Tory („Denerwuje się testami półsemestralnymi”, „Kiepsko ostatnio sypia”). Zastanawiałam się, dlaczego to robi. Mimo wszystko, ta nowa Tory raczej nie wydawała mi się osobą, która chciałaby - albo w ogóle potrzebowała - żeby ktoś ją usprawiedliwiał.

Ale może istniały jakieś nieznanne mi sprawy związane z Torrance, które należało

wziąć pod uwagę. Być może, mimo tego ich pięknego ogrodu i złożonych armatur w łazienkach, w domu Gardinerów nie wszystko układało się tak, jak trzeba. Przynajmniej, jeśli chodziło o Tory.

- No cóż - zagaił Zach, kiedy zeszliśmy na chodnik (a ja się ucieszyłam, że udało mi się uporać z frontowymi stopniami i tym razem z nich nie zlecieć). - Miło było cię poznać, kuzynko Maggie z Iowy. Mieszkam tuż obok, więc na pewno się jeszcze nieraz zobaczymy.

No proszę. Teraz wreszcie rozumiałam to gadanie o przełazeniu przez mur - właśnie ten kamienny mur obok altany oddzielał ogród za jego domem od ogrodu Gardinerów - i jak to się stało, że podobnie jak Tory, zdążył już się przebrać ze szkolnego mundurka, a inni jeszcze nie mieli okazji.

- Och, tak, będziecie się często widywać - przyznała Petra, której wyraźnie poprawił się humor, kiedy wyszliśmy z domu - i znaleźliśmy się z daleka od Tory. - Maggie do końca semestru będzie chodziła do Liceum Chapmana.

- Tak słyszałem - powiedział Zach i mrugnął do mnie. - No to na razie! Do zobaczenia, kuzynko Maggie z Iowy.

Przez to mrugnięcie odezwała się kolejna struna w moim sercu. Wiedziałam, że będę musiała uważać.

Na szczęście, odwrócił się już, żeby odejść. Mieszkał, jak widziałam, w kamienicze po lewej stronie domu Gardinerów, też trzypiętrowej, ale pomalowanej na ciemnoniebieski kolor, z białymi wykończeniami. Nie było tam skrzynek z kwiatami, ale za to drzwi pomalowano na jaskrawy kolor - czerwony jak pelargonie mojej ciotki. Czerwony jak krew.

No zaraz, ale dlaczego o tym akurat pomyślałam?

- Chodź, Maggie - odezwała się Petra, ruchem głowy wskazując kierunek przeciwny do tego, w którym ruszył Zach. - Szkoła Teddiego i Alice jest tam.

- Momencik - szepnęłam.

No oczywiście, nie mogłam się ruszyć z miejsca wtedy, kiedy wszystko szło jak powinno. Och skąd, nie ja, Maga Honeychurch.

Musiałam tam sterczeć jak wryta, niczym wieśniaczka, za którą ewidentnie uważa mnie Tory, i patrzeć, jak Zach mija samochód, który właśnie zaparkował na jednym z tak bardzo poszukiwanych w Nowym Jorku miejsc parkingowych. Ktoś otworzył drzwi od strony kierowcy, żeby wysiąść...

...dokładnie w tej samej chwili, w której facet na rowerze z dziesięcioma biegami, z kurierską torbą, pędem nadjechał ulicą.

I wtedy kilka rzeczy wydarzyło się naraz. Po pierwsze, kurier ostro skręcił, żeby nie

uderzyć w otwierające się drzwi samochodu, i wjechałby na chodnik i wpadłby na Zacha...

...Gdybym dokładnie w tej samej sekundzie nie rzuciła się w tamtą stronę, żeby zepchnąć z drogi Zacha, który nie zauważył ani samochodu, ani roweru, ani tych pelargonii koloru krwi.

I w ten sposób, pierwszego dnia pobytu w Nowym Jorku, zostałam potrącona przez rower.

Jak się nad tym zastanowić, to jest właśnie typowe dla mnie kulawe szczęście.

Wcale tego nie widać - pocieszała mnie ciocia Evelyn. - To znaczy, widać, ale przy odrobinie makijażu nikt nie zwróci uwagi, przysięgam. A do poniedziałku, kiedy zaczniesz chodzić do szkoły, już zupełnie zniknie.

Przyglądałam się swojemu odbiciu w ręcznym lusterku. Siniak nad moją prawą brwią liczył sobie zaledwie kilka godzin, a już nabierał fioletowej barwy. Z doświadczenia wiedziałam, że do poniedziałku przestanie być fioletowy i przyjmie uroczy odcień zielonkawej żółci.

- Jasne - powiedziałam, żeby ciocia Evelyn poczuła się lepiej. - Jasne, że zniknie.

- Naprawdę - powtórzyła ciocia. - No bo, gdybym nie wiedziała, że on tam jest, w ogóle bym go nie zauważyła. A ty, Tory?

Tory, która siedziała na drugim z pary różowych foteli przy niedziałającym marmurowym kominku, mruknęła:

- W ogóle go nie widzę.

Uśmiechnęłam się do niej słabo. Więc jednak wcale sobie tego nie wyobraziłam. Tory naprawdę zaczęła się do mnie odnosić milej - zadziwiająco miło - od czasu, kiedy walnęłam głową o chodnik. Jak się dowiedziałam, kiedy odzyskałam przytomność, to właśnie Tory zadzwoniła na 911, bo całe zajście widziała z okien salonu. To ona pojechała ze mną karetką, kiedy byłam kompletnie ogłuszona, bo Petra musiała jednak pójść odebrać młodsze dzieci. To Tory trzymała mnie za rękę, kiedy się ocknęłam, zamroczona i obolała, na oddziale pomocy doraźnej.

I to Tory, razem z rodzicami, odebrała mnie ze szpitala wieczorem, kiedy już badania wykazały, że jednak nie doznałam wstrząsu mózgu i nie będę musiała zostawać tam na noc na obserwację (jak się okazało, kurier wyszedł z tego bez jednego draśnięcia. I nawet rower niespecjalnie mu się uszkodził).

Nie miałam pojęcia, co się takiego stało, że kuzyneczka nagle zaczęła się troszczyć o moje samopoczucie. Z całą pewnością nie przejmowała się nim przed wypadkiem. Dlaczego głupota, wskutek której dałam się pozbawić przytomności, miała sprawić, że Tory postanowiła się mną przejmować - nie miałam pojęcia. Przecież to tylko w gruncie rzeczy dowodziło, że Tory miała rację, twierdząc, że jestem wieśniaczką.

Oczywiście, mogło się to jakoś wiązać z obecnością Zacha. Który pojechał do szpitala ze mną. Karetką.

Ale nie wpuścili go do mnie w odwiedzinę na oddział doraźny, bo nie należy do

rodziny. I kiedy się dowiedział, że nic mi nie będzie, wrócił do domu.

Mimo wszystko, jeśli to prawda, co powiedział w altanie Robert - że Tory podkocha się w Zachu - to trafiło im się niezłych kilka godzin sam na sam.

Jednak Zacha już tu nie było, a Tory nadal zachowywała się przyzwoicie. O co w tym wszystkim chodzi? - myślałam.

Odłożyłam lusterko i powiedziałam:

- Ciociu, mam wielkie wyrzuty sumienia. Naprawdę nie musieliście z wujkiem Tedem rezygnować z przyjęcia i zostawać w domu tylko ze względu na mnie. Przecież to w sumie tylko zwykły guz.

- Och, proszę cię - westchnęła ciocia Evelyn, machając dłonią gestem lekceważenia. - To żadne przyjęcie, tylko strasznie nudna impreza charytatywna na rzecz strasznie nudnego muzeum. Prawdę mówiąc, jestem zachwycona, że dałaś nam wiarygodną wymówkę, żeby się od tego wykręcić.

Ciocia Evelyn to młodsza siostra mojej mamy, ale naprawdę trudno dostrzec między nimi jakieś podobieństwo. Mają takie same jasne włosy, ale mama spleta swoje w długi warkocz, który sięga jej aż do bioder, a ciocia Evelyn nosi twarzową, modną fryzurę na pazia.

Nigdy nie widziałam, żeby mama, która będąc pastorem, uważa kosmetyki za rzecz frywolną - ku wielkiemu zmartwieniu mojej siostry Courtney - malowała się. Natomiast ciocia Evelyn używa szminki, tuszu do rzęs, cienia do powiek - i nawet jakichś świetnych kwiatowych perfum. Wygląda - i pachnie - bardzo efektownie i zupełnie nie jak osoba, która ma szesnastoletnią córkę. Co, jak sądzę, dowodzi, że makijaż rzeczywiście się przydaje.

Ciocia Evelyn dostrzegła pusty kubek na szafce przy moim łóżku.

- Chcesz jeszcze trochę kakao, Maggie?

- Nie, dziękuję. - Roześmiałam się. - Jeśli wypiję jeszcze trochę kakao, pęknę. Naprawdę, ciociu, nie powinniście z Tory siedzieć tu ze mną przez cały wieczór. Lekarz powiedział, że nic mi nie jest. To tylko guz, a wiercie mi, już sporo guzów sobie w życiu nabiłam. Nic mi nie będzie.

- Tak okropnie mi głupio - powiedziała ciocia Evelyn. - Gdybym tylko wiedziała, że przyjeżdżasz dzisiaj, a nie jutro, jak sądziliśmy...

- Co byś zrobiła? - zapytałam. - Na wszelki wypadek zakazała wszystkim rowerowym kurierom wyjeżdżać na miasto?

Nie żeby coś takiego podziałało. I tak ktoś by na mnie wpadł. Zawsze tak mam.

- Ja po prostu nie tak sobie wyobrażałam twój pierwszy dzień po przyjeździe do nas - biadolila ciocia Evelyn, kręcąc głową. - Petra miała zrobić filet mignon. Mieliśmy zjeść

razem smaczny obiad, całą rodziną, a nie chińszczyznę na wynos w kuchni po powrocie ze szpitala.

Spojrzałam ze współczuciem na opuszczoną głowę cioci. Biedna... Zaczynało właśnie do niej docierać, jak musi się ciągle czuć moja mama. W związku ze mną.

Powiedziałam całkiem szczerze:

- Przepraszam. Ciocia uniosła głowę.

- Go? - sapnęła. - Przepraszasz? Ale za co przepraszasz? To nie twoja wina...

Tyle że, oczywiście, to była moja wina. Wiedziałam, co robię. Wiedziałam, że ten rower wpadnie na mnie, zamiast na Zacha.

Ale wiedziałam też, że upadek byłby o wiele bardziej niebezpieczny, gdyby trafiło na Zacha. Bo ja się go spodziewałam, a on nie.

Bo niby dlaczego te pelargonie nagle zrobiły się takie czerwone?

Ale, oczywiście, nie powiedziałam tego na głos. Już dawno temu nauczyłam się, że mówienie na głos takich rzeczy tylko prowadzi do pytań, na które zdecydowanie wolałabym nie odpowiadać.

- Puk - puk - dobiegł nas głos wujka Teda zza zamkniętych drzwi sypialni. - Możemy wejść?

Tory wstała i otworzyła drzwi. Na korytarzu stał mój wujek, w ramionach trzymając pięcioletnią Alice, a zza nóg wujka, za którymi się chował, nieśmiało wyglądał dziesięcioletni Teddy Junior.

- Są tu ze mną pewne osoby - zagaił wujek Ted - które chciałyby powiedzieć dobranoc swojej kuzynce Maggie, zanim pójda do łóżek.

- No chodźcie - odezwała się ciocia Evelyn z lekkim niepokojem. - Może na jakąś minutkę. Ale...

Alice, w tej samej chwili, w której ojciec postawił ją na ziemi, jednym susem znalazła się przy moim łóżku, wymachując płachtą białego pakowego papieru.

- Kuzynko Mago, kuzynko Mago. Pats, co dla ciebie zrobiłam! - wygłupiała się.

- Spokojnie, Alice! - zawołała Evelyn. - Spokojnie!

- Nie ma sprawy - powiedziałam. A potem uniosłam Alice, w koszulce nocnej w kwiatki, i posadziłam ją na łóżku, tak jak to robiłam z Courtney, w czasach, kiedy mi na to pozwalała, i jak jeszcze robię to czasami z Sarabeth. - Pokaż mi, co dla mnie zrobiłaś.

Alice z dumą zaprezentowała malowidło.

- Popatrz - powiedziała. - To rysunek dnia, kiedy się urodziłaś. Widzisz, tu jest szpital, a tu ty, jak wychodzisz z cioci Charlotte.

- Łau - wyraziłam uznanie, zastanawiając się, czego właściwie uczą się te nowojorskie przedszkolaki. - To bardzo... obrazowe.

- Świnka morska w przedszkolu właśnie miała małe - wyjaśnił przeproszającym tonem wujek Ted.

- A tu, widzisz? - Alice wskazała wielką czarną plamę. - To chmura, z której wyleciała burza, ta burza, która zgasiła wszystkie światła w szpitalu, jak tylko się urodziłaś. - Alice oparła się o moje ramię z wielce zadowoloną miną.

Z nadzieją, że udało mi się uśmiechnąć wystarczająco entuzjastycznie, oświadczyłam:

- To bardzo ładny plakat, Alice. Powieszę go sobie tam, nad kominkiem.

- Kominek nie działa - poinformował mnie głośno Teddy, stojący w nogach łóżka.

- Maggie o tym wie - odezwał się wujek Ted. - Ale i tak robi się już za ciepło na palenie w kominkach, Teddy.

- Mówiłem im, że to najlepszy pokój dla ciebie - powiedział do mnie Teddy, - No bo ten kominek już jest zepsuty. A gdzie ty jesteś, tam rozwalają się różne rzeczy.

- Teodorze Gardinerze Juniorze! - zawołała ciocia Evelyn. - Natychmiast przeproś swoją kuzynkę!

- Za co? - spytał Teddy. - Sama tak powiedziałaś, mamó. Dlatego wszyscy nazywają ją Magą.

- Znam pewnego młodego człowieka - srożył się wujek Ted - który idzie spać bez deseru.

- Dlaczego? - zdumiał się Teddy. - Przecież mówię prawdę. Patrzcie, co się stało dzisiaj. Rozwaliła sobie głowę!

- Dobra - powiedział wujek, chwytając Teddy'ego za rękę i wywlekając go z pokoju. - Starczy już tej wizyty u kuzynki Maggie. Chodź, Alice. Wracamy do Petry. Chyba ma dla was dwojga jakąś bajkę przed snem.

Alice przytuliła buzię do mojej twarzy.

- Mnie nic, ale to nic nie obchodzi, czy zeczy się psują, kiedy jesteś blisko - szepnęła. - Lubię cię i cieszę się, że psyjechałaś. - Ucałowała mnie, pachniała czyściutkim dzieckiem.

- Dobranoc.

- No cóż - jęknęła Evelyn, kiedy drzwi znów się zamknęły.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

- Nie ma sprawy - rzuciłam, zerkając na malunek Alice.

- To wszystko prawda.

- Och, nie wygłupiaj się, Mago - zaprotestowała moja ciotka. - To znaczy, Maggie.

Nic się nie psuje dlatego, że ty jesteś w pobliżu. Tamto w noc twoich narodzin to było... jak to się nazywa... tornado czy inny huragan, czy coś. A dzisiaj to czysty przypadek.

- Nie ma sprawy, ciociu - powtórzyłam. - Ja się tym nie przejmuję. Serio.

- No cóż, a ja się przejmuję. - Ciocia Evelyn zabrała pusty kubek i wstała. - Powiem dzieciom, żeby nie nazywały cię więcej Magą. Zresztą to i tak niemądre przezwisko. Jesteś już przecież prawie dorosła. A teraz, jeśli jesteś pewna, że nic więcej ci nie trzeba, Tory i ja pójdziemy, żebyś mogła się wyspać. I nie wstawaj jutro rano z łóżka przed dziesiątą, zrozumiano? Lekarz powiedział, że masz dużo wypoczywać. Chodź, Tory.

Ale Tory nie ruszyła się z fotela.

- Przyjdę za chwilę, mamó.

Ciocia Evelyn nie zwróciła uwagi na jej słowa.

- Lepiej chyba pójść zadzwonić do twojej matki - mruknęła, wychodząc z pokoju. - Bóg jeden wie, jak ja jej wytłumaczę to wszystko. Ona mnie chyba zabije.

Kiedy już się upewniła, że matka jej nie usłyszy, Tory cicho przytknęła drzwi sypialni, a potem oparła się o nie i spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi, podkreślonymi kredką, niebieskimi oczami.

- A więc? - zaczęła. - Od jak dawna wiesz? Opuściłam plakat namalowany dla mnie przez Alice. Było już po dziewiątej i naprawdę czułam się zmęczona... Chociaż jeszcze działałam według strefy czasowej Iowa, gdzie przecież było sporo wcześniej. Fizycznie nic mi nie dolegało, dokładnie tak, jak zapewniłam ciocię Evelyn. Guz na głowie prawie mnie nie bolał - jedynie przy dotyku.

Mimo to, mówiąc prawdę, czułam się wyczerpana. Chciałam już tylko pójść do tej pięknej, wykładanej marmurem łazienki i umyć się, a potem z powrotem wleźć do tego wielkiego, wygodnego łóżka i po prostu zasnąć. I to wszystko.

Ale teraz nabrałam wrażenia, że sen będzie musiał poczekać. Bo Tory miała chyba ochotę na pogawędkę.

- Od jak dawna co wiem? - spytałam z nadzieją, że dosłyszysz zmęczenie w moim głosie.

- No cóż, to, że jesteś czarownicą, oczywiście - powiedziała.



## 6

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Tory z jak najpoważniejszą miną opierała się o drzwi. Wciąż miała na sobie tę czarną minisukienkę, a makijaż nadal nietknięty. Cztery godziny siedzenia na twardym plastikowym krześle w poczekalni szpitala w niczym nie zaszkodziły jej idealnej urodzie.

- Czym jestem? - Głos mi się załamał na słowie „czym”.

- Czarownicą, naturalnie. - Tory uśmiechnęła się wyrozumiale. - Wiem, że nią jesteś, nie próbuj zaprzeczać. Jedna czarownica zawsze rozpozna drugą.

Zaczynałam odnosić wrażenie, nie tyle zresztą ze słów, które Tory wypowiedziała, ile z dziwnie spiętej postawy jej ciała - nasz domowy kot, Stanley, właśnie tak zastyga, kiedy szykuje się do skoku - że mówi poważnie.

Takie już moje szczęście. Byłoby o wiele przyjemniej, gdyby ograniczyła się do żartów.

Odparłam, ostrożnie dobierając słowa:

- Tory, przepraszam cię, ale naprawdę jestem zmęczona i bardzo chciałabym iść spać. Możemy o tym pogadać przy jakiejś innej okazji... ?

Powiedziałam nie to, co należało. Zupełnie niespodziewanie Tory się wściekła.

- Ach! - syknęła, prostując plecy. - Ach, więc to tak? Uważasz się za lepszą ode mnie, bo praktykujesz dłużej niż ja? O to chodzi? No to ja ci coś powiem, Maga. Tak się składa, że jestem najpotężniejszą czarownicą w kowenie\*. Gretchen i Lindsey? Tak... one mi do pięć nie dorastają. Nadal rzucają głupie drobne miłosne zaklęcia. Które, tak przy okazji, nie działają. W szkole są ludzie, którzy się mnie boją, tyle mam mocy. I co mi na to powiesz, zarozumiała dziewucho?

Szczęka mi opadła.

Ale cały numer w tym, że powinnam się była domyślić. Nie wiem, dlaczego, kiedy mama opowiedziała cioci Evelyn o tym, co się dzieje, a ciocia Evelyn zaproponowała, żebym przyjechała na jakiś czas do Nowego Jorku, wyobraziłam sobie, że będę tu bezpieczna.

Powinnam była wiedzieć. Naprawdę powinnam była wiedzieć.

- To przez to, co się stało dzisiaj po południu? - spytała ostrym tonem Tory. - Chodzi ci o te prochy? Jesteś na mnie zła, bo się dowiedziałas, że biorę prochy?

Odparłam, nadal oszołomiona (a nawet zawiedziona, chociaż sama nie wiem dlaczego).

---

\*Kowen - grupa wyznawców Wicca (w Mcanizmu), neopogańskiej religii nawiązującej do „białej magii” i czarostwa. Kowen tworzą zazwyczaj czarownice działające w tej samej miejscowości lub regionie (przyp. red.).

Przecież to nie tak, że ciocia Evelyn ma pojęcie o tym, co wyrabia jej córka, w przeciwnym razie na pewno z miejsca położyłaby temu kres):

- Nie, Tory. Szczerze. Nie obchodzi mnie, co robisz. To znaczy, rozumiesz, obchodzi. I uważam, że głupio robisz, eksperymentując z lekami, które nie zostały ci przepisane...

- Ritalin ma tylko pomóc mi dotrzeć do końca półsemestru - przerwała mi Tory. - A valium to po to, żeby... No cóż, czasem mam problemy z zasypianiem. To wszystko. - Tory przeszła przez pokój, a teraz usiadła na łóżku. - To nie tak, że ja serio ćpam, czy coś. Nie bawię się w ekstazy ani kokainę, ani nic takiego. A co, w twoim kowenie krzywią się na narkotyki, czy coś? Boże, to okropnie zacofane.

- Tory... - zaczęłam. Nie mogłam uwierzyć w to, co się właśnie działo. - Ja nie należę do żadnego kowenu czarownic, jasne? I chcę tylko, żebyś mi dała spokój. Nie obraż się, ale jestem naprawdę zmęczona.

Teraz to Tory wytrzeszczyła na mnie oczy, zupełnie jak sowa, i gapiła się na mnie tak, jakbym była jednym z tych łazienkowych kranów w kształcie łabędzia, który nagle zaczął mówić. Wreszcie odezwała się:

- Naprawdę nie masz o niczym pojęcia, tak? Pokręciłam głową.

- Pojęcia o czym?

- O tym, że jesteś jedną z nas - uzupełniła Tory. - Musiałś coś podejrzewać. Przecież nazywają cię Magą, bo ciągle przytrafia ci się coś niezwykłego.

- Owszem, mówią na mnie Maga - odparłam z nutką rozgoryczenia, którego wcale nie zamierzałam ukrywać - bo, jak powiedział twój brat, jeśli się czegoś tknę, to to coś się psuje.

Ale Tory pokręciła głową.

- Nie. Nieprawda. Dzisiaj tak nie było, Maga. Obserwowałam cię. Rozmawiałam przez telefon z mamą, i weszłam do środka, i widziałam wszystko z okna salonu. - Oczy Tory były tak jasne, że zdawały się jarzyć w miękkim świetle lampki przy łóżku. - To było zupełnie tak, jakbyś wiedziała, co się stanie, zanim ktoś zdążył coś zrobić. Zepchnęłaś Zacha z drogi, jeszcze zanim ten rower wjechał na chodnik. Nie mogłaś wiedzieć, w którą stronę skręci kurier. A jednak wiedziałaś. Coś w tobie wiedziało...

- Oczywiście, że coś we mnie wiedziało - warknęłam, poirytowana. - Mam spore doświadczenie. Jeśli jestem w pobliżu, to na pewno zdarzy się najgorsze, co się może zdarzyć. To historia mojego życia. Jeśli coś da się schrzanić, to ja nie mogę tego nie schrzanić.

- Niczego nie schrzaniłaś, Maga - sprzeciwiła się Tory. - Uratowałaś komuś życie. Uratowałaś życie Zachowi.

Znów pokręciłam głową. To było niewiarygodne. Właśnie przed czymś takim chciałam uciec. A teraz zaczynało się od nowa. Moja cioteczna siostra, Tory - ostatnia osobą na świecie, którą bym o coś takiego podejrzewała - próbowała to rozpętać od nowa.

- Posłuchaj, Tor - powiedziałam. - Robisz wielką sprawę z niczego. Ja nie...

- Owszem, Maga. Zrobiłaś to. Zach tak mówi. Gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś, zostałyby z niego mokra plama.

Nagle żołądek rozbolał mnie jeszcze bardziej niż głowa. Spróbowałam jeszcze raz:

- Posłuchaj, Tor. Może...

- Maga, musisz po prostu spojrzeć prawdzie w oczy. Masz dar.

- C - co mam? - Głos uwiązał mi w gardle.

- Dar - powtórzyła Tory. - Babcia nigdy ci nie opowiadała o Branwen?

Roześmiałam się nerwowo. Co innego mogłam zrobić?

- Chodzi ci o tę zwariowaną bajkę ojej praprababce, czy kimś tam? - Próbowałam mówić jak najbardziej lekceważącym tonem. - Daj spokój, Tory. Nie wmawiaj mi, że wierzysz w takie brednie. To tylko głupia historyjka, którą babcia wyciąga zawsze wtedy, kiedy partyjka brydża w hotelu Boca robi się nudna...

- To nie są żadne brednie - burknęła Tory, rozzłoszczona. - I to nie jest żadna głupia historyjka. Nasza prapraprababka z Walii, Branwen, była praktykującą czarownicą. I Branwen powiedziała córce, która powtórzyła swojej córce, ona zaś swojej córce, która powtórzyła babci, że pierworodna córka jej córki... to ma dotyczyć tylko najstarszych, młodszych już nie... będzie miała dar. Dar magii. On chyba czasami przeskakuje kilka pokoleń. Jak włosy. Na przykład, ty odziedziczyłaś po babci rude, chociaż nasze mamy takich nie mają.

Obronny gestem uniosłam dłoń w stronę włosów. Zawsze tak robiłam, kiedy ktoś o nich wspominał.

- Tory - jęknęłam. - Ja naprawdę nie...

- Nie rozumiesz? Nasza praprapra... coś tam, coś tam... babka Branwen mówiła o nas! To my jesteśmy najstarszymi córkami córek naszej babci. To my jesteśmy następnym pokoleniem rodzinnych czarownic!

O kurczę. Wzięłam głęboki oddech. Ta gula w moim żołądku zamieniła się w twardą kulę do kręgli.

- Nie obraż się, Tory - zaczęłam. - Ale moim zdaniem obejrzałaś o jeden odcinek Czarodziejek za dużo. Albo to, albo jeszcze jesteś upalona po tamtym w altanie.

Tory westchnęła.

- No to chyba będę musiała ci to udowodnić, prawda? Przyjrzałam się jej niespokojnie.

- Co mi chcesz udowadniać?

- Nic się nie bój - odparła ze śmiechem. - Nie mam zamiaru wprawiać materacy w lewitację czy coś takiego. - Ześliznęła się z łóżka i podeszła do drzwi. - To nie działa w taki sposób. Zostań tam. - Wymknęła się na korytarz.

Świetnie. Więc teraz moja kuzynka Tory uważa mnie za czarownicę. To po prostu takie... typowe. A przynajmniej typów dla mnie: pechowca.

Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, podniosłam lusterko i znów przyjrzałam się siniakowi. Nie było wątpliwości. Miałam siniaka, nie guza. Był brzydki jak nieszczęście i nie było najmniejszej szansy, że zniknie do czasu, kiedy będę musiała pójść po raz pierwszy do nowej szkoły. Mojej nowej, ekskluzywnej, prywatnej szkoły na Manhattanie. Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Och, a co mi tam! Przecież to nie tak, że jestem jakąś królową piękności. Jak nazwał mnie przyjaciel Tory, Shawn? A, tak. Ruda. Czy tego właśnie powinnam się spodziewać w poniedziałek? Ludzi, którzy będą ze mnie kpili, bo mam rude włosy i pochodzę z tradycyjnie rolniczego stanu? Czy jestem skazana na to, żeby do końca życia robić za kuzynkę Maggie z Iowy?

No cóż, to i tak lepsze niż nosić przezwisko Maga.

Tory wróciła do pokoju trzymając w rękach kartonowe pudełko po butach. Przyniosła mi to coś do łóżka, zamknąwszy za sobą drzwi. Powaga, z jaką Tory niosła to pudełko, sprawiła, że kula do kręgli w moim żołądku zaczęła się zmieniać w coś jeszcze większego. Chyba piłkę do kosza.

- Jeśli otworzysz to pudełko i coś z niego na mnie wyskoczy, to przysięgam, zabiję cię - ostrzegłam.

- Nic na ciebie nie wyskoczy - powiedziała Tory. - Nie zachowuj się jak nedorozwinięta. - Usiadła i ostrożnie zdjęła pokrywkę. Złapałam się na tym, że pochyliłam się, usiłując dojrzeć, co leży w zwojach białej bibułki, chociaż byłam całkiem pewna, że wcale nie chcę się tego dowiadywać.

A wtedy Tory sięgnęła do pudełka i wyciągnęła z niego...

...lalkę.

Przewróciło mi się w żołądku. Ledwie zdążyłam wyskoczyć z łóżka i dopaść toalety, zanim podeszła mi do gardła cała porcja kurczaka kung pao i pieczonych żeberek, które zjadłam godzinę wcześniej.

Nie wiem, jak długo tam klęczałam, wstrząsana torsjami. Ale kiedy wreszcie wyszłam z łazienki, czułam się, muszę to przyznać, lepiej. Ten kłębek nerwów w moim żołądku, wielkości piłki do kosza, zmniejszył się do rozmiarów orzeszka. Tory nadal siedziała na skraju mojego łóżka, a na kolanach trzymała lalkę.

Próbowałam na nią nie patrzeć.

- Nic ci nie jest? - zapytała Tory ze szczerze zatroskaną miną.

Tylko pokręciłam głową i z powrotem schowałam się pod kołdrę. Pościel - o wiele bardziej delikatna niż ta, którą mamy w domu - wydawała się chłodna i miła w dotyku.

- To było obrzydliwe - skomentowała Tory.

- Wiem - zgodziłam się, kładąc głowę na miękkich, wypełnionych puchem poduszkach. - Przepraszam.

- Chcesz, żebym zawołała mamę? - spytała Tory.

- Nie - odparłam, zamykając oczy. - Nic mi nie będzie.

- To dobrze - powiedziała Tory. - No więc, w każdym razie... Widzisz tę lalkę?

Pokiwałam głową, nadal nie otwierając oczu. To nie miało znaczenia, bo już zdążyłam dobrze jej się przyjrzeć przed małą wycieczką, w ramach, której skłaniałam głowę przed bóstwem porcelany. Jeszcze nie widziałam równie niezdarnie wykonanej lalki. Tory na pewno uszyła ją samodzielnie. Skleciła ją z jakiegoś materiału w cielistym odcieniu. Lalka ubrana była w białą koszulę i szare spodnie, i nosiła krawat w czerwono - niebieskie paski. W tym stroju było coś znajomego. A najdziwniejsze w tej lalce było to, że na głowie miała zwariowaną szopę prawdziwych ludzkich włosów. Niektóre były ciemnobrunatne, a inne agresywnie czarne. Zupełnie jak... .zupełnie jak włosy Tory. Tory z dumną miną zapytała mnie:

- Poznajesz go?

Nie miałam innego wyjścia, musiałam otworzyć oczy.

- Sama nie wiem... - powiedziałam. A potem do mnie dotarło. Lalka miała na sobie mundurek Liceum Chapmana. - To ma być Shawn? - spytałam słabym głosem.

- Nie, ciemniaczko - zaśmiała się Tory. Najwyraźniej nie zauważyła, że coś jest nie tak. - To Zach. Widzisz te ciemne włosy?: W zeszłym miesiącu uprosiłam go, żeby dał mi się ostrzyc. Myślałam, że zwariowałam! A potem wzięłam trochę jego włosów i połączyłam je z własnymi, i zrobiłam tę lalkę. Jak długo nasze włosy są razem, nie będzie mógł zakochać się w nikim innym. To czar, rozumiesz? Miłosne zaklęcie. Znalazłam je w Internecie. Niezłe, co? Miłosne zaklęcie. Z Internetu.

Przez chwilę wydawało mi się, że znów zwymiotuję. Na szczęście fala mdłości

minęła.

- Myślałam, że chodzisz z Shawnem - jęknęłam słabo.

- Bo chodzę - odparła Tory. - Ale zawsze miałam słabość do Zacha. Boże, on jest taki seksowny, nie sądzisz? Oczywiście, jesteśmy sąsiadami od zawsze. Przez długi czas chyba nie do końca zdawał sobie sprawę z mojego istnienia. To znaczy, jako dziewczyny. Byłam tylko pyzată małą Tory z sąsiedztwa. Ale wszystko zaczęło zmieniać się na lepsze, odkąd odkryłam magię... I odkąd zrobiłam tę lalkę. Zdaje mi się, że on wreszcie zaczyna zmieniać zdanie.

- Raczej nie wygląda jak ktoś w twoim typie - zauważyłam, myśląc o słowach Zacha „Nie lubię być narąbany przed zmrokiem”. A przynajmniej nie wyglądał jak ktoś w typie tej nowej, odmienionej Tory.

- Owszem - przyznała. - O wiele bardziej interesuje go szkoła niż imprezy. Ale wiesz... właśnie dlatego potrzebuje mnie, żeby się rozkręcić. A kiedy będzie już mój, to się wszystko zmieni.

Kiedy będzie już mój...

Znow zamykając oczy, powiedziałam:

- Moim zdaniem bawienie się w czary to nie jest dobry pomysł, Tor.

- A czemu nie? - spytała Tory, szczerze zdziwiona. - To nasze genetyczne dziedzictwo. I to działa, serio. Odkąd rzuciłam zaklęcie, nie spotkał się z żadną inną. A do nas zagląda po szkole prawie codziennie.

Pomyślałam o tym, co mówili Robert i inni. Prawdopodobnym powodem codziennych odwiedzin Zacha u Gardinerów wydawało mi się nie to, że Tory zrobiła tę lalkę, ale raczej to, że tu mieszka Petra.

Nie powiedziałam tego na głos. Rzuciłam tylko:

- To mi się wydaje takie trochę... Sama nie wiem. Nachalne.

- No cóż! - Tory uśmiechnęła się szyderczo. - Powinnaś wiedzieć najlepiej.

Otworzyłam oczy i rzuciłam jej niechętne spojrzenie, ale nic nie skomentowałam. Co miałam powiedzieć? Miała rację. I to bardziej niż sądziła.

- Nieważne - westchnęła Tory, wzruszając ramionami, - i popatrz na to.

A potem wyjęła igłę, która leżała w pudełku po butach i wbiła ją w głowę lalki - Zacha.

- Hej! - zawołałam, siadając na łóżku prosto. Serce zaczęło mi mocno walić. - Co ty wyrabiasz?

- Wyluzuj - sarknęła Tory. - Przekłuwam jego myśli. Widzisz? Teraz nie ma wyjścia,

będzie musiał myśleć o mnie.

Przyznam, niemal spodziewałam się, że usłyszę krzyk Zacha z domu obok. Na szczęście dobiegły mnie tylko szmer fontanny z ogrodu pod oknami i policyjna syrena gdzieś w mieście.

- Jezu - jęknęłam, patrząc, jak Tory wierci igłą w wypchanej bawełną głowie lalki. - Nie byłabym taka pewna, że on myśli teraz o tobie. Już prędeż o tym, żeby wziąć coś na ból głowy.

- Zach nie spotyka się z nikim innym, odkąd zrobiłam tę lalkę.

- Już to mówiłaś - wytknęłam jej. A potem, z ociąganiem, bo nie byłam pewna, jak Tory na to zareaguje, zapytałam: - Al z tobą już się umówił?

- No cóż - podjęła Tory, odkładając lalkę z powrotem do pudełka po butach. - Niezupełnie. Ale już ci mówiłam, przychodzi tu...

- ...codziennie po szkole. Tak... to też mówiłaś. Pokręciłam głową. - Słuchaj, przepraszam cię, Tor. Ale... te całe czary? To nie jest dobry pomysł. Zaufaj mi, dobra?

- To nie są żadne „te całe czary” - odezwała się Tory. - I nie chodzi o żaden pomysł. To fakty. Jestem czarownicą. Ty chyba też jesteś, jako pierworodna córka.

Orzeszek w moim żołądku zamienił się w pomarańczę.

- Tory - powiedziałam. - To znaczy, Torrance. Mówię poważnie. Możemy o tym wszystkim pogadać przy jakiejś innej okazji? Wierz mi, niezbyt dobrze się czuję.

Tory zasłoniła pudełko pokrywką.

- Jeśli już cokolwiek, to powinnaś czuć ulgę. Że wreszcie nie jesteś sama. - Pochyliła się i nakryła moją dłoń swoją. - Wcale nie jesteś jakimś dziwadłem, Maga.

Gdyby tylko wiedziała...

- Kurczę - sapnęłam. - Dzięki. To... pocieszające.

- Ja wiem, że trudno to wszystko tak od razu przetrwać - ciągnęła Tory. - I przyznam, że dla mnie to też było pewnym szokiem. Prawdę mówiąc, kiedy babcia po raz pierwszy opowiedziała mi tę historię, wtedy, kiedy po raz ostatni wszyscy pojechaliśmy do niej na Florydę w odwiedziny, pomyślałam, że to ja jestem tą wybraną. Tą, o której mówiła Branwen, wnuczką, której został przekazany dar. Ale nie da się zaprzeczyć, po tym, co widziałam dzisiaj, że ty, Maga, też masz dar. Sama musisz przyznać, że przekazywana z pokolenia na pokolenie przepowiednia Branwen mogła zostać nieco przekreślona. Musiało jej chodzić o córki córek babci. A nie o córkę córki. Bo babcia ma dwie córki, a każda z nich też ma córkę. Więc musi chodzić o nas obie. Obie jesteśmy czarownicami. Znajdzie się przecież miejsce dla dwóch czarownic w jednym pokoleniu, prawda? - Nie czekając na moją

odpowiedź, Tory mówiła dalej: - Więc teraz wystarczy tylko, że nauczysz się z niego korzystać. To znaczy z daru przekazanego nam przez Branwen. Mogę ci w tym pomóc. Musisz tylko przyjść na sabat mojego kowenu. Przy naszych połączonych mocach: twojej i mojej, nie wiadomo, co nam się uda osiągnąć. Na przykład rządzić szkołą. Ale dlaczego poprzestawać na tym? Boże, Mago! Mogłybyśmy rządzić światem.

- Nie - powiedziałam szybko. Tory się zdziwiła.

- Jak to, nie?

- Bo... - Wzięłam następny głęboki wdech. Wiedziałam, że się wścieknie. Ale wolałam gniew Tory, niż gdyby miała odkryć prawdę. - Wiesz, nie wydaje mi się, żeby eksperymentowanie z czarami było takim świetnym pomysłem. To znaczy, ja się na tym słabo znam, ale powiedzmy, że to wszystko faktycznie prawda: że nasza praprababka była czarownicą i przekazała nam swoje moce. Czy to naprawdę w porządku, używać ich po to, żeby łapać facetów w pułapkę? No bo, z tego co wiem o czarach, praktykujący magię powinni wykorzystywać ją w dobrym, a nie w złym celu?

- A co jest złego w zapewnieniu sobie uczucia faceta, w którym siękochasz? - Tory przewróciła oczami. - Proszę. Nawet mi tu nie wyjeżdżaj z tym całym badziewiem o poszanowaniu natury i czczeniu drzew...

Z najwyższym trudem powstrzymałam się, żeby jej nie przywalić.

- To nie jest żadne badziewie - wycodziłam, wysiłkiem woli trzymając ręce przy sobie.  
- Z tego, co wiem, czary wiążą się właśnie z wykorzystywaniem sił natury: jej energii, pochodzącej albo z ziół, albo z kamieni, albo z twojego własnego wnętrza, żeby zmieniać świat wokół. Jeśli nie szanujesz tego, z czego czerpiesz moc, to ta moc obraca się przeciwko tobie. A jeśli używasz jej w negatywnym celu... jak z tą twoją lalką, której podstawowym zadaniem jest pozbawić Zacha wolnej woli, żeby nie mógł polubić tego, kogo sam zechce... to osiągniesz w rezultacie tylko coś złego.

Tory już nie robiła zdziwionej miny. Teraz była zwyczajnie wkurzona. Jej ładne usta prawie znikły, tak mocno je zacisnęła.

- Dobra - syknęła. - Miałam nadzieję, że wykażesz się w tej sprawie większą otwartością. Mimo wszystko, to przecież twoje dziedzictwo. Jeśli chcesz do końca życia zostać prostą wsioczką, to chyba masz do tego prawo. Ale zapamiętaj sobie jedno, Mago, kiedy zmienisz zdanie, zgłoś się do nas.

Wstała, zabierając pudełko z lalką Zacha, i ruszyła do drzwi.

- W sumie - dodała, sięgając do klamki. - Jesteśmy wszędzie. Jakbym jeszcze tego nie wiedziała.



Z drogi.

Skręciłam na lewą stronę ścieżki i ktoś za moimi plecami zaraz warknął:

- Ty, rusz się!

Odsunęłam się na bok, a biegnący wyprzedzili mnie. Wszyscy mnie wyprzedzali. Wiem, że nie jestem najbardziej wysportowaną osobą na świecie, trudno. Ale to już zakrawało na jakieś kpiny.

W sumie, to wszystko zakrawało na jakieś kpiny. W Iowa, system szkolnictwa wymaga w liceum tylko jednego roku wuefu, a ja wuef zaliczyłam już w pierwszej klasie.

A w Liceum Chapmana, jak się okazało, tylko klasa maturalna nie ma wuefu. Otyłość szerzy się w całej Ameryce, to ważne, żeby utrzymywać formę fizyczną i tak dalej.

Ale w ten sposób, pierwszego dnia w nowej szkole znalazłam się na zwirowanej alejce okalającej zbiornik wodny w Central Parku - bo Liceum Chapmana nie ma sali gimnastycznej, więc lekcje wuefu prowadzone są w najśłynniejszym parku świata - w białym T - shircie i granatowych szortach do biegania, moim zdaniem żenująco krótkich.

Nie dość, że jestem najwolniejszym biegaczem świata, to jeszcze muszę przy tym idiotycznie wyglądać.

Takie już moje szczęście.

- Suń się - wydyszał ktoś za moimi plecami. No to się usunęłam. Tym razem była to jakaś rączka jasnowłosa dziewczyna, która minęła mnie w szybkim tempie. Obserwowałam jej podskakujący kucyk, dopóki nie zniknął za łagodnym zakrętem trasy, i zastanawiałam się, jak to się stało, że w Liceum Chapmana już zdążyłam stać się społecznym wyrzutkiem.

Początkowo miałam nadzieję, że ciuchy nie zrobią ze mnie pariasa, bo wszyscy u Chapmana muszą nosić mundurki.

Potem zdałam sobie sprawę, że może chodzić o moją biżuterię - czy raczej jej brak. Większość dziewczyn w mojej klasie - włącznie z blondynką, która mnie właśnie wyminęła - miała w uszach kolczyki z brylantami, niektóre rozmiarów moich paznokci u nóg. Bardzo wątpiłam, żeby to były kwadratowe cyrkonie.

A ich zegarki... Ze zdumieniem dowiedziałam się, że Tory nosi gucciego. Chanelle miała roleksa. W Chapmanie nikt chyba nigdy nie słyszał o Swatchu ani Timeksie.

I najwyraźniej mokasynów od Niny West nie uznaje się za obuwie odpowiednie dla uczennicy drugiej klasy Chapmana. Chociaż jedyna różnica, jaką udało mi się zauważyć między moimi butami a markowymi Ferragamosami Tory, to tak ze czterysta dolców w cenie,

moje są nie do przyjęcia, a Tory owszem.

Wychodzi na to, że noszenie butów kupionych nie w tym sklepie co trzeba i brak biżuterii, w połączeniu z tym wielkim siniakiem na czole - ogromnie twarzowym, oczywiście - oraz moją kompletną nieumiejętnością poruszania się po klasie bez potykania się o rzeczy albo wpadania na ludzi, wybitnie przyczyniły się do przyznania mi statusu nieudacznika.

I okazało się, że nawet tak daleko od domu nie mogę uciec przed swoim przezwiskiem, bo Tory złośliwie tak do mnie zawołała, kiedy w czasie lunchu w stołówce pierwszego dnia upuściłam puszkę z napojem - która natychmiast eksplodowała - i od tej pory wszyscy brali z niej przykład, i zwracali się do mnie: Mago.

Maga. Już zawsze będę Magą.

„Nie jesteś studolarówką. Nie każdy się tobą z miejsca zachwyci”, babcia lubiła tak mówić do nas, dzieci, w czasie częstych wizyt, kiedy przyjeżdżała ze swojego osiedla dla emerytów w Słonecznym Stanie.

Z tym „nie każdy” to już by chyba było niedopowiedzenie roku. Jakby los córki pastora nie był sam w sobie wystarczająco ciężki. No bo ludzie spodziewają się, że będziesz albo totalną cnotką, albo totalną zdzirą, jak dziewczyna grana przez Lori Singer w Footloose.

To zupełnie tak, jakby ludzie po prostu... wiedzieli. Znaczący, o tym, że jestem córką pastora. Może to naprawdę przez ten mój zdrowy wiejski wygląd. A może chodzi o skrzypce - bo zapisałam się do szkolnej orkiestry, na jedyne zajęcia, podczas których w pewnym sensie znalazłam się na swoim miejscu... Chociaż podniosły się szmery, kiedy po przesłuchaniu od razu dostałam drugie krzesło.

Jakby to była moja wina, że mam świra i lubię ćwiczyć grę na skrzypcach.

A może chodzi o to, że nie znam Kayne'a Westa ani Laguna Beach, ani różnej innej muzyki i filmów, których w domu nie wolno mi było słuchać ani oglądać ze względu na młodsze rodzeństwo.

Cokolwiek by to było - wszystko, co już wymieniłam, albo coś, czego w ogóle nawet jeszcze nie wzięłam pod uwagę - czułam się zupełnie tak, jakby ktoś przystawił mi na czole pieczętkę z napisem WYRZUTEK, a większość uczniów z Chapmana odpowiednio na to reagowała.

Ale przynajmniej tutaj, w zaroślach Central Parku, nie było tłumu ludzi, którzy mogliby zobaczyć, jak robię z siebie pośmiewisko i potykam się w biegu o pień drzewa, czy coś w tym rodzaju. Oczywiście, takie już moje szczęście, że zaczęłam szkołę pierwszego dnia Prezydenckiego Testu Sprawności, który obejmował, między innymi, bieg na czas. Naprawdę sądziłam, że nauczyciel od wuefu żartuje, kiedy wskazał ręką zbiornik wodny który, moim

zdaniem, przypomina jezioro - i poinformował nas, że mamy go obieć wkoło dwa razy.

Pogięło go?

Najwyraźniej nie, skoro reszta klasy, mnóstwo ludzi przebranych w takie same stroje - z nieśmiałości unikałam ich spojrzeń, nawet nie udało mi się przyjrzeć im na tyle dokładnie, żeby, jakby to powiedzieć, ocenić konkurencję - wystartowała pędem po żwirowanej ścieżce. Musiałam się sprężyć, chcąc ich dogonić.

Mimo wszystko, sprawdzian z biegu nie był jakoś upiornie nieprzyjemny. Zabawnie się czułam wśród tej całej zieleni, drzewa rosły wkoło bardzo gęsto, a jednocześnie nad ich koronami widziałam drapacze chmur górujące nad miastem.

Na ścieżce do biegania poza naszą klasą byli też jacyś inni ludzie. Widziałam turystów, którzy spacerowali ze swoimi saszetkami na dokumenty i aparatami fotograficznymi, i grupki szkolnych maluchów z nauczycielami, przechodzące przez park w drodze do Muzeum Historii Naturalnej, a nawet jeźdźców, w bryczesach do jazdy konnej i czarnych toczkach, którzy kłusowali tuż obok biegających.

W sumie to wszystko było nawet całkiem fajne.

No cóż, pomijając przymus biegania.

A potem jakiś chłopak odezwał się za moimi plecami:

- Hej.

Myśląc, że znów ktoś chce, żebym mu zeszła z drogi - chociaż biegłam już tak blisko krawędzi ścieżki, jak tylko się dało, nie zbacząc na trawnik - obejrzałam się, poirytowana...

I potknęłam o wystający korzeń.

- Uważaj! - Biegający zatrzymał się, pochylając nade mną. - Nic ci się nie stało, kuzynko Maggie z Iowy?

Przynajmniej się nie przewróciłam. Potknęłam się, owszem, ale chociaż raz w życiu nie padłam prosto na pysk i nie zrobiłam sobie nic złego. Złapałam równowagę i usiłując nie uśmiechać się zbyt szeroko, z nadzieją, że on nie dostrzeże, jak mocno mi wali serce (wcale nie tylko od biegania), wysapałam:

- Cześć, Zach.

Wyszczrzył się do mnie od ucha do ucha. Tak jak ja, miał na sobie białego T - shirta. Ale w przeciwieństwie do moich, jego granatowe szorty wcale nie wydawały się za krótkie - były akurat.

Więcej niż akurat. Wyglądał w nich świetnie.

- Nie zauważyłam cię na tej lekcji - powiedziałam. A potem zmarszczyłam brwi. - Dlaczego ty w ogóle jesteś tutaj? Myślałam, że chodzisz do maturalnej?

Zach wzruszył ramionami.

- Przez całą trzecią klasę byłem za granicą. Chapman wymaga trzech lat wuefu. Dlatego tu jestem.

- Och - odezwałam się mało błyskotliwie. Jacyś biegacze wypadli pędem zza zakrętu. Zach złapał mnie za ramię i ściągnął ze ścieżki prosto w parkowe zarośla.

- Jezu... - mruknął, spoglądając śladem biegnących, wyraźnie rozzłoszczony. - Myślałby kto, że biorą udział w olimpiadzie.

- No cóż - stęknęłam. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. - Może lepiej do nich dołączmy, albo prezydenta rozczaruje nasz brak formy fizycznej.

Zach zerknął na zegarek. Nie umiałam stwierdzić, czy to rolex, jaku wszystkich innych z Chapmana, ale wyglądał dość imponująco.

- Coś ci powiem - szepnął Zach. - W sumie jakoś nie wierzę, żeby prezydenta obchodziła moja kondycja. Wynośmy się stąd.

Obejrzałam się na ścieżkę do biegania.

- Ale jeśli nie dokończymy trasy...

- Ależ dokończymy - odparł Zach, nadal szeroko uśmiechnięty. - Przybiegniemy odpowiednio zdyszani i zasapani wśród najlepszych. Znam taki jeden skrót...

Popatrzyłam na zwirowaną ścieżkę, a potem znów na Zacha. Jeszcze nigdy w życiu nie uciekałam z żadnej lekcji. Jestem przecież córką pastora.

Ale wtedy do mnie jakoś dotarło: mamy nigdzie w pobliżu raczej nie było.

Na szczęście ta guła w moim żołądku - która przez cały dzień na zmianę rosła i malała, w zależności od okoliczności - akurat wtedy jakby nieco odpuściła... Chociaż nie miałam pojęcia, czy to ze względu na obecność Zacha, czy mimo jego obecności.

Powiedziałam więc:

- Dobra. Jeśli obiecasz, że nie będzie z tego kłopotów. Nie chcę sobie nagrabić już pierwszego dnia.

- Słowo skauta. - Uniósł trzy palce. Uśmiechnęłam się.

- Nigdy nie byłeś skautem. Założę się, że tu w Nowym Jorku w ogóle nie mają skautów.

- No cóż, pewnie mają, ale masz rację, ja nigdy nim nie byłem - odparł.

Skrót Zacha doprowadził nas nie w głąb gęstych parkowych zarośli, jak się tego obawiałam, tylko na wyłożony płytami chodnik. Trudno byłoby powiedzieć, że przewalały się po nim tłumy ludzi, ale dokoła kręciło się tylu sprzedawców lodów i turystów, że mogłam się wyluzować. A potem Zach podszedł do jednego z lodziarzy, obrócił się w moją stronę i

zapytał:

- Na co masz ochotę?

Przystanęłam i przyjrzałam się zdjęciom z boku wózka. Wielu rodzajów lodów nie rozpoznawałam. Widać nawet lody w Nowym Jorku są inne.

- Jejku - westchnęłam, wskazując potężnego loda na patyku, w czerwono - niebiesko - białe pasy. - Co to jest?

- Dwa Jumbo Jetstar - zwrócił się Zach do sprzedawcy. A na mój użytek dodał: - Znane też pod nazwą Rakieta. W głowie mi się nie mieści, że nigdy ich jeszcze nie jadłaś. Co wy tam jecie w Iowa? Lody z ziemniaków?

Urażona w imieniu swojego stanu, odparłam z oburzeniem:

- Ziemniaki to w Idaho. A w Iowa jest mnóstwo różnych świetnych lodów. Na przykład różki z polewą wiśniową.

Zach wzruszył ramionami.

- Założę się, że nie macie tam gelato.

- Mamy, pewnie że tak.

- I wiem, co to polewa wiśniowa. To wyjątkowe paskudztwo, którego spożywaniem nie należy się przechwalać.

Sprzedawca podał Zachowi dwa lody, a Zach wręczył mu pięciodolarowy banknot wyciągnięty ze skarpety. I wtedy dotarło do mnie, że nie mam przy sobie żadnej gotówki.

- Cała przyjemność... - powiedział Zach, kiedy o tym wspomniałam. A potem wręczył mi szarmanckim gestem mojego Jumbo Jetstar. - Chociaż tyle mogę zrobić, żeby ci się odwdziżyć. Uratowałam ci życie. W dawnych czasach pewnie byłbym ci winien dożgonną służbę, czy coś.

Poczułam, że czerwienię się pod kolor górnej jednej trzeciej trzymanego w ręku loda.

- Nie uratowałam ci życia - zaprotestowałam.

- Tak? - Zach miał rozbawioną minę. - No, jak tam sobie uważasz. Jak ci smakuje Rakieta?

Smakowała jak każde inne lody, jakich zdarzyło mi się w życiu spróbować, ale z grzeczności odpowiedziałam:

- Jest bardzo smaczna.

- Mówiłem.

Te lody trochę mnie schłodziły. Jak na kwiecień, pogoda była ciepła i teraz, kiedy wyszliśmy z cienia drzew, słońce niezłe przygrzewało. Oprócz lodziarzy, ładna pogoda zwabiła do parku amatorów jazdy na rolkach i nianie pchające dziecięce wózki. Widziałam

nawet kilka osób, które się opalały.

- No i jak? - odezwał się Zach, kiedy tak sobie szliśmy spacerem. - Twój siniak wygląda lepiej.

Z zażenowaniem uniosłam dłoń w stronę czoła. Oczywiście, Zach po prostu starał się być miły. Siniak, jeśli już, wyglądał gorzej niż przedtem. Zach widział go dzień wcześniej, kiedy przyszedł do Gardinerów z rodzicami, zobaczyć, jak się miewam. Ku mojemu kompletnemu i bezdennemu zawstydzeniu, przytargali ze sobą dwadzieścia parę różowych róż, które wręczyli mi z podziękowaniem za to, co - ich zdaniem - zrobiłam dla Zacha.

Próbowałam zareagować z wdziękiem, tak jak uczyła mnie mama. Ale nie było łatwo. Bo wszystkim - nie tylko jednej Tory - wydawało się, że oto zdobyłam się na wielki, heroiczny czyn i rzuciłam się pod koła tracącego panowanie nad rowerem kuriera. A tak naprawdę, to był tylko typowy dla mnie pech. Podczas całej wizyty Zacha i jego rodziców nie przestawałam marzyć, żeby parkiet salonu Gardinerów rozstąpił się przede mną i pochłonął mnie żywcem. Rodzice Zacha są naprawdę na poziomie, tata jest prawnikiem specjalizującym się w przemyśle rozrywkowym, a mama prawniczką od podatków, i to z całą pewnością bardzo mili ludzie.

Ale ja bym naprawdę, ale tak naprawdę wołała, żeby do nas nie przychodzili. Trudno mnie nazwać najbardziej towarzyską osobą pod słońcem i czułam się niesamowicie niezręcznie, stając się ośrodkiem całego tego zainteresowania.

Wielka w sumie szkoda, że akurat ja, a nie Tory, stałam na drodze tego rowerowego kuriera, kiedy o mało nie wpadł na Zacha. Gdyby Zacha uratowała Tory, a nie ja, byłaby zachwycona tym całym zamieszaniem, tymi różami, tą uwagą. Zamiast tego, musiała całej scenie przyglądać się w roli widza. Opierając się nogą o ścianę, z jednym kolaniem w rajstopach kabaretkach uniesionym i z kocim uśmiechem na ustach, obserwowała, jak nieporadnie brnę przez uprzejmą rozmowę z rodzicami Zacha.

Zach natomiast usiadł na białej kanapie, w obu dłoniach ściskając puszkę coli i do rozmowy wnosił niewiele, ale za to dużo się uśmiechał. Tory potem stwierdziła, że Zach przez cały czas gapił się na jej kolano, to, które uniosła, opierając stopę o ścianę. No wiecie, że niby tak bardzo jej pragnie, czy coś w tym stylu.

Miałam nieco odmienne wrażenie - że Zach patrzył na mnie. Bo za każdym razem, kiedy unosiłam wzrok, jakoś tak chwytałam jego spojrzenie.

Ale nie wspominałam o tym Tory. I pewnie się pomyliłam, a on faktycznie zerkał na jej kolano.

Mimo to, wszyscy mieli wystarczająco dużo czasu, żeby dokładnie obejrzeć mój

siniak, przeanalizować jego rozmiar i barwę, oraz snuć prognozy, co do czasu, jaki minie, zanim zniknie. Zastanawiałam się już, czy nie spakować swoich rzeczy i nie wracać do Iowy (tak tylko mówię, oczywiście).

Ale to wszystko sprawiło, że zatęskniłam za własną rodziną, która siniaki nabijane mi przez los (oraz takich jego przedstawicieli jak ten rowerowy kurier) traktowała bez sensacji. Nie pomogło mi nawet wysłanie odpowiedzi na kilka maili od mojej najlepszej przyjaciółki, Stacy, z laptopa, który pożyczył mi wieczorem wujek Ted. Naprawdę żałowałam, że nie mogę wrócić do domu.

Ale upomniałam samą siebie, że właśnie dostałam ponad dwadzieścia róż od rodziców chłopaka, w którym (w sumie mogę się do tego przyznać) zaczynałam się zakochiwać - chociaż wiedziałam, że on się we mnie na pewno nie zakocha, bo kochał się w pewnej przeuroczej niemieckiej au pair - i że to o wiele lepsze niż wszystko, co działo się w domu.

Teraz spojrzałam na swojego Jumbo Jetstar (jeszcze bardziej niż kiedykolwiek żałując, że parę miesięcy temu podjęłam taką, a nie inną decyzję) i powiedziałam:

- Dzięki.

- Jednego tylko jeszcze nie rozgryzłem - podjął Zach, kiedy mijaliśmy sadzawkę, na której ludzie (było wśród nich nawet paru dorosłych mężczyzn) puszczali małe modele łódek.

- A mianowicie, dlaczego cała rodzina nazywa cię Magą.

Westchnęłam.

- Myślałam, że po tym co się stało, to oczywiste. Jestem jak magnes na pecha. W sumie, odkąd się urodziłam, gdziekolwiek się znajdę... No cóż, zawsze wszystko idzie mi na opak. - Opowiedziałam mu o tej gwałtownej burzy, która rozpętała się dokładnie w chwili moich narodzin, i o pacjentach, których trzeba było ewakuować do szpitala w sąsiednim hrabstwie ze względu na przerwę w dostawie prądu.

- Lekarz, który był przy moim porodzie, zażartował sobie, że rodzice powinni mnie nazwać nie Maggie, ale Maga. No bo niby mam magiczne właściwości ściągające pecha... - ciągnęłam. - I wszystkim wydało się to szalenie zabawne, a przezwisko jakoś przyłgnęło. Niestety.

Zach wzruszył ramionami.

- No cóż, nie jest jeszcze tak źle. Tata ma taką klientkę, która urodziła się z buzią pełną śliny, więc wszyscy mówią na nią Piana. To chyba gorsze.

- Pewnie masz rację - powiedziałam.

Ale w pewnym sensie wątpiłam, żeby Piana przez całą resztę życia cierpiała na nadmiar śliny w ustach, podczas gdy mnie pech nadal nie odpuszczał, nawet po szesnastu

latach.

A to mi przypomniało, że postanowiłam o coś Zacha zapytać, jeśli jeszcze kiedyś uda mi się znaleźć z nim sam na sam.

- Co do mojej kuzynki, Tory... - zaczęłam z wahaniem. Bo, oczywiście, chociaż wiedziałam, co Tory czuje do niego, nie do końca wiedziałam, co on czuje do niej. Pamiętałam, jaką zdziwioną miał minę, kiedy Robert wspomniał, że on się kocha w Petrze... I że Tory zarywa do niego.

- Tak? - Udało mu się rozciągnąć to słowo w taki sposób, że składało się z kilku sylab.

- Czy ona, hm... dużo, hm.... Ćpa? To znaczy, czy ma jakiś problem? Czy to tylko tak dla zabawy? Nie, żeby zamierzała nakablować jej rodzicom - dodałam pośpiesznie. To kolejną paskudną sprawą. Kiedy jesteś córką pastora, wszyscy automatycznie zakładają, że jesteś kapusiem. - Ale jeśli to coś poważnego...

- Kiepska sprawa, jak się jest córką pastora - ocenił Zach, wrzucając właśnie znalezione jednocentówkę do stawu. Prawda?

O rany. Zacerwieniłam się. To było zupełnie tak, jakby czytał w moich myślach.

- Tak... - przyznałam, czując, że znów drgnęła mi ta struna w sercu. Maggie, uspokój się. Jemu podoba się Petra, z którą nijak nie mogłabyś konkurować. Nawet gdybyś chciała. A przecież nie chcesz, bo ona jest twoją przyjaciółką. - Czasem tak bywa.

- Tak myślałem. Nie mów nikomu, straciłbym całą pozycję wśród ludzi, ale kiedy byłem mały, Siódme niebo to był mój ulubiony serial. - Mrugnął do mnie.

Roześmiałam się. Podobało mi się, że kiedy byłam w jego towarzystwie, moja gula w żołądku zdawała się gdzieś znikać.

- To niezupełnie tak - odparłam. - A przynajmniej, nie jest tak źle. Ja tylko... Po prostu martwię się o Tory, to wszystko.

- Większość tego, co mówi i robi twoja kuzynka - powiedział Zach - mówi i robi po to, żeby na siebie zwrócić uwagę. Twoja ciotka i wujek są zabiegani, a Tory to taka trochę aktorka, jeśli sama jeszcze nie zauważyłaś. Moim zdaniem, ona uważa, że musi posuwać się do ostateczności, żeby ktoś ją zauważył. Jak z tą całą zabawą w czary.

Znów mnie zabolalo w żołądku, i to mocno. Łau. I to by było na tyle, jeśli chodzi o przerwę od dolegliwości żołądkowych w towarzystwie Zacha.

- Ach - sapnęłam, a struny w moim sercu już nie tylko drżały, ale wibrowały. - Wiesz o tym?

- Żartujesz sobie? Moim zdaniem Tory zadbała o to, żeby cała szkoła wiedziała. O niej i o tym jej kowenie czarownic. Raz nawet przyniosły do szkoły taki specjalny kociołek -



ciągnął - żeby odprawiać swoje czary w stołówce. Ale uruchomiły alarm przeciwpożarowy. Dyrektor Baldwin mocno się wściekł. Tory próbowała robić z tego wielką sprawę, że niby odmawia jej praktykowania wyznawanej przez nią religii. Jakby czary były religią.

- W sumie - odezwałam się, urażona jego tonem - można tak powiedzieć. Ale nie należy mylić tego, co robią Tory i jej przyjaciółki... tej zabawy w czarownice... z prawdziwą magią. Prawdziwe czarownice nie rzucają zaklęć po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale dlatego, że to im daje poczucie głębokiego duchowego spełnienia. A czary, jeśli odprawiane są we właściwy sposób, w znacznie większym stopniu wiążą się z dziękczynieniem naturze i okazywaniem jej szacunku niż z próbami nagięcia jej do własnej woli lub... lub sprawienia, żeby coś się magicznie pojawiało czy zniknęło.

- Nie wmawiaj mi - powiedział tonem dezaprobaty - że ty też jesteś jedną z nich.

- Nie jestem - zapewniłam go pośpiesznie. - Ale jednym z efektów ubocznych urodzenia się w rodzinie pastora jest zainteresowanie praktykami duchowymi. Wszystkimi rodzajami duchowych praktyk. Mogę ci też opowiedzieć o szamanizmie, jeśli chcesz.

- Zostawmy to sobie na później - postanowił Zach. - To chyba znaczy, że mogę ci wierzyć na słowo w sprawie wikkanizmu. Ale i tak wciąż mi się wydaje, że twoja cioteczna siostra weszła w ten cały wikkanizm nie z jakichś new age'owskich, zalatujących płatkami zbożowymi powodów, ale dlatego, że to najnowsza moda w jej towarzystwie.

- Mam wrażenie, że w przypadku Tory chodzi o coś poważniejszego - powiedziałam, myśląc o tym, jak się na mnie rozzłościła, kiedy rozmawiałyśmy o naszej przodkini, Branwen, mojego pierwszego wieczoru w Nowym Jorku. - Ale cieszę się, skoro mówisz, że ona nie ma żadnego problemu. To znaczy, z prochami.

- Szczerze, moim zdaniem Tory jest za bystra, żeby w taki sposób dać sobie namieszać w głowie. Uważam, że wiele z tego, co widziałas w altanie parę dni temu, to zwyczajne... No wiesz, popisywanie się.

Przed nim. Nie powiedział tego, ale niby, przed kim innym Tory miałyby się popisywać?

Pytanie, czy on sobie z tego zdawał sprawę?

Stwierdziłam, że lepiej będzie zmienić temat, bo nie miałam najmniejszej ochoty, żeby Tory oskarżyła mnie o to, że obgaduję ją za plecami - taka gadanina zawsze jakoś potem trafia do adresata - więc zapytałam:

- To gdzie za granicą spędziłeś trzecią klasę?

Opis widoków i dźwięków włoskiej Florencji zajął Zachowi całą drogę na róg Piątej i Osiemdziesiątej Dziewiątej, gdzie trener Winthrop, nasz nauczyciel wuefu, czekał ze swoim

stoperem. Wyrzuciliśmy patyki po lodach - ja zdążyłam dotrzeć tylko do białej części swojego, a tej niebieskiej nawet jeszcze nie spróbowałam - i zrobiliśmy parę ćwiczeń rozciągających, żeby się rozgrzać przed wielkim finiszem. A potem przykucnęliśmy za jakimiś krzakami, odczekaliśmy, aż zbliży się stadko biegaczy w granatowych szortach, i wtedy do nich dołączyliśmy...

... i dobiegliśmy pędem do uzbrojonego w stoper trenera Winthropa, dysząc tak mocno, jakbyśmy dopiero co przebiegli z dziesięć kilometrów, a nie kilkaset metrów.

- Znakomicie, Rosen - pochwalił trener, rzucając ręcznik Zachowi. - Zjechałeś o całą minutę z czasu, jaki miałeś w drugiej klasie.

Nie udało mi się powstrzymać stłumionego chichotu, zwłaszcza po tym, jak Zach odparł z powagą, wieszając sobie ręcznik na szyi:

- Dzięki, trenerze. Ostro ćwiczyłem.

Potem, kiedy wracaliśmy do szkoły, Zach odszukał mnie w grupce dziewczyn kierujących się do damskiej szatni i zagadnął:

- Hej, Maggie, a souvlaki już jadłaś?

- Nie. - Poczułam, że się czerwienię, bo, oczywiście, inne dziewczyny obejrzały się, żeby zobaczyć, z kim ten jedyny maturzysta z wuefu rozmawia.

- O rany - powiedział Zach, uśmiechając się tajemniczo.

- Jutro idziemy na souvlaki. Będziesz miała radochę. - A potem, już bez żadnej dalszej gadki, zniknął w szatni dla chłopaków.

Ojej. A więc jutro, w czasie lekcji, Zach chce mnie zabrać na souvlaki.

To wyglądało trochę jak randka.

No cóż, dobra, może nie do końca, bo pewnie robił to tylko po to, żeby mi się odwdzińczyć za uratowanie życia. No, ale mimo wszystko...

Dopiero kiedy byłam świeżo po prysznicu i otumaniona jakimś rozmarzeniem szłam na swoją następną lekcję, przypomniało mi się, że Zach nie jest tak do końca wolnym facetem. To znaczy, jeśli te plotki były prawdziwe, kochał się w Petrze... a w nim szaleńczo kochała się moja cioteczna siostra. Na tyle szaleńczo, że zrobiła jego lalkę i wtykała w nią igły. To znaczyło, że jeśli zrobię cokolwiek, co jej się nie spodoba - na przykład pójde na souvlaki z facetem, na którym jej zależy - nic jej nie powstrzyma przed zrobieniem takiej samej lalki dla mnie.

I nie myśli zacznie mi przekłuwać, byłam tego całkiem pewna.

Mimo to, kiedy wspominałam, w jaki sposób zielone oczy Zacha śmiały się do mnie tego dnia na finiszu biegu na wuefie, coś do mnie dotarło. Jest mi wszystko jedno, czy Tory

go kocha. I jest mi wszystko jedno, czy on z kolei kocha się w Petrze.

Aż tak zdążyło mnie wziąć.

Można by pomyśleć, że po swoich doświadczeniach będę umiała rozpoznać ostrzegawcze znaki.

Ale to tylko kolejny dowód na to, jak wielkiego mam, w gruncie rzeczy, pecha.

Wpadło mi to w oczy akurat wtedy, kiedy wysypywałam brudny żwirek z kuwety Muszki do torby na śmieci.

Domowe obowiązki. W rodzinie Gardinerów robiło się wkoło nich sporo szumu. Nie dlatego, że tych obowiązków było dużo. Dlatego, że było ich tak mało. Dzięki Petrze, opiekunce do dzieci, Marcie, gosposi, i Jorgemu, ogrodnikowi, dla nas, dzieci, nie zostawało w domu zbyt wiele do roboty.

Ale ciocia Evelyn i wujek Ted wierzyli równie święcie jak moi rodzice, że dzieci powinny uczyć się odpowiedzialnej pracy, więc kilka dni po moim przyjeździe - kiedy już siniak zdążył zblednąć - odbyło się parę rozmów, co do zakresu moich „obowiązków”.

- Moich przejąć nie może - oświadczył Teddy. Jedliśmy wtedy filet mignon, który Petra obiecała przygotować na wieczór po moim przyjeździe... Tyle że kilka wieczorów później. - Mam wyjmować rzeczy ze zmywarki, kiedy Marty tu nie ma i karmić kota. A ja lubię swoje obowiązki.

- Moje może sobie wziąć - mruknęła Tory. Właśnie tego ranka zdecydowała, że zostaje wegetarianką, i zmusiła Petrę, żeby dla niej zamiast polędwicy przygotowała tofu. Jeśli spojrzenia, jakimi obrzucała mój filet mignon mogły coś sugerować, to chyba żałowała tej decyzji. - Wkładanie naczyń do zmywarki i czyszczenie kuwety. Nie wiem dlaczego akurat ja muszę codziennie czyścić kocią kuwetę.

Ciocia Evelyn spojrzała na Tory surowo.

- Przecież to ty chciałaś mieć kota - wytknęła. - Powiedziałaś nam, że całą odpowiedzialność za kotkę bierzesz na siebie.

Tory przewróciła oczami.

- Ta kotka - powiedziała - to najbardziej niewdzięczne stworzenie, jakie w życiu widziałam. Co noc śpi u Alice, chociaż to ja ją karmię i później sprzątam.

Alice, która swój filet mignon jadła niczym hamburgera, wsadziwszy go między dwie kromki białego chleba, z mnóstwem keczupu, odparła z oburzeniem:

- Może gdybyś ciągle nie wrzeszczała na Muszkę za to, że zostawia sierść na twoich czarnych ubraniach, częściej chciałaby spać u ciebie.

Tory wykrzywiła się i powiedziała:

- Niech Maga po prostu weźmie tę kuwetę na siebie. Cioci Evelyn nie podobało się takie postawienie sprawy - że mam przejąć należący do Tory obowiązek czyszczenia kocięj kuwety - ale właśnie na tym się skończyło. Poza tym sama zaproponowałam, że będę się

zajmowała Teddym i Alice tego jednego popołudnia, kiedy plan szkolnych zajęć Perry nie pozwala jej wrócić do centrum na czas; obowiązek, który przedtem przypadał Marcie... Chyba dlatego, że nikt, nawet rodzice, nie zdołał zmusić Tory, żeby to robiła.

Z drugiej strony, nie miałam nic przeciwko. Szczerze lubiłam swoje młodsze cioteczne rodzeństwo, bo przypominali mi moich własnych braci i siostry, za którymi tęskniłam o wiele bardziej, niż się spodziewałam - za trzynastoletnią kandydatką na modelkę Courtney, za dziesięcioletnim zagorzałym fanem baseballu Jeremim, za siedmioletnią Sarabeth z tą jej obsesją na punkcie Bratz, a już zwłaszcza za czteroletnim Henrym, beniaminkiem całej rodziny.

Posiadanie obowiązków, z których trzeba się było wywiązać zupełnie jak w domu, nieco zmniejszyło moją tęsknotę i dało mi poczucie, że jakoś bardziej należę do rodziny Gardinerów, co, z kolei sprawiło, że za własną tęskniłam jakby mniej.

Ale i tak, kiedy nadszedł dzień wypłaty tygodniówek, a ciocia Evelyn wręczyła mi świeżutką pięćdziesięciodolarówkę, zrozumiałam, że to wcale nie Iowa.

Gapiąc się na banknot, zapytałam:

- Ale za co to?

- To twoja tygodniówka. - Ciocia Evelyn wręczyła Tory identyczny banknot. Teddy i Alice, których finansowe potrzeby najwyraźniej zostały ocenione jako mniejsze, dostali, odpowiednio, dwudziestkę i dziesiątkę.

- Ale... Pięćdziesiąt dolarów? Za opróżnianie kuwety! Muszki i przyprowadzanie dzieci ze szkoły raz w tygodniu? Ja nie mogę tego przyjąć. Już płacicie chesne za moją szkołę i pozwoliliście mi tu zamieszkać, i w ogóle...

Przypuszczałam, że Gardinerowie zrobili nawet więcej. Istniała lista oczekujących na przyjęcie do Chapmana, którą najwyraźniej przeskoczyłam ze względu na „dotację”, jaką wpłacili ciocia i wujek. Nie miałam pojęcia, czy rodzice są tego świadomi, ale ja od ludzi w szkole wiedziałam, że niełatwo się tam dostać. Tym bardziej, więc zdawałam sobie sprawę, ile zawdzięczam Gardinerom. Zwłaszcza, że sama na siebie sprowadziłam konieczność przenosin do Chapmana.

Mnie się nie należał ani jeden cent więcej.

Ale oni, jak widać, byli innego zdania.

- Poważnie, Maggie - powiedziała ciocia Evelyn. - Za zajmowanie się Teddym i Alice co środa jestem ci winna co najmniej tyle. Każda opiekunka do dzieci na Manhattanie zażyczyłaby sobie o wiele więcej.

- Tak, ale... - Bo przecież zajmowałam się przez całe życie swoim młodszym

rodzeństwem i to za darmo. - Naprawdę, nie wydaje mi się...

- Boże, Maga. - Tory pokręciła głową, patrząc na mnie z niedowierzaniem. - Zwariowałaś? Bierz i nie gadaj.

- Właśnie - dorzuciła ciocia Evelyn. - Bierz pieniądze, Maggie. Jestem pewna, że w weekend będziesz chciała iść do kina, czy dokądkolwiek, ze swoimi nowymi kolegami ze szkoły. Baw się dobrze. Zasłużyłaś.

Wolałam nie wspominać, że nowych kolegów ze szkoły to ja jeszcze nie mam. Och, parę osób z orkiestry mnie nawet polubiło, kiedy uporali się z tym, że już pierwszego dnia nowa osoba po przesłuchaniu dostała drugie krzesło. Jeśli umiesz grać na jakimś instrumencie, z ludźmi z orkiestry zawsze się dogadasz.

No i była jeszcze Chanelle, obok której siedziałam podczas lunchu. To znaczy, ona w zasadzie przyjaźniła się z Tory - chociaż nie brała udziału w bredzeniu o „kowenie” razem z nią, Gretchen i Lindsey - i wyglądało to tak, jakby jadła z nimi tylko dlatego, że jej chłopak, Robert, siadał z Shawnem. Tory pozwalała mi się przyłączyć, ale zawsze dawała do zrozumienia, że wyrządza mi w ten sposób jakąś ogromną przysługę. Wiedziałam, że wolałaby, żebym siedziała raczej z ludźmi z orkiestry. Ja zresztą też...

Ale nie udało mi się wymyślić, w jaki sposób to zorganizować bez narażania się na kolejne sarkastyczne uwagi ze strony Tory. Bo chociaż wiedziałam, że nie zależy jej na moim towarzystwie, wiedziałam też, że jeszcze bardziej bym jej podpadła, gdybym się ostentacyjnie wyniosła. Trudno powiedzieć, żeby tryskała życzliwością po tamtej rozmowie o Branwen.

Mimo że moim zdaniem ta forsa była niezasłużona, dla tego swojego nagłego finansowego dobrobytu znalazłam użytek już pierwszego dnia, kiedy zmieniałam żwirek w kuwecie Muszki.

Gardinerowie lubili używać zbrylającego żwirku dla kota, który jest wygodny do czyszczenia, bo wystarczy go tylko przesiać małą łopatką z otworami.

Ale albo ten żwirek był pośledniej jakości, albo Tory nie sprzątała go już od dawna, bo niezależnie jak starannie go przesiewałam, wciąż zalatywał... I to dość intensywnie. Amoniakalny smród kociego moczu unosił się w całym pomieszczeniu gospodarczym, w którym stała kuweta. Współczułam Marcie, która musiała tu przebywać, kiedy robiła pranie.

Znalazłam więc nie otwartą paczkę żwirku i zdecydowałam, że stary wyrzucę i nasypię Muszce całą kuwetę nowego.

W pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, na co patrzę. Myślałam, że to jakiś przypadek. A potem dostrzegłam taśmę klejącą i zrozumiałam, że o przypadku nie ma mowy. Opróżniona kocia kuweta wypadła mi z rąk, jakby parzyła.

Bo chociaż wyrzuciłam cały stary żwirek, kuweta nie była jeszcze pusta. Nie do końca. Na dnie, przyklejone taśmą i do tej pory ukryte pod kilkoma warstwami starego, śmierdzącego kociego żwirku, widniało czyjeś zdjęcie. Choć podrapane pazurami i wyblakłe, dało się poznać, że przedstawiało Petrę.

W głowie mi się to nie mieściło. Serio. Bo wiedziałam, kto tam to zdjęcie włożył.

I wiedziałam, dlaczego.

Że też ktoś - ktokolwiek - może być aż tak wredny!

Może, myślałam sobie, ostrożnie odlepiając zdjęcie od dna kuwety, Tory nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Nikt, kto wiedział, co można w ten sposób spowodować, nawet nie próbowałby takich praktyk... Nawet gdyby chodziło o największego wroga...

No tak. Po co się oszukiwać? Tory wiedziała doskonale.

Dlatego pojęłam, że nie ma innego wyjścia i trzeba spróbować ją powstrzymać... Za pomocą każdego środka, jaki okaż się konieczny.

Nawet jeśli to znaczy, że będę musiała złamać słowo.

I dobra, to tylko obietnica, którą dałam samej sobie. Ale czasami takie obietnice najtrudniej jest złamać.

Potrzebny adres znalazłam w Internecie... Sklep - prawdziwy - który sprzedawał rzeczy, jakich szukałam. W Hancockki sklep na pewno zostałby zamknięty na wniosek oburzonych obywateli.

W Nowym Jorku jednak najwyraźniej nie wywoływał niczyjego niepokoju.

Sklep mieścił się w East Village, był czynny do siódmej. Miałam jeszcze dwie godziny, żeby się dowiedzieć, jak tam dojechać.

Najbardziej logicznym wyborem było metro, ale jeszcze nigdy nie jechałam nowojorskim metrem, więc sama myśl o tym napawała mnie lękiem.

Niemniej jednak to, co może się stać, jeśli tego sklepu nie odwiedzę, przerażało mnie jeszcze bardziej... Tylko z innych powodów.

No więc, wiedząc, gdzie ciocia Evelyn trzyma takie rzeczy, w kuchni wygrzebałam z szuflady mapkę linii metra i wyszłam z domu, po drodze uważnie tę mapkę studiując.

Udało mi się zrobić ze trzy kroki, zanim ktoś mnie dogonił i wyrwał mi mapę z ręki. Z walącym sercem uniosłam oczy...

...i serce też o mało mi się nie wyrwało z piersi, bo przed sobą zobaczyłam Zacha Rosena.

- Nie chodź po ulicach Nowego Jorku z oczami wlepionymi w mapę metra - ostrzegł mnie. - Ludzie będą wiedzieli, że nie jesteś stąd i będą próbowali to jakoś wykorzystać.

Po tym, jak przez cały tydzień każdą piątą lekcję spędzałam razem z nim na zrywaniu się z Prezydenckiego Testu Sprawności i poznawałam smakołyki oferowane przez, jak je nazywał Zach, Parasolkowe Kafelki Central Parku, włącznie z tajemniczo brzmiącym - i pysznym - souvlaki, całkiem swobodnie rzuciłam:

- Aleja muszę się dostać do East Village. Wiesz, którą linią powinnam pojechać?

Zach, który najwyraźniej skądś wracał i właśnie zdejmował plecak z ramienia, mimo wszystko znów plecak założył i powiedział:

- Idziemy.

Dobra, takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

- Nie - odparłam przestraszona. Bo był ostatnią osobą, której chciałam zdradzić, dokąd się wybieram. Nie, dlatego, że się w nim podkochałam... Chociaż podkochałam się, oczywiście, i to mimo świadomości, że to beznadziejna sprawa. Przecież dopiero co, wczoraj, Zach mi się w sumie przyznał, że kocha się w Petrze. Ta rozmowa - która odbyła się w kuchni Gardinerów po szkole, gdzie go znalazłam, odpoczywającego po meczyku w piłkę, jaki ucieli sobie z Teddym przed naszymi domami - wyglądała następująco:

Ja: (zbierając się na odwagę, gdy Petra wreszcie wyszła z kuchni z Teddym, żeby go dopilnować przy myciu wyjątkowo, brudnych rąk, zanim pozwoli mu spróbować świeżo upieczonych przez nią ciasteczek) Więc to prawda, że kochasz się w Petrze?

Zach: (krztusząc się ciasteczkami) A skąd ci to przyszło do głowy?

Ja: Bo Robert powiedział tego dnia, kiedy cię poznałam, że tylko dlatego się tu u nas kręcisz.

Zach: A Robert, jak wiemy, jest niekwestionowanym autorytetem we wszelkich sprawach, obdarzonym tak wyczuloną percepcją umysłową, w niczym niezakłóconą zażywaniem substancji zmieniających świadomość.

Ja: (czując drganie strun w sercu) Więc chcesz powiedzieć, że Robert coś ściemnia? Nigdy nie kochałeś się w Petrze?

Zach: Przyznam, że były czasy, kiedy Petra wydawała mi się bardzo atrakcyjna.

Ja: (nawet nie zazdrosna, bo Petra faktycznie jest atrakcyjna, a poza tym ma dobre serce i cudownie gotuje) Ale ona ma już chłopaka.

Zach: Wiem. Poznałem go. Willem. Jest bardzo fajny.

Ja: A mimo to ciągle się tu kręcisz?

Zach: (wstając) Czy to kręcenie się ci przeszkadza? Bo mogę wyjść.

Ja: (w panice) Nie! Ja tylko... No wiesz. Po prostu zastanawiałam się, czemu tutaj tak często przychodzisz. Skoro wiesz że ona ma faceta.



Zach: (unosząc w górę ciasteczko) Czy występujące tutaj w obfitości domowe wypieki to nie wystarczający powód?

Ja: Przyznaj się. Nadal myślisz, że masz u niej jakieś szanse.

Zach: A czy w tym domu jest ktoś, u kogo miałbym większe?

Ja: (myśląc o Tory, u której miałyby zdecydowanie większe szanse, ale od której powinien zdecydowanie trzymać się z daleka ze względu na tę lalkę): Chyba nie.

Zach: (z rozbawioną miną) No, sama widzisz.

Co ciekawe, nawet mi nie przeszkadzało, że on się kocha w Petrze. Po pierwsze, zyskiwaliśmy mnóstwo tematów do rozmowy - nie żeby ich nam kiedykolwiek brakowało, bo miałam wrażenie, że łączą nas podobne poglądy na wiele spraw, na przykład na politykę, jedzenie, muzykę (choć na muzyce klasycznej Zach zna się raczej słabo), niechęć do sportów zespołowych wszelkiego rodzaju i żalną beznadzieję, w jakiej pograżyło się Siódme niebo, odkąd Jessica Biel zrezygnowała z pełnowymiarowego udziału w serialu.

A po drugie, przy tych rzadkich okazjach, kiedy rozmowa na chwilę zamierała, zawsze mogłam wspomnieć o czymś związanym z Petrą - że gdyby Zach zaczął się uczyć niemieckiego, to by ją potrafił zaskoczyć pytaniem, jak się ma, w jej ojczystym języku, czy coś takiego. Osobiście byłam zdania, że docenia moje próby pomagania mu w staraniu się o nią.

A ja, z kolei, naprawdę doceniałam to, że nie muszę martwić się, jak wyglądam i jak się przy nim zachowuję. Nie miało znaczenia, że moje szkolne szorty do biegania są takie paskudne ani że niemal codziennie pcham się na środek ścieżki dla jeżdżących na rolkach, z której musi mnie ściągać, żeby mi się nic nie stało. Byliśmy po prostu przyjaciółmi. Zach nie interesował się mną w inny sposób. Przy nim mogłam zapomnieć o wszystkich tych okropnych rzeczach, od których uciekłam, i zwyczajnie się odprężyć. Przy nim nawet nie bolał mnie żołądek... No cóż, o ile nie zamyślałam się i nie zaczynałam zastanawiać, jakby to było, gdyby Petra kiedyś znikła z naszego życia, a Zach - o cudzie nad cudami - zdał sobie wreszcie sprawę, że jestem dla niego kimś więcej niż tylko przyjaciółką.

A wtedy coś zaczynało ścisnąć mnie w żołądku. Bo, oczywiście, dał jasno do zrozumienia, co myśli o czarownicach i czarach, a przecież ja miałam...

No cóż. Przeszłość.

No i była jeszcze moja szalona kuzynka.

Ale próbowałam rozmawiać o niej z Zachem jak najrzadziej. Nadal nie wiedziałam, czy on w ogóle wie, jak bardzo ona go lubi - ani czy, pomijając kwestię czarów, kiedykolwiek mógłby to odwzajemnić. W sumie nie potrafiłam sobie wyobrazić faceta, któremu nie

pochlebiłoby, że podoba się tak ładnej dziewczynie jak Tory.

Mimo wszystko, chociaż to prawda, że Zach i ja zostaliśmy przyjaciółmi, nie byliśmy aż tak blisko, żebym z nim omawiała zadurzenie Tory - a już na pewno nie dość blisko, żebym go informowała, dokąd się tego dnia wybieram metrem.

- Nie, nie musisz ze mną jechać - dodałam pośpiesznie. - Mógłbyś mi tylko powiedzieć, jak mam się dostać na Dziewiątą ulicę między Drugą a Pierwszą Aleją?

Ale on tylko pokręcił głową.

- Nie - e. Nie pojedziesz aż tak daleko sama. Ludzie nie bez powodu nazywają cię Magą, prawda? Bóg jeden wie, w jakie tarapaty mogłabyś się wpakować po drodze.

- Ale...

- Jeśli sądzisz, że puszczę cię samą do East Village, to chyba cię pogięło. - Ujął mnie za ramię i obrócił w przeciwną stronę. - Po pierwsze, nadal jestem ci winien dozgonną służbę za to że mi uratowałeś życie, zapomniałaś? A po drugie, stacja metra jest w tamtą stronę, głuptasie. Idziemy.

Nie ma nic ani trochę romantycznego w słuchaniu, jak ktoś cię nazywa głuptasem. Naprawdę. Zwłaszcza że ja wiem, że Zach i tak nigdy nie zainteresowałby się rudowłosą skrzypaczką, córką pastora, póki istniała choć najmniejsza szansa że mógłby zdobyć wspaniałą kandydatkę na fizjoterapeutkę - Petrę.

Więc dlaczego, przez całą drogę do śródmieścia, ogarniała mnie ta idiotyczna radość? Zupełnie zapomniałam o swoim gniewie na Tory - i pretensjach do siebie, że złamię dane sobie słowo, bo wiedziałam, że to właśnie zrobię. Prawie nie zauważyłam hord, które wyległy na ulice w godzinie szczytu, a w które wmieszaliśmy się, wsiadając do pociągu metra, i nie zwróciłam najmniejszej uwagi na faceta, który w wagonie zebrał o drobne, ani na wywieszki ostrzegające pasażerów, że powinni pilnować portfeli, ani na gliniarzy na peronach... Chociaż to wszystko na pewno by mnie przeraziło - gdyby nie było przy mnie Zacha.

Och, spójrzmy prawdzie w oczy. Owszem, wiedziałam, że podoba mu się inna dziewczyna. Ale ja się już i tak pograżyłam. Podbił mnie tym swoim: „lubię foki”.

Kiedy jednak wreszcie dotarliśmy na Wschodnią Dziewiątą ulicę między Drugą a Pierwszą Aleją, zrozumiałam, że Zach naprawdę uzna mnie za wariatkę - a przynajmniej osobę potężnie upośledzoną umysłowo - kiedy zobaczy, do jakiego to sklepu się wybierałam.

Zwolniłam kroku, kiedy się do niego zbliżaliśmy. Widziałam już szyld, wycięty w kształt sierpa księżycy i zawieszony nad czarną markizą: UROKI. Co mu powiedzieć, kiedy zapyta - niewątpliwie to robi - dlaczego wybrałam się do sklepu, który specjalizuje się w, no cóż... Akcesoriach dla czarownic?

Zach opowiadał mi treść filmu dokumentalnego, który oglądał poprzedniego wieczoru, o zespole chirurgów plastycznych, którzy jeżdżą do krajów trzeciego świata, żeby wykonywać darmowe operacje korekcyjne dzieciom, które mają rozszczepione podniebienie, czy inne takie. Zach bardzo się interesuje filmami dokumentalnymi. Chce studiować filmoznawstwo na Uniwersytecie Nowojorskim i kręcić filmy o dzikiej arktycznej przyrodzie, na przykład o fokach, i o tym, w jaki sposób niszczymy ich naturalne siedliska. Nawet mnie zabrał, żebym mogła zobaczyć te jego foki - w zoo w Central Parku. Zna je wszystkie po imieniu i umie jedną od drugiej odróżnić.

Tylko jednym uchem słuchałam, jak streszcza mi ten film. Usiłowałam sobie wmówić, że Zacha to nie będzie obchodziło. To znaczy, sklep, do jakiego się wybierałam. Naprawdę rozdmuchiwałam tę sprawę ponad wszelką potrzebę. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele nie przejmują się tym, jakie książki ich przyjaciele czytają. Prawda?

Ale, dokładnie tak, jak podejrzewałam, Zach zdębiał, kiedy zatrzymałam się pod wejściem do sklepu. Różne kryształy i karty do tarota wyłożone na wystawie pośród zwojów czarnego aksamitu w niczym nie polepszyły sprawy. Nie polepszył jej też to, że kiedy tam stanęliśmy, drzwi się otworzyły i wyszła z nich, niosąc torby i pogodnie gawędząc, dwie kobiety ubrane na czarno od stóp do głów i z włosami ufarbowanymi na ten sam czarny kolor, co Tory.

- To tu chciałaś przyjechać? - spytał Zach, unosząc ciemne brwi. Z dezaprobatą, zupełnie jak przewidywałam.

- Ja... - Większą część naszego spaceru wzdłuż Dziewiątej ulicy poświęciłam wymyślaniu historyjki, którą zamierzałam, mu przekonująco sprzedać. - Muszę coś kupić dla mojej młodszej siostry...

- Courtney? - spytał. - Czy Sarabeth?

- Courtney - powiedziałam, ignorując przyływ zadowolenia z tego, że zapamiętał imię mojej siostry. Imiona moich obu sióstr! W głowie mi się nie mieściło, że naprawdę musiał mnie wtedy słuchać. - Pisze jeden raport i potrzebuje pewnej książki, której nie może kupić w Iowa. Ani w Internecie.

Zaraz. Czy jemu to tłumaczenie wyda się równie durne, jak; wydawało się mnie?

Ale Zach rzekł tylko z rozbawieniem:

- A słyszałaś kiedyś o Barnes and Noble? To tylko ze dwie przecznice od naszych domów. Wiesz, nie musieliśmy jechać aż taki kawał drogi.

- Błogosławieństwo - powiedziała ładna, ciemnowłosa kobieta za kontuarem, kiedy weszliśmy do sklepu.

- Hm - mruknęłam, rumieniąc się. Bo co sobie Zach pomyśli? Że to jakieś new age'owskie, zalatujące płatkami zbożowymi miejsce. - Dzięki.

Szybko minęłam kontuar, na chybił trafił, kierując się w głąb sklepu, gdzie wpadło mi w oko parę regałów z książkami. Ale i tak nie mogłam nie zauważyć, przechodząc przez sklep, że pełno tam było ziół, świec, amuletów i kalendarzy księżycowych. Na jednej z półek leżała czarna kotka, leniwie poruszając ogonem, i obserwowała, jak podchodzę. Na szyi miała turkusową obrózkę z pentagramem zawieszonym tam, gdzie zwykłym, nie należącym do czarownic kotom wieszają się dzwoneczki.

Sięgnęłam po książkę, której szukałam - nie jedną z tych dużych, w błyszczącej okładce, pełnych zdjęć i rozdziałów zatytułowanych: Zaklęcia miłosne, czyli takich, jakie pewnie kupowały Tory i jej przyjaciółki, ale małą, pozbawioną obrazków książeczkę w papierowej okładce. Przerzuciłam ostatnie strony, zaglądając do indeksu. Zach tymczasem spacerował po sklepie, brał do ręki różne rzeczy i przyglądał im się z ciekawością. Podeszedł do kotki, przystanął i podrapał ją pod bródką. Sierściuch zaczął mruczeć tak głośno, że słyszałam go prawie przez pół sklepu.

A więc koty też lubił. Opiekunki do dzieci, Siódme niebo, foki, dzieci... I koty. Czy ten facet mógłby być jeszcze sympatyczniejszy?

Zadzwieczętał dzwonek i do sklepu weszły dwie dziewczyny w mundurkach Liceum Chapmana. Dwie dziewczyny, które, niestety, znałam.

Góla, która ostatnio pojawiała się w moim żołądku coraz rzadziej, nagle znów dała o sobie znać.

Ładna sprzedawczyni za ladą powitała nowo przybyłe klientki:

- Błogosławieństwo.

- A Gretchen i Lindsey powtórzyły:

- Błogosławieństwo.

Lindsey cały czas chichotała.

- A ile lat kończy Courtney, tak przy okazji? - zapytał Zach, wychodząc zza półek z ziołami. - Dwanaście?

Podskoczyłam i odruchowo odpowiedziałam:

- Czternaście.

Skończyłam już przeszukiwać indeks książki. Znalazłam to, czego potrzebowałam.

Ale jak miałam kupić tę książkę tak, żeby Lindsey i Gretchen mnie nie zauważyły i nie powtórzyły Tory, że widziały mnie w Urokach? Ona przecież nigdy nie uwierzy, że po prostu przypadkiem zawędrowałam do tego sklepu.

A może jednak?

- O mój Boże! - zawołała Lindsey, kiedy specjalnie wyszłam z regału z ziołami i stanęłam tuż przed nią. - Maga? Ty tutaj?

- Och - sapnęłam, udając, że dopiero teraz ją zauważyłam. - Cześć, dziewczyny.

- Patrz, Gretch - rzuciła Lindsey. - To Maga. Gretchen, ta bardziej poważna z nich dwóch, nie ucieszyła się przesadnie na mój widok. W sumie, jej mocno podmalowane oczy zmrużyły się, kiedy powiedziała:

- A co ty tu robisz? - A potem jej wzrok padł na coś - albo kogoś - za moimi plecami i Gretchen zmrużyła oczy jeszcze bardziej. - I to z nim?

- O, cześć - mruknął Zach, odwracając się od stojaka z kalendarzami, które oglądał.

- Cześć - odpowiedziała Lindsey. Jej, w przeciwieństwie do Gretchen, nie wydawało się podejrzanym, że wpada na mnie; z Zachem w sklepie dla czarownic mniej więcej z pięćdziesiąt przecznic od naszej dzielnicy. - Tor też tu jest? Myślałam, że mówiła, że dziś po południu musi iść do dentysty, czy coś...

- Tak... Nie... - wymamrotałam, nerwowo zakładając włosy za uszy. - Tory tu nie ma. Tylko my. Przyjechaliśmy, bo muszę kupić prezent. Urodzinowy. Dla młodszej siostry.

- Super - powiedziała Lindsey. Kiedy jej wzrok padł na książkę, którą trzymałam w dłoniach, zmarszczyła nos. - Ale czemu kupujesz jej tego starocia? Ta książka wygląda o wiele lepiej. - Uniosła ładny, błyszczący album. - Popatrz. Mnóstwo obrazków.

- Ale ona prosiła o tamtą - skłamałam. - Nie wiem, czemu. Ma takie swoje dziwactwa.

- Chcesz powiedzieć, że czarownice to dziwaczki? - spytała Gretchen ostro swoim chropawym głosem.

- Nie! - zawołałam. - Kurczę, nie. Tylko moja siostra.

- Moim zdaniem, są dziwaczkami - stwierdził pogodnie Zach.

Lindsey wyciągnęła rękę, żeby go żartobliwie klepnąć w klatkę piersiową.

- Lepiej uważaj - ostrzegła ze śmiechem. - Albo rzucę na ciebie zaklęcie.

- Z tego co wiem, Lindsey, ktoś już mógł to zrobić - wtrąciła Gretchen, ale nie miała chyba na myśli Tory, bo przy tych słowach patrzyła prosto na mnie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparłam możliwie jak najprzyjaźniejszym tonem. - No cóż, znalazłam, czego szukałam. Możemy iść, Zach?

- Jeśli o mnie chodzi, w każdej chwili - rzucił Zach.

- No to do zobaczenia, dziewczyny - zwróciłam się do Lindsey i Gretchen.

I ruszyłam w stronę kasy.

- Hej! - zawołała za nami Lindsey. - Jedziemy potem na herbatę z tapioką do

Chinatown. Chcecie iść z nami?

- Nie mogę - powiedziałam, kładąc książkę na kontuarze. Ładna sprzedawczyni wzięła ją do ręki z uśmiechem. - Obiecałam rodzicom Tory, że wrócę do domu na obiad.

- „Tory”... - powtórzyła Lindsey ze śmiechem. - Nie pozwól, żeby usłyszała, że tak ją nazywasz. Zabiłaby cię!

- Możliwe, że ją zabije tak czy siak - mruknęła Gretchen na tyle głośno, że dosłyszałam.

Policzki zrobiły mi się szkarłatne. A ta gula w żołądku urosła i zmieniła się w balonik.

- Co? - Lindsey nie chwyciła, o co chodzi. - Co mówiłaś, Gretch?

- Ja? - parsknęła Gretchen. - Nic takiego. Zach, który szedł za mną, pochylił się, udając, że podziwia jakieś naszyjniki umieszczone w szklanej gablotce pod kontuarem.

- O co jej chodzi? - szepnął.

- O nic - odpowiedziałam szybko. - To... takie babskie gadanie.

- Dobra - odpuścił Zach i się wyprostował. - To może ja poczekam na ciebie przed sklepem?

- Tak będzie lepiej - zgodziłam się.

Zach pokiwał głową i wyszedł ze sklepu, a dzwoneczki przy drzwiach zadzwoniły.

- Poproszę dziesięć dolarów - powiedziała kobieta za kontuarem. Podałam jej swoją świeżutką pięćdziesiątkę.

- Założę się, że Torrance będzie ciekawa faktu, że przyszedł tu z jej facetem - odezwała się Gretchen twardym głosem.

- Co? - Lindsey nadal nie mogła się połapać. - Gretchen? O czym ty mówisz?

- Boże, Lindsey! - Gretchen rzuciła zgorzone spojrzenie przyjaciółce. - Nie widzisz, co ona próbuje zrobić? Usiłuje sprzątnąć Zacha sprzed samego nosa Torrance!

- Zach nie jest chłopakiem Tory! - wybuchłam głośno, ku zdziwieniu własnemu i wszystkich innych. Sprzedawczyni przestała liczyć wydawaną resztę i spojrzała na mnie z zaskoczeniem. - Chodzi mi o to - dokończyłam już spokojniejszym głosem - że Zach nie kocha Tory ani mnie. On woli Petrę, okej? Zach i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Jasne - mruknęła Gretchen, najwyraźniej mi nie wierząc, j Lindsey, stojąca tuż za nią, nadal przyglądała się nam z ogłupiałą miną.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - powtórzyłam, odbierając od sprzedawczyni swoją resztę. Miałam nadzieję, że Gretchen nie mówiła, że dłonie mi drżą. - Możesz go zapytać, jeśli chcesz.

- Raczej zapytam Torrance - syknęła Gretchen. - Chyba tak właśnie zrobię.

- Świetnie - rzuciłam. - Jak chcesz.

Wzięłam torebkę, którą wyciągała w moją stronę sprzedawczyni, podziękowałam jej i odwróciłam się od kontuaru w stronę drzwi...

I przewróciłam ekspozycję świec.

- Boże! - usłyszałam chichot Lindsey, kiedy pochyliłam się, żeby złapać jak najwięcej tych świec, zanim zdążyły polecieć na podłogę. - Ale ciamajda.

- Nic się nie stało - stwierdziła sprzedawczyni, wychodząc zza kontuaru.

- Bardzo przepraszam - wymamrotałam, podając jej całe naręczce świec. - Jestem taka niezdarna.

- Nonsens - powiedziała łagodnie. - To się mogło przytrafić każdemu. Daj, połóż je tutaj. - Pomogła mi ułożyć świece na kontuarze. - I już. Nic złego się nie stało. Aha, i weź jeszcze to. O mało nie zapomniałaś.

Wyjęła z kieszeni spódnicy i podała mi coś zawiniętego w kilka warstw bibułki.

- Co... ? - Odruchowo wyciągnęłam rękę i przyjął od niej kwadratowy pakuneczek. Cokolwiek było w środku, cicho zagrzecotało.

- To tylko coś, co moim zdaniem niedługo ci się przyda - oceniła sprzedawczyni, zerkając w stronę Gretchen i Lindsay. - Na szczęście. Błogosławieństwo, siostró.

Moje zażenowanie sięgnęło teraz szczytu. Wrzuciłam opakowany w bibułkę drobiazg do torby z książką, mruknęłam: „Dziękuję” i rzuciłam się do wyjścia...

.. a potem ruszyłam ulicą tak szybko, jakby ktoś mnie ścigał.

- Hej! - zawołał Zach, doganiając mnie. - Zwolnij, dobra? Prezydencki Test Sprawności już się skończył, zapomniałaś?

- Przepraszam - szepnęłam, starannie unikając jego wzroku. - O Boże, ale mi wstyd.

- Dlaczego jest ci wstyd? - Zrównał krok ze mną.

Jak to, on nie wiedział? On nie...

A, jasne. Przecież jego tam nie było. Bogu dzięki. Bogu dzięki!

- Och, to nic takiego - powiedziałam. Prawie mi się w głowie zakręciło z ulgi. - Kiedy wyszedłeś, ja... ja wpadłam na wystawę świec i je poprzewracałam.

- To wszystko? Myślałem, że chodzi ci o te przyjaciółki, Tory, które pomyślą, że my się ze sobą umawiamy.

Zamarłam. I spojrzałam na niego. Ostrożnie. Jego zielone oczy śmiały się do mnie.

- Co? - spytał. - Myślisz, że nie wiem, że Tory się we mnie trochę podkochuje?

Balonik w moim żołądku rozdał się do rozmiarów arbuza.

- Nic nie możesz jej na ten temat wspomnieć - wypaliłam szybko. - Nie możesz jej

powiedzieć, że wiesz. I to jest coś więcej niż drobne zauroczenie, Zach. Ona naprawdę jest w tobie zakochana.

- Naprawdę jest we mnie zakochana, hę? Brzmi to tak, jakby miała ochotę na coś więcej niż przyjaciele... z seksem na dokładkę.

Śmiał się. W głowie mi się nie mieściło, że on się zgrywa.

- Zach - jęknęłam. - Nie rozumiesz. Ona nie żartuje.

Ona...

O mały włos nie wypaplałam mu. O tej lalce. Sama nie wiem, co tak właściwie mnie powstrzymało. Poza tym czułam, że nie należy pozbawiać Tory resztek godności, mimo głupoty jej postępowania.

- Mogłaby mi naprawdę utrudnić życie - dokończyłam, zmieniając nieco wątek. - Jeśli sobie pomyśli... No wiesz, że ty i ja...

Zach przestał się śmiać. I zanim się zorientowałam, co się dzieje, jego dłonie znalazły się na moich ramionach.

- Hej - odezwał się, leciutko mną potrząsając. - Kuzynko Maggie. Rozchmurz się. Ja tylko żartowałem. Nie mam najmniejszej ochoty ci tego wszystkiego komplikować. Wiem, że los córki pastora jest ciężki. A jeszcze trudniej jest zaczynać w nowej szkole i mieszkać z nową rodziną, na dodatek do sprawy tego twojego... no...

Nie wypowiedział na głos słowa: „prześladowca”. Nie musiał. Oboje wiedzieliśmy, że to o tym mówi, chociaż żadne z nas nie wspominało o molestowaniu od tamtego razu, kiedy Tory bardzo taktownie poruszyła temat w dzień mojego przyjazdu.

- Poza tym - kontynuował Zach, puszczając mnie - co to ma za znaczenie? Biorąc pod uwagę, w kim się podobno kocham? Zapomniałaś?

To dziwne, ale jego uwaga zamiast wbić mi w serce szydło zazdrości, podniosła mnie nieco na duchu.

- Słusznie - przyznałam. - To znaczy, to jest totalnie śmieszne, że te dziewczyny uważają, że my ze sobą chodzimy, skoro twoje serce należy do innej.

- I to nie żadnej byle, jakiej innej - ciągnął Zach - ale do najwspanialszego kobiecego egzemplarza na tej ziemi.

- Tak... - mruknęłam. - Jeśli powtórzą Tory, że mnie z tobą widziały, to jej po prostu przypomnę, że przecież kochasz się w Petrze.

- A ja nie będę miał innego wyjścia, jak tylko cię w tym poprzeć - stwierdził Zach. - Dozgonna służba, pamiętasz?

Czując się stokroć lepiej, zawróciłam, ruszając w drogę powrotną i wymachując



torebką z Uroków...

.. .i usłyszałam, że znów w niej zagrzechotało coś, co mi dała ta sprzedawczyni. Zwolniłam, sięgnęłam do torebki i zaczęłam rozwijać bibułkę.

- Co to jest? - spytał Zach.

- Nie wiem - powiedziałam. - Jakaś darmowa próbka, albo coś. To od tej babki, która tam pracuje...

Ale zaraz zobaczyłam, co kryło się w bibułce i stanęłam jak wryta, zatrzymując się tak raptownie, że Zach prawie na mnie wpadł.

- Co? - stęknął Zach. - Co to jest? - I popatrzył na to, co trzymałam w dłoni. - No ładnie. Dała ci satanistyczny symbol. To się nazywa dbałość o klienta.

- To nie jest żaden satanistyczny symbol - wydusiłam prze ściśnięte gardło. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca wisiołek migotał ze swojego gniazodka wśród bibułki. - Pentagram to starożytny symbol magiczny, który ma noszącemu zapewniać duchową ochronę. To nie ma nic wspólnego z szatanem.

- Hej, Maga. Ja znów żartowałem, dobra? - szepnął kojąco Zach.

Przeżona łzami, które zaczynały mi się zbierać pod powiekami, kiedy tak stałam na chodniku przed wejściem do małego zakładu wykonującego piercing, wsunęłam wisiołek z powrotem do torebki, a torebkę przycisnęłam do piersi.

„Na szczęście - powiedziała ta kobieta. - Coś, co moim zdaniem na pewno niedługo ci się przyda”.

Skąd wiedziała?

A co jeszcze ciekawsze, pomyślałam, co takiego wiedziała, czego nie wiedziałam ja?

Co robisz w moim pokoju? - Głos Tory podszyty był jadem, Zapaliła górne światła, a teraz stała w drzwiach, na wpół zdjawszy z siebie skórzaną kurtkę, i patrzyła na mnie.

Powoli się budząc, uniosłam głowę znad jednej z poduszek Tory, w którą się wtuliłam, i mrugałam oczami oślepiionymi nagle zapalonym światłem. Zdałam sobie sprawę, że musiałam zasnąć, czekając na powrót Tory do domu. Książka, którą kupiła po południu, leżała otwarta na mojej klatce piersiowej - jak wiedziałam, na rozdziale o zakłędach ochronnych.

- Tory - odezwałam się zasnym głosem. - Gdzie byłaś? Która godzina?

- A co to ma za znaczenie, która jest? - warknęła Tory. - Co robisz w moim pokoju? To jest właściwe pytanie.

Odsunęłam parę kosmyków wpadających mi w oczy i zmarszczyłam czoło, patrząc na cyfrowy budzik stojący na szafce przy łóżku Tory.

- Jezu - jęknęłam. - Prawie północ. Twoi rodzice się wściekną...

- Sami jeszcze nie wrócili do domu - stwierdziła Tory. Ściągnęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę, gdzie większość jej ubrań leżała, dopóki Marta nie przyszła posprzątać. - A tak w ogóle, co ty tu robisz? I dlaczego nie jesteś z Zachem?

A więc jej nakablowały. Nie trwało to długo.

Wstałam z łóżka. Tak się zmęczyłam czekaniem na nią, że przebrałam się wcześniej w piżamę. Teraz bose nogi opuściłam na puszysty, lawendowy dywan, który pokrywał podłogę w jej pokoju.

- Między Zachem a mną nic się nie dzieje - zaczęłam się tłumaczyć. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Wiesz równie dobrze jak ja, że on się kocha w Petrze. Musimy porozmawiać o czymś innym. To ważne.

Teraz, kiedy już wyszła z garderoby ubrana jedynie w stanik, minispódniczkę i mnóstwo naszyjników, Tory szeroko otworzyła swoje mocno - ale bardzo umiejętnie - podmalowane oczy. Bo wreszcie zauważyła książkę.

- A więc po to pojechałaś do Uroków! - zawołała. - Wiedziałam, że nie chodzi o żaden prezent urodzinowy dla Courtney. Ona ma urodziny dopiero w lutym. Zmieniłaś zdanie? - spytała z ożywieniem. - Zastanowiłaś się nad moją propozycją i chcesz dołączyć do naszego kowenu?

Pokręciłam głową. Wiedziałam, że to będzie ode mnie wymagało trochę odwagi. Ale naprawdę nie miałam wyboru. I nieważne, jak bardzo bolał mnie żołądek.

- Nie - oświadczyłam. - Chcę z tobą porozmawiać o tym.

Zza okładki książki, którą nadal trzymałam w rękach, wyciągnęłam zdjęcie Petry, to z kociej kuwety, i uniosłam je, żeby Tory mogła mu się przyjrzeć. Włożyłam je do zapinanej plastikowej torebki, ale i tak widać było, co to jest.

Tory przyjrzała się zdjęciu i wykrzywiła twarz.

- Uh. - Wzdrygnęła się. - Dotykałaś go?! Wiesz, to niespecjalnie higieniczne. Mam nadzieję, że umyłaś ręce. - A potem, kiedy nie dodałam już ani słowa od siebie, wzruszyła ramionami. - No i co? Znalazłaś je. Ciekawa byłam, czy znajdziesz. I proszę: bardzo. Chcesz wiedzieć, po co tam było?

- Ja wiem, po co ono tam było - powiedziałam. - Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś.

Tory tylko znów wzruszyła ramionami, a potem usiadła na ozdobionym frędzlami obrotowym foteliku przed toaletką i zaczęła szczotkować gęste, czarne włosy.

- A dlaczego miałabym się tobie z czegoś tłumaczyć? - spytała, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- Bo to poważna sprawa. - Przeszłam przez pokój i stanęłam obok toaletki, a potem popatrzyłam na kuzynkę. - Może nie rozumiesz, ale to, co zrobiłaś... przykleiłaś zdjęcie Petry na dnie kociej kuwety... to jest czarna magia. To jest coś złego.

Tory przez moment z niedowierzaniem gapiała się na moje odbicie w lustrze. A potem wybuchła perlistym śmiechem.

- Posłuchaj samej siebie! - zawołała. - Czarna magia! O ja nie mogę!

- Ja mówię poważnie, Tory - oznajmiłam. - Martwię się o ciebie. Dlaczego zrobiłaś coś takiego i to akurat przeciw Petrze? Petra to jedna z najmilszych, najłagodniejszych osób, jakie w życiu spotkałam. Nigdy nie zrobiła ci nic złego. Co masz przeciwko niej? Nie możesz ścierpieć, że podoba się Zachowi? To, co wyprawiasz, jest złe... Wredne i złe. Nie wiem, dlaczego jej to zrobiłaś, ale zapowiadam ci tu i teraz, że to się już nie powtórzy.

- Och - powiedziała Tory, teraz już bez uśmiechu. - Niepowtórzy się. Jasne.

- Ja mówię serio, Tory. Ty i ten twój kowen możecie się bawić w czarownice, ile wam się żywnie podoba. Jeśli o mnie chodzi, możecie sobie wymyślać zaklęcia i rzucać je na siebie nawzajem, i cudownie się bawić. Ale bez zaklęć, które manipulują uczuciami innych ludzi, albo je ranią. A już zwłaszcza, kiedy idzie o kogoś takiego jak Petra.

- Ach, tak? - Tory uniosła brodę. - A w jaki konkretnie sposób zamierzasz mnie powstrzymać?

- No cóż. - Opuściłam wzrok na podłogę. Myślałam, że ta rozmowa potoczy się inaczej. Sama nie wiem, dlaczego. No bo, znając Tory, mogłam się spodziewać, że nie będzie

zachwycona.

Ale kiedy w głowie ćwiczyłam sobie tę rozmowę, Tory przepraszała i mówiła, że nie wiedziała, że to, co zrobiła Petrze, mogłoby jej tak zaszkodzić. Dziękowała mi, że jej to wyjaśniłam, a potem wymienialiśmy uściski i schodziliśmy razem na dół na kakao.

Widziałam jednak, że tak to się nie skończy. Całe szczęście, że na wszelki wypadek przygotowałam sobie wyjście awaryjne. Westchnęłam.

- Prawdę mówiąc, Tor - powiedziałam, podnosząc wzrok na spotkanie jej spojrzenia. - Ja cię związałam.

- Ty mnie... - Tory aż sapnęła. - Ty mnie co...?

- Związałam cię, żebyś nie rzucała złych zaklęć - mówiłam twardo. - Możesz nadal rzucać dobre. Ale nie takie, które pozbawiają ludzi wolnej woli. Te nie będą działać. Już nie.

Tory miała minę tak zaszokowaną, jakbym ją uderzyła.

- Ty mała hipokrytko... Ty mi mówisz, że przez ten cały czas... cały czas!... ty faktycznie byłaś jedną z nas?

- Nie jestem jedną z was - sprzeciwiłam się stanowczo. - Przyznam, że kiedyś interesowałam się magią. Ale... przeszło mi. Jasne, Tory? Naprawdę zupełnie mi przeszło, bo ktoś na tym ucierpiał, a ja sobie obiecałam, że już nigdy więcej tego nie zrobię. To znaczy, nie będę czarować. Bo to poważne sprawy, Tory, a nie coś, czym może się bawić osoba nieświadoma rezultatów.

Tory się skrzywiła.

- Dzięki za wskazówki, mamusi. Ale może zainteresuje cię informacja, że ja wiem, co robię.

- Nie, nie wiesz. Nie, jeśli to ma być przykład. - Uniosłam pokiereszowane zdjęcie Petry. - Coś takiego naprawdę mogłoby komuś zaszkodzić. I dlatego, chociaż tego nie chciałam, musiałam złamać złożoną sobie obietnicę, że nigdy nie będę już czarować. I związałam cię.

- Och - jęknęła Tory, obie dłonie przykładając do twarzy w geście udawanego przerażenia. - Och, nie rób tego, kuzynko Mago! Strasznie się boję! Jestem pewna, że ta twoja wsiowa magia jest o wiele silniejsza niż moja. - Opuściła dłonie i przyjrzała mi się z nieskończoną pogardą. - Wyjaśnijmy sobie jedno, Sabrina\*. To jest Nowy Jork, nie Iowa. Obawiam się, że moje czary są jednak ociupinę bardziej wyrafinowane niż twoje. I co z tego, że na mnie rzuciłaś jakieś swoje małe wiążące zaklęcie? Lepiej się nie spodziewaj, że podziała. Bo to jest wielkie miasto, Mago, i my tu się nie opieprzamy.

---

\*Tytułowa bohaterka serialu Sabrina, nastoletnia czarownica. (przyp. red.).

- My, w Iowa, też się nie opieprzamy - powiedziałam spokojnie. - W sumie, moje zaklęcia zawsze działają jak trzeba.

W sumie, to ja do tej pory rzuciłam tylko jedno. No ale, mimo wszystko. Podziało. Niestety, aż za dobrze.

- Och, jasne! - Tory odchyliła głowę i się roześmiała. - Widać, jaka z ciebie potężna czarownica! Popatrzmy... Ty i ci twoi rodzice, biała hołota, mieszkacie w domu, który jest dla was za mały, z... o ile pamiętam... jedną łazienką. Tobie nie wolno słuchać rapu ani oglądać HBO. Masz same piątki i jesteś prymusikiem ze szkolnej orkiestry o iksowatych nogach. I musiałaś się przenieść do Nowego Jorku, bo jakiś chłopak z twojego miasteczka zaczął się w tobie podkochiwać, a twoi rodzice dostali wtedy świra ze strachu.

Wstała i patrzyła mi w oczy, dłonie trzymając na biodrach, z pogardliwą miną, z nosem zaledwie parę centymetrów od mojego.

- Och, tak... - ciągnęła ironicznie. - Jesteś wielką, potężną czarownicą, jasne! Ależ się boję. Bo najwyraźniej masz na koncie tyle skutecznych zaklęć. Prawda?

Zastanawiałam się, czy jej nie uderzyć. Naprawdę. Nie tyle za tego prymusika - bo spójrzmy prawdzie w oczy: jestem liderką orkiestry, chociaż iksów nie mam - ile ze względu na to, co powiedziała o mojej rodzinie. „Biała hołota”? Moi rodzice zarabiają akurat tyle pieniędzy, że nam wystarcza. Dobra, może nie dostajemy na Gwiazdkę roleksów, jak dzieciaki z tego miasta.

Ale moi nigdy nie brali dla nas ubrań ze zbiórek w kościele. Fakt, Courtney narzeka, że donasza ciuchy po mnie. Ale nie każdego stać na to, żeby co roku sprawić sobie kompletną, nową garderobę...

Jednak nie przyłożyłam jej. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam i nie miałam zamiaru zaczynać od Tory, chociaż pokusa była ogromna.

Ale chciałam ją czymś zranić. Tak, żeby mocno zabolęło.

Co było okropne, bo przecież widziałam, że ją i tak już boli. W środku, od ran, które sama sobie zadawała. Nie miałam pojęcia, dlaczego Tory czuje się taka zagubiona, ale na pewno właśnie stąd wziął się jej atak na mnie... Dlatego zrobiła - czy próbowała zrobić - coś złego Petrze.

Te całe czary - ta historia o naszej przodkini, Branwen, którą jej opowiedziano - uderzyły jej do głowy. Trzymała się magii jak koła ratunkowego, bo czuła, że nie ma niczego innego, czego mogłaby się złapać. Nie lubiła samej siebie wystarczająco, żeby... No cóż, żeby po prostu być sobą.

Rzecz w tym, że ja... znałam to uczucie. I aż za dobrze wiedziałam, do czego może

doprowadzić.

Nie mogłam jednak zrozumieć, jak to się stało, że ona też tak się czuła.

- Co się z tobą stało, Tory? - spytałam ją. - Pięć lat temu nie byłaś taka. Co się stało, że zrobiłaś się taka... podła?

Tory spojrzała na mnie zmrużonymi oczami.

- Pięć lat temu? Znaczy wtedy, kiedy byłam najmniej popularną dziewczyną w szkole, grubym, nudnym popychadłem, po którym inne dziewczyny jeździły jak chciały, a chłopcy zauważali mnie tylko po to, żeby ode mnie ściągać odrobione lekcje? Powiem ci, co się stało, Mago. Babcia opowiedziała mi o Branwen. A ja rozumiałam, że w moich żyłach płynie krew czarodziejki. Zrozumiałam, że mam w sobie moc... Prawdziwą moc, moc sprawiania, że ludzie robią to, co ja im każę robić... Albo mogę ich zniszczyć, jeżeli nie posłuchają. Musiałam tylko przejąć kontrolę. Nad swoim życiem. Nad swoim przeznaczeniem.

- Och - westchnęłam ironicznie. - I właśnie to robisz w kotłowni z Shawnem codziennie w czasie nauki własnej przejmujesz kontrolę nad swoim przeznaczeniem?

Tory przyjrzała mi się chłodno.

- Boże - syknęła. - Ależ z ciebie dzieciuch. Powinnam była wiedzieć, że nie zrozumiesz.

To nie miało sensu. Teraz rozumiałam. Zabrałam swoją książkę oraz zdjęcie Petry i ruszyłam do wyjścia.

Ale w drzwiach zawahałam się i postanowiłam spróbować jeszcze jeden, ostatni raz.

- Co do Zacha...

- No, o co chodzi? - Tory spiorunowała mnie wzrokiem. Wiedziałam, że powinnam była zwyczajnie odpuścić. Nie warto było. Przecież niczego w ten sposób nie osiągnę.

No ale to, co ona powiedziała o moich rodzicach... Trochę mnie to trafiło. Troszeczkę.

- Nie wtykaj już więcej igieł w głowę tej lalki - powiedziałam.

- Ach, tak. - Tory wzięła się pod boki. - A co, jeśli nie prze stanę?

- Po prostu szkoda twojego czasu.

- Doprawdy? - Głos Tory już nie był drwiący. Teraz był pełen nienawiści. Czystej i wyraźnej. - No cóż, co do tego, jeszcze się przekonamy, nieprawdaż? Zobaczymy, czyjego czasu szkoda, kiedy już Zach będzie ze mną nie z Petrą, a już na pewno nie z tobą. Bo, wiesz co? Nieważne, ile czasu z nim spędzasz, gadając o jakimś cholernym Siódmym niebie, czy coś, on będzie mój. Bo ja tak chcę. To ja jestem tą, która ma dar, Mago! Możesz sobie mieć rude włosy, ale to ja odziedziczyłam moc magiczną. Rozumiem to teraz. Branwen miała na myśli, że dar odziedziczy jedna wnuczka babci, nie dwie. I to ja jestem tą wnuczką. Bo ja się

nie boję z tego daru korzystać, w przeciwieństwie do ciebie. I co ty na to?!

Pomyślałam przelotnie o kobiecie za kontuarem sklepu dla czarownic, o jej łagodnym powitaniu - „Błogosławieństwo!” - I o uprzejmości, z jaką nalegała, żebym wzięła ten wisiołek z pentagramem, który teraz miałam na szyi. Tak odmiennej, tak zupełnie różnej od czarownicy, za jaką się miała, lub jaką chciała być, Tory.

- Na twoim miejscu, Tory, nie chwaliłabym się wszem wobec tym, co twoim zdaniem odziedzyczyłaś po naszej praprapra - prababce - powiedziałam.

- Tak? A czemu nie?

- Babcia nie wspominała ci, jak umarła? - spytałam. Tory pokręciła głową, wbrew samej sobie zainteresowana.

- Spalili ją na stosie - oznajmiłam. - Za praktykowanie magii.

A potem wyszłam z jej pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Coś niebywałego. - Petrze drżały ręce; - kiedy nakładała na mój talerz stos placuszków. - Coś po prostu niebywałego. Za niecały tydzień tu będzie. Tylko tydzień! Tak się cieszę, że aż nie mogę w to uwierzyć.

Starannie unikając naburmuszonego spojrzenia Tory, uniosłam dzbanuszek z syropem klonowym i powiedziałam:

- Jejku, to świetnie, Petro! Nie mogę się doczekać, aż go poznam.

- Willem - bełkotał Teddy, wpychając sobie w usta wielki kęs placuszka - jest super. Jak długo zostanie?

- Dziesięć dni. - Niebieskie oczy Petry nie przestawały błyszczeć radością, odkąd skończyła rozmowę przez telefon. - Dziesięć dni, wszystkie koszty podróży opłacone! Masz pojęcie, ile kosztuje bilet z mojego kraju do Nowego Jorku?

- Może powinnam zacząć słuchać radia. Może mogłabym wygrać nowy rower. Naprawdę potrzebny mi nowy rower - włączyła się Alice.

Petra, mimo całej euforii, była nadal sobą, więc powiedziała ze swoją typową łagodną stanowczością:

- Alice, masz śliczny rower, który dostałaś niedawno na Gwiazdkę.

- Tak - mruknęła mała. - Ale to dziecięcy rower, z hamulcem w pedałach. A ja chcę mieć dorosły rower, jak Teddy, z hamulcami w rączkach. Może mogłabym wygrać taki w radio, tak jak Willem bilet do Nowego Jorku.

Tory spojrzała kwaśno na młodszą siostrę sponad kubka kawy, której sobie naląła.

- Na litość boską, zwyczajnie poproś tatę - warknęła. - Kupi ci ten cholerny rower.

Petra posłała Tory niechętnie spojrzenie, bo Teddy i Alice zaczęli rechotać, słysząc, że ktoś użył słowa na „ch”, ale nic nie powiedziała. Ja postarałam się szybko zmienić temat.

- Jeśli chcesz wziąć dzień wolny i spędzić go z Wilemem, a potrzebujesz, żeby tą dwójką ktoś się zajął - zmierzyłam moje rozchichotane cioteczne rodzeństwo żartobliwie surowym wzrokiem - to daj mi tylko znać.

Petra obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem.

- Dziękuję, Maggie. Tak zrobię.

Tory skrzywiła się nad swoją kawą i szepnęła bezgłośnie: „Podlizucha”.

Zignorowałam ją.

Później, kiedy wychodziłyśmy z domu do szkoły, Tory burknęła:

- Nie wyobrażaj sobie, Mago, że chłopak Petry wygrał ten głupi bilet dlatego, że



zabrałaś zdjęcie z kuwety Muszki. Ani dlatego, że rzuciłaś swoje głupie wiążące zaklęcie.

Postarałam się, żeby moja twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Nawet by mi coś podobnego nie przyszło do głowy - odparłam.

- Bo ja sama wczoraj wieczorem też rzuciłam pewne małe wiążące zaklęcie - powiedziała Tory. - Przekonamy się, jak skutecznie działają te twoje wsiowe czary przeciwko prawdziwej magii.

- Pewnie się przekonamy - odparłam, zastanawiając się, jak do tego doszło: moja siostra cioteczna i ja walczymy ze sobą o to, która z nas jest potężniejszą czarownicą. Rany, co za ciemnota!

Nie mogłam powstrzymać lekkiego poczucia winy. Z pewnego punktu widzenia, Tory miała prawo się złościć: w jej oczach byłam prawdopodobnie największą pod słońcem hipokrytką, która udawała, że nie wie, o czym ona mówiła tego naszego pierwszego wieczoru. A przecież wiedziałam. Wiedziałam doskonale. Babcia opowiedziała mi tę samą historię - o tym, że w moim pokoleniu miała się urodzić kolejna wielka czarownica z naszej rodziny. To była tylko taka bajeczka na dobranoc, opowiadana dla rozrywki.

Ale na mnie, kiedy ją usłyszałam, zrobiła całkiem spore wrażenie - takie samo wrażenie, jakie najwyraźniej musiała zrobić na Tory. Bo tak samo jak ona byłam pewna, że wiem, kto jest najpotężniejszą czarownicą w moim pokoleniu.

Ja sama. Oczywiście, że ja. Nazywają mnie pechową Magą, prawda? Poza tym, mam rude włosy, i jeszcze ta historia związana z moimi narodzinami... Musiało chodzić o mnie. To ja byłam tym dziwadłem. To nade mną wisiało fatum.

Wszyscy pozostali członkowie rodziny traktowali opowiadanie babci jako ciekawostkę, służącą wywołaniu w dzieciach zainteresowania rodzinną genealogią. Widać było, że babcia sama we własną historię nie wierzy. Zawsze chichotała, kiedy ją opowiadała, zupełnie jakby to była najzabawniejsza opowiadka na świecie.

Ale nie było jej do śmiechu, kiedy w czasie ostatniej wizyty u nas powiedziałam jej, że dowiedziałam się, co się potem stało z jej praprababką. Babcia zwykła sprytnie opuszczać informację o tym, że Branwen była ostatnią kobietą spaloną na stosie za czary w Walii, kraju, z którego pochodziła - fakt, który bez trudu udało mi się potwierdzić w Internecie.

Wrzuciłam jej imię do wyszukiwarki, tak z głupia frant, nudząc się któregoś dnia w szkole na informatyce. Gapiłam się potem na ekran, czując, że zmroziło mi krew w żyłach. Bo nagle to przestała być taka sobie historyjka. To była najprawdziwsza prawda. Jestem potomkinią czarownicy.

Babcia do całej sprawy podeszła filozoficznie.

„Och, no cóż - powiedziała. - Jestem pewna, że Branwen była dobrą czarownicą. No wiesz. Znachorką. Pewnie lepiej sobie radziła z leczeniem niż alchemik z miasteczka, więc zrobił się zazdrosny i oskarżył ją o czary. Wiesz, jak takie sprawy wtedy wyglądały. - Babcia dopiero co skończyła lekturę Kodu da Vinci. - Ot, zwykła polityka”.

Polityka, nie polityka, moja krewna zginęła - spalona na stosie! - za czary. Widać było wyraźnie, że to nie temat do żartów.

Coś, czego nauczyłam się na własnej skórze, mimo że znałam już historię Branwen, kiedy po raz pierwszy rzuciłam własne zaklęcie, a potem musiałam patrzeć na jego okropne skutki.

I dlatego wiedziałam, że Tory - niezależnie, czy odziedziczyła „dar”, który zgodnie z przepowiednią babci jedna (lub obie) z nas miała dostać po Branwen - koniecznie należało powstrzymać.

Najpierw więc, kiedy poprzedniego wieczoru Petra kładła Teddy'ego i Alice do łóżek, wśliznęłam się do sutereny i ukradkiem umieściłam po jednocentówce, reszką do góry, w każdym rogu sypialni opiekunki. A potem posypałam odrobiną morskiej soli, znalezionej w kuchennej szafce, próg wszystkich drzwi do mieszkania Petry.

Wreszcie, napisałam imię Tory na kartce białego papieru, którą potem ukryłam pod pojemnikami na kostki lodu w zamrażarce Petry. Jeśli Petra ją znajdzie, oczywiście zdziwi się, ale przynajmniej na razie będzie bezpieczna...

Widziałam jednak wyraźnie, że niełatwo będzie przekonać Tory, że to, co robi, jest złe. W sumie, to wina babci, że nabijała jej głowę - o mnie już nie wspominając - całą tą gadaniną o naszym przeznaczeniu. Gdybym nigdy nie usłyszała, że wywodzę się od czarownicy, nigdy nie sięgnęłabym po pierwszą książkę o czarach, tę, którą znalazłam w swojej szkolnej bibliotece w Hancock, tę, której użyłam, żeby rzucić swoje pierwsze zaklęcie, które tak kompletnie odmieniło moje życie...

...i, niestety, czyjeś jeszcze.

Ale gdybym nie rzuciła tamtego pierwszego zaklęcia, to przecież nigdy bym nie przyjechała do Nowego Jorku. I nigdy nie poznałabym Zacha.

Naprawdę, kiedy o tym myślałam, wszystko - te wydarzenia w domu, ten szok i samotność, kiedy musiałam opuścić rodzinę i od nowa zaczynać wszystko w nieznanym mi szkole - wydawało się warte zachodu. Bo doprowadziło mnie do spotkania z Zachem.

Z Zachem, który, co prawda, kochał się w kimś innym, ale który także, bez udziału magii, czarnej czy białej, został moim przyjacielem.

A to już było naprawdę coś.

Mimo to, biorąc pod uwagę wszystko, co zaszło między nami, nie zdziwiłam się specjalnie, kiedy Tory zaczęła traktować mnie chłodno. W sumie zastanawiałam się, dlaczego to nie nastąpiło jeszcze wcześniej. Tory podobało się, że ma pod ręką kogoś, kogo może bezlitośnie szykanować - to było jedyne wyjaśnienie. A ponieważ próbowałam nie brać sobie do serca drwiących uwag Tory, niespecjalnie mi przeszkadzało, że to ja się stałam tą osobą.

Ale kiedy zbliżyłam się podczas lunchu do stolika Tory tego dnia, kiedy rano Petra oświadczyła, że Willem wygrał bilet w konkursie, kuzynka podniosła na mnie oczy i wycodziła:

- Możesz o tym zapomnieć.

No cóż, nawet taka wiejska dziewczucha jak ja umie zrozumieć aluzję.

Zabrałam swoją tacę i poszłam usiąść przy stoliku, gdzie często widywałam kolegów z orkiestry. Jeszcze nikogo nie było, ale miałam nadzieję, że kiedy już się pokażą, na mój widok nie zdecydują się szukać sobie innego miejsca. Żeby nie wyglądać na osobę ewidentnie pozbawioną przyjaciół, wyciągnęłam z torby podręcznik do historii Stanów i otworzyłam go przed sobą.

Ledwie zdążyłam przeczytać jedną stronę na temat Aleksandra Hamiltona, kiedy jakaś taca z trzaskiem wylądowała obok mojej. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Chanelle, która sadowiła się na sąsiednim krześle.

- Boże - powiedziała, otwierając puszkę dietetycznego napoju gazowanego. - Ta twoja cioteczna siostra to straszna suka.

Uniosłam brwi. Najwyraźniej nie musiałam odpowiadać, bo Chanelle i tak paplała dalej.

- Na przykład, imprezowanie mogę znieść. Sama lubię dobrze się zabawić. Ale nie co wieczór. - Chanelle znacząco rozszerzyła brązowe oczy. - Dziewczyna musi się czasem, dla urody, wyspać. Nie mogę codziennie wracać do domu po północy. Po pierwsze, moja dermatolożka by mnie zabiła, po drugie, wory pod oczami. - Wskazała na swoje dolne powieki. - Widzisz je? Są tam. Wory! A mam tylko szesnaście lat. Ale to nie wszystko. - Chanelle zaczęła rzuć kawałek marchewki. - Chodzi o te jej nowe przyjaciółki. Te tak zwane czarownice, Gretchen i Lindsey. Słuchaj, jestem jak najbardziej otwarta na wszystko nowe. Nawet poszłam na jedno z ich spotkań. No wiesz, to posiedzenie czarownic. Straszna ścierna. Wszystkie te dziewczyny w czerni biegające w kółko i wzywające ducha wschodu... A ja na to: „Przepraszam, ale czy któraś z was wie, co było we wczorajszym odcinku Życia na fali - Chanelle dramatycznie zawiesiła głos. - Ale żadna nie wiedziała. I co ty o tym sądzisz? Sama też się napiłam. Odparłam:

- Może to tylko taki etap. Może niedługo jej przejdzie.

- Jej? Nie. - Chanelle zaczęła odwijać z opakowania babeczkę Hostess. Najwyraźniej zakładała, że jeśli na lunch zje tylko marchewkę i popije ją dietetycznym napojem, to w nagrodę może sobie pozwolić na deser. - Od czasu, kiedy dowiedziała się o tej swojej praprababci, nie jest już sobą. To tak, jakby nagle zmieniła się w Paris Hilton... Tylko bez szalonych zakupów i tego małego pieska. Nagle wszystko kręci się wokół imprez, czarnego lakieru do paznokci i rzucania klątw na ludzi. Mówię ci, ona naprawdę sobie wyobraża, że jest czarownicą. I nie ma problemu: totalnie respektuję prawo innych ludzi do wyznawania dowolnej religii, ale potem zaczęła grozić, że będzie rzucać zaklęcia. Najpierw chodziło tylko o nauczycieli i chłopaków, i wredne dziewczyny z maturalnej, wiesz. Ale później zaczęła mówić o mnie. Rozumiesz, ja mogę wiele wybaczyć, ale gdy ktoś mi mówi, że rzuci na mnie zaklęcie, jeśli nie zgodzę się pomagać zbierać grzybów przy świetle ubywającego księżyca...

- Czego zbierać przy świetle ubywającego księżyca? - spytałam.

- Sama nie wiem... Takie grzyby, które rosną tylko na kamieniach nagrobnych. Właśnie mnie poprosiła, żebym poszła z nią na jakiś cmentarz w pobliżu Wall Street w środku nocy i pomogła jej zdrapywać te grzyby z rozwalających się starych nagrobków... No cóż, powiedziałam jej, żeby to sobie z głowy wybiła. Nie zamierzam pałętać się po żadnych starych cmentarzach, a poza tym, mamy z Robertem plany na ten wieczór. Wiesz? To mój chłopak, mimo że czasem bywa taki głupi. No ale jest słodki, kiedy nie épa. Chciałabym, żeby przestał włączyć się z tym debilnym Shawnem. Nie wiem, co Torrance w nim widzi. Naprawdę, pojęcia nie mam. Od tego faceta lepiej się trzymać z daleka. Ale jest popularny. Więc Tory codziennie spotyka się z nim w kotłowni... - Pokręciła głową, aż warkoczyki, w które uczesała włosy, zaczęły podskakiwać. - W każdym razie, wiesz, co ona mi powiedziała? Powiedziała mi, że i tak nie potrzebuje mojej pomocy, bo może liczyć na pomoc swoich prawdziwych przyjaciółek. To znaczy, Gretchen i Lindsey, oczywiście. Na to ja: „A proszę cię bardzo, skoro twoje prawdziwe przyjaciółki są takie świetne, to lunch jedz sobie z nimi”. A ona mi na to: „Świetnie, moje prawdziwe przyjaciółki przynajmniej umieją rozmawiać o czymś innym niż ciuchy”. No to sobie poszłam...

Grzyby z nagrobków? Co tej Tory chodziło po głowie? - zastanawiałam się.

- Posłuchaj - rzuciła na koniec Chanelle, palcem wygarniając trochę nadzienia ze swojej babeczki. - Ja ciebie lubię, Mago. Jesteś takim trochę prymusikiem, z tymi swoimi skrzypcami i tak dalej, ale nie robisz ludziom niemiłych uwag i mam wrażenie, że nie odbija ci na punkcie czarów ani ciuchów, ani wagi, ani egzaminów na studia, jak wszystkim innym tutaj. Chcesz zostać moją nową najlepszą przyjaciółką?

Właśnie popijałam łyk napoju, kiedy Chanelle o to zapytała - i dlatego o mało się nie zakrztusiłam. To było takie w stylu Chanelle - na ile ją poznałam - po prostu podejść i zadać komuś tego typu pytanie. „Chcesz zostać moją nową najlepszą przyjaciółką?” Jak mogłabym odrzucić taką propozycję, nawet gdybym chciała?

A stwierdziłam, że nie chcę. Polubiłam Chanelle.

I uznałam, że Stacy, z którą nadal co wieczór rozmawiałam na Instant Messengerze, zrozumie.

- Jasne - powiedziałam. - Ale, hm, tylko dopóki nie pogodzisz się z Tory. Bo ja wiem, że Tory naprawdę cię kocha, Chanelle. Ona tylko przechodzi teraz taki trudny okres. W sumie, może powinnyśmy jej dać znać, że jesteśmy tu, gdyby nas potrzebowała, kiedy już się nieco, hm, wyszaleje.

- Och - szepnęła Chanelle. - Chyba lepiej nie. Już jestem zmęczona tym rozstawianiem mnie po kątach. Hej, chciałabyś wpaść do mnie dzisiaj po szkole? Próbuję sobie wymyślić fryzurę na wiosenny bal. Robert mnie zabiera. Mogłybyśmy zrobić sobie nawzajem makijaż. Strasznie bym chciała uczesać te twoje włosy. Myślałaś kiedyś, żeby je upiąć do góry?

- Nie - odparłam. - Ale jasne, chętnie przyjdę. - Jeszcze żadna dziewczyna nie zaprosiła mnie do siebie po to, żeby wypróbować nowe uczesania.

- Cudownie! - zawołała Chanelle. A potem spoważniała. - Ale muszę cię przed czymś ostrzec: nie tylko na mnie Tory rzuca zaklęcia. Mówi, że na ciebie też rzuciła.

Zjadłam kęs sałatki.

- Doprawdy? - odezwałam się wyszukanie obojętnym tonem.

- Serio. Naprawdę przejęła się tobą i Zachem. - Chanelle wyglądała trochę jak ptaszek, kiedy tak patrząc na mnie, przekrzywiła głowę i spytała: - Wy ze sobą chodzicie, czy coś?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Na każde wspomnienie imienia Zacha tak reagowałam. Żałosna jestem.

- Nie - zaprzeczyłam. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- No cóż, spędzacie ze sobą sporo czasu. Moja przyjaciółka, Camille, mówi, że codziennie zrywacie się razem z wuefu.

- On się kocha w naszej au pair - wypaliłam szybko. - Naprawdę.

- Hm... no cóż, Tory uważa inaczej. Myśli, że celowo próbujesz odbić jej Zacha. Powiedziała, że ma zamiar rzucić na ciebie takie zaklęcie, abys pożałowała, że tu kiedykolwiek przyjechałaś z tego Idaho.

- Z Iowy - poprawiłam.

- Nieważne. - Chanelle zadrżała, chociaż siedziałyśmy w plamie jasnego słonecznego

światła, wpadającego ukośnie przez okna stołówki. - Sama nie wiem, Mago. Nie wierzę w te całe czary, ale sposób, w jaki to powiedziała... Przeraziła mnie. Na twoim miejscu miałabym się na baczności. No wiesz, mnie jest wszystko jedno. Ja z nią nie muszę mieszkać pod jednym dachem. Ale ty lepiej na siebie uważaj.

- Dzięki za ostrzeżenie, ale poradzę sobie. Moim zdaniem, Tory już nie będzie rzucać zaklęć - dodałam, obserwując, jak moja kuzynka wyrzuca to, co zostało po jej lunchu, patrzy w naszą stronę złym wzrokiem, a potem wychodzi ze stołówki. - Mogę za to w zasadzie ręczyć.

W sumie tak to właśnie wyglądało - przynajmniej tego dnia. Jakby czasy rzucania przez Tory zaklęć się skończyły.

Tego wieczoru, kiedy wróciłam od Chanelle, Petra nie mogła się doczekać, aż przekaże mi jeszcze jedną dobrą nowinę.

- Dostałam jedyną piątkę w całej mojej grupie z procesów przemiany glikoli - rzuciła bez tchu w tej samej chwili, w której weszłam do kuchni poszukać czegoś do picia.

- Rany - powiedziałam. - Petra, gratulacje.

- Tyle dobrych rzeczy w ciągu jednego dnia - ćwierkała dalej Petra. - Aż się nie chce wierzyć.

- Mnie też aż się nie chce wierzyć - sapnęłam.

- Aha, i jeszcze coś, Maggie. Zach dzwonił, ten z sąsiedztwa. Zostawił dla ciebie wiadomość. Prosił, żebyś oddzwoniła.

Nie zwracałam sobie głowy wędrówką do własnego pokoju po to, żeby oddzwonić do Zacha. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Po prostu wzięłam karteczkę, którą podała mi Petra i skorzystałam z telefonu w kuchni, zastanawiając się, co takiego Zach ma mi do powiedzenia, skoro już spędziłam z nim godzinę tego popołudnia, karmiąc kawałkami rogalą kaczki w Central Parku, po tym jak wykręciliśmy się od meczu softballa, który trener Winthrop zorganizował dla naszej klasy na boisku baseballowym. Zach, moim zdaniem, całkiem po męsku przyjął złą wiadomość - o nieuchronnie zbliżającej się wizycie Willema na Manhattanie.

- Och, to ty, dobrze. - Dźwięk niskiego głosu Zacha sprawił, że po ramionach przebiegł mi przyjemny dreszcz. - Wiesz co?

- Co?

- No cóż, mówiłem ci, że tata ciągle dostaje z pracy bilety na różne imprezy, prawda?

- Zgadza się.

- No więc, ktoś dał mu dwa bilety na sobotni wieczór, na koncert jakiegoś sławnego skrzypka do Carnegie Hall. Tata nie chce iść, ale ja wiem, że ty bardzo lubisz skrzypce, więc pomyślałem, że może słyszałaś o tym facecie: Nigel Kennedy...

Nie zdołałam powstrzymać westchnienia. Zach, ze śmiechem w głosie, nawijał dalej:

- Tak sobie właśnie pomyślałem. Podobno jest niezły. No więc, zastanawiałem się, czy nie byłabyś zainteresowana. Poszedłbym razem z tobą... jako przyjaciel, oczywiście. No wiesz, chyba, że wolałabyś raczej wziąć ze sobą kogoś z orkiestry, albo...

Nigel Kennedy! Dech mi zaparło.

- O rany, Zach! - pisnęłam do telefonu. - Super! Ale jesteś pewien, że się nie zanudzisz?

- Chyba jakoś zdołam wytrzymać - powiedział Zach. - Zawsze będziesz mogła mnie szturchnąć, jeżeli zasnę.

Głęboko odetchnęłam z radości - a potem ten oddech wstrzymałam, bo Tory weszła do kuchni z ogrodu i stanęła w drzwiach, piorunując mnie ponurym wzrokiem.

Czy coś usłyszała?

- Pomyślałem, że przed koncertem moglibyśmy iść na jakiś obiad, czy coś - ciągnął Zach do telefonu. - Jako przyjaciele, naturalnie. Może będziesz mi mogła udzielić jeszcze paru wskazówek, jak zdobyć Petrę.

- Ha - rzuciłam do słuchawki. Podśluchiwała, to jasne, jej spojrzenie z sekundy na sekundę robiło się groźniejsze. - Okej. Brzmi świetnie.

- Dobra. To do zobaczenia w szkole - zakończył.

- Na razie. - Rozłączyłam się. Tory, nadal oparta o framugę, nie spuszczała ze mnie wzroku.

- No i? - wycedziła. - Idziecie gdzieś z Zachem dziś wieczorem?

- W sobotę wieczorem - sprostowałam. - I tylko jako przyjaciele. To nie żadna randka, ani nic. Jego tata dostał dwa darmowe bilety na Nigela Kennedy'ego, tego brytyjskiego skrzypka, do Carnegie Hall, i Zach chciał spytać, czy nie wybrałabym się razem z nim.

Tory obrzuciła mnie spojrzeniem bez wyrazu.

- Nie wiedziałam, że Zach lubi muzykę klasyczną.

- No cóż... - Zerknęłam na Petrę, która stała kilka kroków dalej i siekała warzywa. Nie dawała po sobie poznać, że słucha naszej rozmowy, pomijając to, że jakoś tak zeszywniały jej ramiona. - Sama nie wiem. Może chce poszerzyć swoje horyzonty, albo coś.

- Czy to nie słodkie? - odezwała się Tory tonem, który dawał do zrozumienia, że jej zdaniem chodziło o wszystko, tylko nie o to. - Co się stało z twoimi włosami?

Odruchowo uniosłam rękę. Zapomniałam już, że wcześniej Chanelle z nimi eksperymentowała. Zrobiła mi dziko natapirowany kok i uparła się, że mam tak chodzić po domu.

- Och - westchnęłam. - To Chanelle. Wyglupiałyśmy się trochę u niej.

- No proszę - syknęła Tory. - Jak to miło. Najpierw kradniesz mi chłopaka. Potem kradniesz mi najlepszą przyjaciółkę. Tak się te sprawy załatwia w Iowa? Bo z całą pewnością u nas tak się nie robi.



Odparłam, usiłując nie tracić panowania nad sobą:

- Doskonale wiesz, że Zach lubi mnie tylko i wyłącznie jako swoją koleżankę. I nigdy nie był twoim chłopakiem. Ty już masz chłopaka, na imię ma Shawn, zapomniałaś? - Nie chciałam przy Petrze poruszać tej całej kwestii „przyjaźni z seksem na dokładkę”, więc dodałam tylko: - A Chanelle uważa, że odkąd zaczęłaś trzymać z Gretchen i Lindsey, już ci na niej nie zależy. Nie wydaje mi się, żebyś spędzała z nią dużo czasu. Więc dlaczego ja nie mogę?

- Nic mnie nie obchodzi, z kim spędzasz czas - rzuciła Tory pogardliwie. - Ja się tylko zastanawiam, dlaczego musisz spotykać się ciągle z facetem, o którym twierdzisz, że on się tobą zupełnie nie interesuje. Jakby ci nie wystarczało, że masz z nim codziennie piątą lekcję. Ach, nie. Teraz jeszcze musisz iść z nim na koncert.

Spojrzałam na Petrę. Nie przerywała siekania.

- Posłuchaj, Tory - zaczęłam. - Jeśli tak to cię martwi, to ja mogę do niego zadzwonić i powiedzieć, że nie będę mogła pójść...

No bo jak inaczej miałam ją uspokoić? Ale Tory ten pomysł też się nie spodobał.

- Ależ skąd - parsknęła. - Nie rezygnuj ze względu na mnie. Mnie nie obchodzi, na co marnujesz swój czas. Jest twój i możesz go marnować. Ależ oczywiście, idź sobie na koncert muzyki klasycznej z Zachem Rosenem. Co mnie to obchodzi? A kiedy koncert się skończy, może we dwójkę przespacerujecie się do Central Parku, przecież oboje tak to lubicie. Byłoby super, prawda? Taka zdrowa, przyjemna rozrywka. Bo przecież Bóg świadkiem, że kuzynka Maggie z Iowy nigdy by nie zrobiła niczego złego. Zrywanie się z wufu pomijając.

Zerknęłam na Petrę, która przestała udawać, że nie podsłuchuje. Obróciła się od deski do krojenia, otwarcie słuchała, i z nieprzeniknioną miną nie spuszczała wzroku z Tory.

- Ciekawe, co by powiedział trener Winthrop, gdyby się dowiedział, co wyrabiacie - zadumała się Tory. - Ty i Zach. Codziennie na piątej lekcji. Wiesz, trener Winthrop nie cierpi, kiedy ludzie zrywają się z jego lekcji...

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Czy to ma być coś w rodzaju pogrożki? - spytałam.

Tory się zaśmiała. Przebrała się już ze szkolnego mundurka w jedną z tych swoich minisukienek. Ta, jak się zdaje, uszyta była ze skóry.

- Nie - powiedziała. - Ale to jest ciekawe, jak przyjaźnie traktowałby cię Zach, gdybym mu przypadkiem wspomniała, że książka, którą kupiłaś w Urokach, wcale nie jest dla Courtney, ale na twój własny, osobisty użytek...

- Torrance - odezwała się nagle Petra.

Mówiąc, Tory podchodziła do mnie coraz bliżej. Teraz niecierpliwie obróciła się na pięcie.

- Co?! - prawie wrzasnęła na Petrę.

Petra jednak zachowała całkowity spokój, oznajmiając:

- Twoja matka dzwoniła dzisiaj z biura. Mówiła, że skontaktowała się z nią wasza wychowawczyni. Prosiła, żebym dopilnowała, abyś była w domu na obiedzie, żeby mogli razem z ojcem z tobą porozmawiać. Więc proszę, nie wychodź dziś wieczorem z domu, dobrze?

Tory w pierwszej chwili nie powiedziała nic. Zamiast tego rzuciła w moją stronę spojrzenie pełne czystej nienawiści. Spojrzenie to mówiło wyraźnie: to ty do tego doprowadziłaś, prawda?

Pokręciłam głową. Oczywiście, że to nie ja! O cokolwiek chodziło, Tory sama się w to wpackowała. Ale było za późno. O wiele za późno.

Tory roześmiała się śmiechem zupełnie pozbawionym radości.

- No, pięknie - wyszczała. - A więc, wojna, Mago.

A potem odwróciła się i wybiegła z kuchni. Kilka sekund później usłyszałyśmy, jak frontowe drzwi trzaskają - wystarczająco mocno, żeby szyby zatrzęśły się w oknach.

Ciszę, która potem nastąpiła, przerwała Petra.

- Posłuchaj mnie, Mago - powiedziała. - Idź na to coś, na te skrzypce. Idź z Zachem.

Pokręciłam głową.

- Nie, Petro. Nie warto. Nie, jeśli to mają aż tak wyprowadzać z równowagi. Nie ma sprawy, serio.

Bo co miało z tego wszystkiego wyniknąć? Przy pierwszej nadarzającej się okazji Tory powie Zachowi o mojej przeszłości związanej z rzucaniem czarów... A przynajmniej to, co na ten temat wiedziała, czyli, na szczęście, niewiele. A on zrozumie, że jestem takim samym - a może nawet większym - dziwadłem jak ona i nie będzie chciał mieć już ze mną nic do czynienia.

- Nie, jest sprawa. - Petra podniosła głos po raz pierwszy od momentu, kiedy ją poznałam (przynajmniej przy mnie). Zaskoczona, spojrzałam na nią. - W tym domu dzieje się coś złego. Ja to wiem. I mówię ci, że to coś złego w tym domu jest związane z nią. - Petra wskazała ostrym nożem drzwi, za którymi zniknęła Tory. - To nie w porządku, żeby ona ci zabraniała spotykać się z Zacharym. On nie jest jej własnością. Nigdy jej niczego nie obiecywał. Idź z nim.

- Nie warto, Petro - powtórzyłam. - Ona się tylko wścieknie.

- Już i tak jest wściekła. - Petra wróciła do swoich marchewek. - Pozwól, że wezmę jej gniew na siebie. Jestem do tego przyzwyczajona.

Musiałam uśmiechnąć się lekko do silnych, szczupłych pleców Petry. Nie miała pojęcia, o czym mówi. Naprawdę, jak się temu przyjrzeć bliżej, cała sytuacja robiła się wręcz zabawna.

- I co ona w ogóle miała na myśli? - spytała ostro au pair, obracając się gwałtownym ruchem. - O co jej chodziło z tą wojną?

- O nic takiego - powiedziałam. Uniosłam dłoń i dotknęłam zawieszzonego na szyi pentagramu.

Wyglądało na to, że będę potrzebowała szczęścia, jakie miał mi zapewnić, nieco wcześniej niż się spodziewałam.

Zaczęło się następnego dnia.

Zrozumiałam to, podchodząc do swojej szafki jeszcze przed pierwszą lekcją, i stanęłam jak wryta, tamując ruch na korytarzu. Ludzie zaczęli mnie omijać łukiem, posyłając mi rozzłoszczone spojrzenia.

Rano nigdzie nie natknęłam się na Tory i zauważywszy spięty wyraz twarzy cioci Evelyn przy śniadaniu (najwyraźniej nie udała się ta mała rozmowa, którą odbyli z Tory poprzedniego wieczoru, kiedy wreszcie raczyła pojawić się w domu), nie czekałam na nią, tylko poszłam do szkoły sama.

Zach, na którego wpadłam, przystając, spojrzał na mnie i zapytał:

- Co się stało?

- Popatrz. - Wskazałam ręką.

Korytarze w Liceum Chapmana są zatłoczone. Ekskluzywna szkoła, której absolwenci z zasady dostają się na uczelnie Ligi Bluszczowej, przeżywała właśnie rozkwit popularności, a w efekcie klasy i korytarze niemal pękały w szwach i po szkole trudno było się poruszać. Ale to, co teraz się działo, biło wszelkie rekordy.

A potem dotarło do mnie, że w tym tłumie są nie tylko dzieciaki, które zwykle widywałam, kiedy zwlekały z wejściem do swoich klas, czekając na dzwonek, ale i nauczyciele, a nawet parę osób z administracji. Wszyscy się tam tłoczyli, patrząc w jeden punkt... A tym punktem, co widziałam nawet z odległości trzydziestu metrów, była moja szafka.

Z rosnącym niepokojem - nie wspominając już o guli w żołądku - przepchnęłam się obok grupki graczy w lacrosse, którzy zasłaniali mi widok, a potem stanęłam jak wryta. Tam, na sznurowadle podczepionym do otworu wentylacyjnego w górnej części drzwi szafki, wisiał zdechły szczur. Jakiś płyn - ale nie krew - skapywał z jamy ziejącej w miejscu, gdzie szczur powinien mieć łeppek, tworząc różowawą kałużę na kafelkach posadzki.

Zach precyzyjnie się przez tłum, stanął obok mnie i zamarł. Czułam jego ciepły oddech na karku, kiedy szepnął:

- Jasna cho...

Któryś z woźnych ostrożnie rozplątywał sznurowadło, pod spód podtykając plastikowy worek, do którego szczur miał wpaść. I szczur wpadł do niego, z cichym plaśnięciem, od którego robiło się niedobrze. Kilkoro uczniów aż jęknęło.

- To twoja szafka, młoda damo? - spytała mnie administratorka o spiczastym nosie.

Nie mogłam oderwać wzroku od różowawej kałuży przed drzwiami szafki.

- Tak, proszę pani - odpowiedziałam.

- Czy masz pojęcie, kto mógł to zrobić?

Uniosłam wzrok znad kałuży, ale zamiast skupić uwagę na administratorce, zaczęłam przyglądać się tłumowi, szukając jednej, konkretnej twarzy. Wreszcie dostrzegłam Tory, przyklejoną do pleców stłoczonych graczy w lacrosse i wychylającą się zza nich, z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

Odwrociłam głowę i powiedziałam do administratorce:

- Nie, proszę pani. Nie mam zielonego pojęcia, kto mógł zrobić coś takiego.

Reszta dnia upłynęła mi w jakimś dziwnym otępieniu. Wciąż zadawałam sobie pytanie, czy ta Tory wie, co wyprawia? Ukradła szczura po sekcji z pracowni biologicznej (bo to stąd, jak się dowiedziałam, wziął się ten szczur. Płyn, który kapał z otworu po jego głowie, to był formaldehyd), odcięła mu łepiek, powiesiła go do góry nogami na szafce - to żadna magia, czarna czy biała. To w ogóle nie magia. To jest zwyczajnie chore. W taki sposób Tory zamierzała ukarać mnie za wiążące zaklęcie uniemożliwiające jej uprawianie czarnej magii?

No cóż, podziałało. Przestraszyłam się - nie tego szczura, ale tego, co symbolizował. Jeśli ta wariatka mogła zrobić coś takiego ze szczurem - chociaż już nieżywym - to kto wie, co potrafiłaby zrobić z kotem... Albo z Bogu ducha winną opiekunką do dzieci.

Jak moje ochronne zaklęcia - umieszczanie jednocentówek w rogach pokoju albo napisanie czyjegoś imienia na kartce papieru i schowanie jej w zamrażarce - miały kogoś ochronić przed niebezpiecznymi wygłupami Tory i jej przyjaciółek?

Bo przecież to było tylko to. Wygłupy... Idiotyczne wygłupy. Zupełnie nie zabawne i z całą pewnością nie magiczne. Coś takiego wystarczyłoby, żeby rozzłościć najbardziej zrównoważoną osobę na świecie.

- Nijak nie uda ci się dowiedzieć, że to ona - orzekła Chanelle jeszcze tego samego dnia przy lunchu, oburzonym spojrzeniem; piorunując stolik, gdzie zwykle siadały Tory, Gretchen i Lindsey... A który dzisiaj był ku mojemu zaskoczeniu pusty. Chyba zdecydowały się usiąść gdzie indziej. - Nigdy jej nie wyrzucą ze szkoły bez dowodu. Ona się zwyczajnie dowie, kto ją wsypał a potem robi tej osobie coś jeszcze gorszego. Ona i te jej przyjaciółki czarownice.

- One nie są czarownicami - powiedziałam stanowczo. - Tylko bawią się w czarownice. Umiejętność posługiwania się magią, prawdziwą magią, to dar animujący życie. Ludzie, którzy posiadają ten dar, postępują zgodnie z pewnym moralnym kodeksem, który im nakazuje budować harmonijne związki z naturą, i ludźmi, a nie ich ranić.

Nawet Robert, który żuł swojego cheeseburgera z bekonem zrobił taką minę, jakby

moja mówka mu zaimponował.

- Łau - rzucił. - Gdzie to usłyszałaś? Na Discovery Channel?

- Nie. Ja... gdzieś to wyczytałam - odparłam.

- No to co z tym szczurem? - spytała ostro Chanelle, gdzie tu afirmacja życia?

- No właśnie, dokładnie to usiłuję powiedzieć - stwierdziłam. - Że to żadne czary.

- To był po prostu objaw zwykłej choroby umysłowej uznała Chanelle. Zerknęła na Shawna, który z zacięciem wpisywał coś do swojego tree. - Człowieku, to twoja dziewczyna. Nie możesz jej czegoś powiedzieć? Na przykład, że jeśli się nie opanuje, to jednak nie zabierzesz jej na wiosenny bal?

- To nie jest moja dziewczyna - burknął Shawn, nawet nie podnosząc oczu znad wyświetlacza. - Mówiłem ci. I muszę ją zabrać na bal. Już kupiłem bilety i wpłaciłem zaliczkę na limuzynę.

- Zabierz kogoś innego - podsunęła Chanelle.

Na te słowa Shawn jednak podniósł wzrok znad wyświetlacza.

- Jeśli jej powiem, że zabieram kogoś innego - otworzył szeroko oczy - to ona powiesi zdechłego szczura na mojej szafce. Albo jeszcze gorzej.

- Chcesz powiedzieć, że boisz się własnej dziewczyny? - spytała ostro Chanelle.

- Tak, do diabła - mruknął Shawn. - Poza tym, po co miałbym chcieć ją denerwować? Codziennie w czasie nauki własnej wyświadczą mi cenne usługi.

- Jesteś obrzydliwy - oświadczyła Chanelle. A potem, zerkając na mnie ze smutkiem, dodała: - Przepraszam cię, Maggie. Chyba nic nie uda nam się w tej sprawie zrobić.

„Nic nie uda nam się zrobić”. To zdanie tłukło mi się po głowie przez resztę popołudnia. To nie mogła być prawda. Musiało być coś, co mogliśmy zrobić - coś, co ja mogłam zrobić. Tylko co?

- Wiem, że to była Tory - poinformował mnie Zach rzeczowym tonem, kiedy przyszła piąta lekcja. - I czas już, żeby ktoś zrobił z nią porządek.

- Proszę, nie mieszaj się do tego - ostrzegłam go. Chmury wreszcie napłynęły nad Manhattan i zamiast prowadzić swoje lekcje wuefu w strugach deszczu, trener Winthrop zmuszał uczniów do gry w zbijaka w stołówce. Ja z miejsca pozwoliłam się trafić piłce, a minutę później dołączył do mnie Zach. Usiedliśmy oparci plecami o ścianę, razem z innymi ludźmi, którzy odpadli z gry.

- Już się zaangażowałem - upierał się Zach. - Daj spokój, Maggie. Nie jestem głupi. Nie wiem, o co chodzi między wami dwiema, ale mam swoje podejrzenia i nie zamierzam pozwolić jej..

- Mówię serio, Zach - nie ustępowałam. Skoncentrowałam się na ponownym zasnurowaniu swoich sportowych butów, żeby nie zauważył, jak bliska jestem płaczu. - Po prostu trzymaj się od tego z daleka, dobrze?

W ogóle nie wyglądał na osobę, która da się zastraszyć.

- Dlaczego? Dlaczego miałbym trzymać się od tego z daleka? Przecież to się dzieje przeze mnie, prawda?

- Niezupełnie - odparłam.

Wiedziałam, co będę musiała zrobić - przynajmniej w sprawie Zacha. Ja tylko naprawdę bardzo, ale to bardzo, nie chciałam tego robić.

Ale czy miałam inne wyjście? Mogłam albo powiedzieć mu prawdę... Albo Tory opowiedziałyby mu swoją wersję. Gdybym zrobiła to sama, przynajmniej istniałaby szansa - niewielka, przyznaję - że on zrozumie.

Bo w tej historii kryło się tyle rzeczy, o których Tory nie miała pojęcia...

- W tym wszystkim chodzi o coś więcej niż o to, że Tory się w tobie podkochuje - zaczęłam z zakłopotaniem, zastanawiając się, jak ja mu to, na litość boską, wytłumaczę.

Ale ku mojemu zdziwieniu on mi to zdecydowanie ułatwił, wyciągając rękę i dotykając pentagramu wiszącego mi na szyi.

- Chodzi o takie sprawy? - zapytał. - Związane z czarami? Coś mi uwięzło w gardle. To była chyba ta gula z żołądka.

- Tak... - wydusiłam, kiedy już odkaszlnęłam. - Tego dnia, kiedy pojechaliśmy do Uroków, do Village... Ja nie... Ja nie byłam z tobą do końca szczerą.

- Chcesz powiedzieć, że tamtą książkę kupowałeś dla siebie, a nie dla Courtney. - Spojrzenie, jakie mi rzucił, było dość ironiczne. - Może nie dysponuję paranormalnymi zdolnościami, jak ty, Maggie. Ale tego akurat zdołałem domyślić się sam.

- Ja... ja wcale nie jestem paranormalna - zająknęłam się.

- Jasne. A skąd wiedziałaś, że ten rowerzysta wpadnie wprost na mnie? Skąd wiedziałaś, kiedy zepchnąć mnie z jego drogi?

- To był tylko... To był zwykły... - Głos mi zamarł. To jego zielone spojrzenie hipnotyzowało mnie.

- Maggie, ja wiem, że masz... No cóż, pewne niezwykle zdolności - oznajmił. - Ale nie wierzysz chyba, że te całe czary rzeczywiście działają, prawda? Ta magia, zaklęcia i każde idiotyczne abrakadabra? Nie wierzysz w to, prawda?

Z trudem odrywając od niego wzrok i zamiast tego, gapiąc się na mecz w zbijaka, powiedziałam:

- Ja... wierzę w to, Zach. Rozumiesz, widziałam rzeczy... Rzeczy, których nie da się wytłumaczyć inaczej niż magią.

- Dawne cywilizacje używały pojęcia magii, żeby wyjaśnić wszystko to, co im się wydawało niezrozumiałe - obstawał przy swoim Zach. - Ale my teraz jesteśmy mądrzejsi, bo mamy naukę. Jeżeli nie dysponujemy żadnym wyjaśnieniem jakiegoś zjawiska, to jeszcze nie znaczy, że jest magiczne.

- Ja wiem - przyznałam. - Ale to nie neguje faktu, że... Wierzę w to. I, co ważniejsze, Tory też w to wierzy.

- No cóż, to się musi skończyć. Tak być nie może. To, co wyrabia Tory... Ja zwyczajnie nie zamierzam stać z boku i przyglądać się temu, jak cała reszta szkoły. Nie pozwolę, żeby to jej uszło na sucho.

Zwiesiłam głowę.

- Nie rób tego. Poważnie, Zach, nie. Tory... Ona jest na mnie naprawdę wściekła. Nie tylko przez ciebie, ale dlatego, że ja nie chcę... No cóż, nie chcę dołączyć do jej kowenu. Ona będzie próbowała się zemścić, a jeden ze sposobów, w jaki może to zrobić... Hm... może próbować opowiadać ci o mnie różne historie...

- Jakie historie? - zapytał Zach nieco za szybko. Policzki zaczynały mnie palić, ale nie odwracałam oczu od grających.

- Różne historie o tym, że jestem czarownicą - uzupełniłam. - Nie jestem, ale jak mówiłam... Kiedyś bawiłam się w takie rzeczy. I może też opowiadać o takim jednym facecie...

- Tym, który cię molestował - dokończył za mnie Zach. - Tak... zorientowałem się. No i co z nim?

- Nie wiem - sapnęłam. - Cokolwiek ona na jego temat powie, skłamię, bo nie zna tej sprawy.

- A jak wygląda ta sprawa? - zapytał Zach. - Maggie, o co chodzi z tym facetem? Co on ci takiego zrobił, że musiałaś uciekać na drugi koniec kraju?

Rzuciłam mu zaskoczone spojrzenie.

- Nic mi nie zrobił. To zupełnie nie tak. Ale właśnie o to mi chodzi. Ona może próbować wymyślać... sama nie wiem, co. Chodzi o to, Zach, że Tory ma problemy. - Pomyślałam o zdjęciu Petry na dnie kociej kuwety. - Poważne problemy.

- Wiem, że ona ma problemy - powiedział Zach. - Mój Boże, Maggie, powiesiła szczura bez głowy na twojej szafce. To nie jest postępowanie osoby, która ma równo pod sufitem. Tym bardziej trzeba, żeby ktoś zawiadomił jej rodziców.



- Zach, to nic nie da. Ona tylko wszystkiemu zaprzeczy. A nie ma żadnego dowodu, że to zrobiła...

Ostry dźwięk gwizdka przerwał nam. Trener Winthrop ryknął:

- Rosen! Honeychurch! Wstawać! To nie jest szkolna świetlica!

Szybko podniosłam się na nogi.

- Proszę cię, Zach - jęknęłam błagalnym tonem, czując, że mnie mdli. - Pozwól mi się tym zająć, dobrze? Wiem, że wszystko będzie dobrze.

Pokręcił głową.

- Wiesz? A co, zajrzałaś w przyszłość i to zobaczyłaś? Skrzywiłam się.

- No cóż... niezupełnie. Ale gorzej już być przecież nie może, prawda?

I przez resztę tygodnia tak właśnie było - to znaczy, nie robiło się gorzej. Nic się nie działo. Tory dość zajęć dostarczali rodzice, którym wreszcie uświadomiono, że zawala większość przedmiotów, głównie, dlatego, że przez cały semestr prawie nie raczyła zaglądać do lekcji. Kiedy miała to robić? Prawie co wieczór wychodziła gdzieś z Gretchen i Lindsey i bawiła się w czarownicę.

Ale ciotka i wujek wreszcie położyli temu kres, odwołując wszystkie swoje towarzyskie zobowiązania i zostając w domu, żeby nadzorować jej poczynania. Zatrudnili też dla Tory korepetytora, z którym musiała spotykać się sześć dni w tygodniu, włączając w to sobotnie przedpołudnia. Tory broniła się rękami i nogami, ale rodzice nie ustąpili.

Osobiście uznałam, że to dobry znak, skoro wszystko tak przycichło.

Zach jednak miał pewne wątpliwości.

- Już to kiedyś widziałem - stwierdził, wzruszając ramionami, kiedy mu o tym wspomniałam. - Twoja ciocia i wujek przez jakiś czas suszą jej głowę o stopnie: pilnują, żeby regularnie widywała się z terapeutą, cuda wianki, a potem ona robi coś dramatycznego, a oni wpadają w poczucie winy i dają jej święty spokój.

Trudno mi było w to wszystko uwierzyć, ale Zach, który nadal zamierzał powiedzieć rodzicom Tory o szcurze - tyle że ja mu nie chciałam pozwolić - dodał jedynie:

- Zaczekaj tylko. Sama zobaczysz.

Czekałam z nadzieją, że nie będzie miał racji. Ciocia Evelyn do końca tygodnia codziennie dowiadywała się u nauczycieli Tory, co zostało zadane do domu, a wujek Ted co wieczór z nią to przerabiał, mimo że przedtem miała już korepetycje. Pomijając paskudne spojrzenia, jakie mi rzucała, Tory nie czepiała się mnie... A ja wcale przy tym nie uważałam, że to dzięki pentagramowi, który nosiłam dla ochrony. Petrze też zresztą dała spokój. Czy to przez tamto wiążące zaklęcie.

A może moja szalona kuzynka faktycznie zaczęła wszystko od nowa?

- Moim zdaniem opamiętała się - powiedziała Zachowi w hałaśliwej włoskiej knajpce w ten wieczór, kiedy poszliśmy na Nigela Kennedy'ego. - Nie ma czasu wymyślać sposobów na dokuczanie innym ludziom. Za bardzo jest zajęta nadrabianiem geometrii.

- No cóż, może i nie wieza już martwych zwierząt na twojej szafce - odrzekł Zach. - Ale to nie znaczy, że nie planuje czegoś jeszcze gorszego. Ta dziewczyna uwzięła się na ciebie, Maggie.

Ale, podekscytowana wycieczką na miasto z Zachem - nawet, jeśli większą część

posiłku spędziliśmy, dyskutując o zbliżającej się wizycie Willema i jej wpływie na plany zdobycia serca kobiety marzeń Zacha - raczej nie podzielałam jego ponurej opinii na temat Tory.

A kiedy koncert zbliżał się do końca, jemu uśmiech nie schodził z ust, tak jak mnie... Chociaż pewnie, dlatego, że rozbawiło go moje zapamiętałe klaskanie, a nie z innych powodów. Dopiero, kiedy wracaliśmy spacerem do domu, bo zdecydowaliśmy się przejść i nacieszyć ciepłym wieczornym powietrzem, stało się coś, co zwarzyło mi humor.

- To nie był najnudniejszy koncert, na jaki w życiu poszedłem - próbował zapewniać mnie Zach.

- No to dlaczego przez większość czasu miałeś zamknięte oczy?

- Chciałem, żeby odpoczęły - powiedział Zach. - Naprawdę. Nie ściemnam. Nie mam nic przeciwko muzyce klasycznej. Ale jazz? Nawet mnie nie pytaj o jazz. A już zwłaszcza... jak się to nazywa? Free jazz. Próbowałaś kiedyś przytupywać nogą w takt free jazzu? No właśnie, nie da się. Tak naprawdę, to lubię bluesa. W śródmieściu jest fantastyczne miejsce, gdzie grają bluesa. Może powinniśmy się tam wybrać w przyszły weekend. Muszę najpierw wyrobić ci fałszywe prawo jazdy, bo nie wpuszczają tam ludzi poniżej dwudziestu jeden lat.

- Byłoby wspaniale - powiedziałam.

- W sumie - powiedział Zach - lepiej umówmy się na jeszcze następny weekend. W następny jest wiosenny bal. No wiesz, ten szkolny. Nie wiem, czy chcesz iść... to takie trochę głupie. Ale to moja maturalna klasa, a ja nigdy nie byłem na wiosennym balu w szkole, więc pomyślałem sobie, no cóż... Chciałabyś pójść? Na bal? Wyłącznie jako moja przyjaciółka, oczywiście.

Miałam wrażenie, że od uśmiechania się głowa mi się przepołowi. To prawda, że on się kochał w innej. Ale na bal zaprosił mnie, nie ją.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. To się nie mogło zdarzyć mnie, Maggie Honeychurch. Nie mogło chodzić o mnie.

- Dobrze - powiedziałam, czując, że serce za moment wyskoczy mi z piersi. - Może będzie fajnie...

A potem skręciliśmy we Wschodnią Sześćdziesiątą Dziewiątą ulicę.

I zobaczyłam zaparkowaną pod domem Gardinerów karetkę, której migające czerwone światła odbijały się w ciemnych oknach wszystkich okolicznych kamienic.

- To na pewno nic poważnego! - zawołał Zach za mną, bo rzuciłam się biegiem.

Ale to było coś poważnego. Dotarliśmy na miejsce właśnie wtedy, kiedy z domu wyszli sanitariusze, na noszach niosąc Tory. Była przytomna. Od razu zobaczyłam, że jest

przytomna. I nawet się wkoło rozgląda. Kiedy jej spojrzenie padło na mnie i Zacha, jej oczy, równie mocno umalowane co zawsze, groźnie się zmrużyły. A potem wsadzili nosze na tył karetki i już jej nie mogłam zobaczyć, bo zamknęli drzwi.

Wbiegłam pędem po schodkach i prawie zderzyłam się z Petrą, która w holu przerzucała plik kart kredytowych. Obok niej stał jakiś funkcjonariusz policji.

- Och, Maggie! - zawołała. Jej ładna twarz była cała we łzach. - Och, Maggie, dzięki Bogu, - że już w domu jesteś. Zostaniesz tu z dziećmi, kiedy pojedę z Torrance? Jej rodzice...

Wybrali się na imprezę charytatywną. Nie ma ich tu. Sprawowała się o tyle lepiej, że uznali, że nic się nie stanie, jak wyjdą...

- Oczywiście - powiedziałam, a Zach, który wbiegł do domu moim śladem, zapytał:

- Co się stało?

- To moja wina - mamrotała Petra, wciąż grzebiąc w plastikowych kartach kredytowych. - Miałam do niej zajrzeć o szóstej, ale tak się zajęłam, pomagając Maggie przygotować się do wyjścia...

Rzuciłam w stronę Zacha spojrzenie pełne poczucia winy. Petra faktycznie poświęciła prawie całą godzinę, pomagając mi się wyszykować na randkę z Zachem o szóstej, zamiast zajrzeć do Tory, która miała siedzieć w swoim pokoju i się uczyć.

- Gdybym do niej wtedy zajrzała - mówiła Petra głosem pełnym łez, nad którymi z trudem panowała - to bym ją wcześniej znalazła. Ale najpierw pomagałam tobie, a potem przyszedł Zach, a potem trzeba było podać dzieciom kolację, a potem była kąpiel i bajka na dobranoc... I zwyczajnie zapomniałam. Siedziała tak cicho, że zapomniałam, że jest w domu. Przecież nigdy przedtem w sobotę wieczorem jej nie było. Och! - Obróciła się do policjanta. - Nie mogę jej znaleźć.

- Nic nie szkodzi, panienko - powiedział policjant. - Proszę zabrać wszystkie i będzie pani mogła poszukać w drodze do szpitala.

- Karta ubezpieczeniowa - wyjaśniła mi Petra, wychodząc przed dom. - Nie mogę jej znaleźć. I nawet nie zdążyłam zadzwonić do państwa Gardinerów. Zadzwonisz do nich, Maggie? Numer komórki jest na lodówce. Powiedz im, że jesteśmy w... - Rzuciła pytające spojrzenie w stronę policjanta, który podpowiedział:

- Cabrini.

- W Szpitalu Cabrini - powtórzyła Petra, schodząc po schodkach w stronę czekającej karetki. - Powiesz im, żeby tam do mnie przyjechali, Maggie? Powiedz im, że Torrance...

- Że Torrance co? - spytałam łamiącym się głosem.

- Że próbowała się zabić! - krzyknęła Petra, ściskając małą plastikową torebkę, w

której Shawn przyniósł Tory valium. - Przedawkowała...

- Och - powiedziała, podnosząc wzrok na Petrę i policjanta, a potem znów patrząc na torebkę po lekarstwach. - Pigułki, które były tutaj to aspiryna. Taka dla dzieci.

A co innego miałam zrobić?

Nie mogłam pozwolić, żeby moja siostra cioteczna brała prochy. Nie, jeśli mogłam jakoś temu zapobiec.

Więc pewnego wieczoru, kiedy nie było jej w domu, odszukałam ten ukryty zapas (nie było to wcale takie trudne, schowała pigułki pod podszewką swojego pudełka na biżuterię), a potem buszowałam w miejscowej drogerii Duane Reade, aż znalazłam podobnie wyglądające, ale nieszkodliwe lekarstwa, które mogłam podrzucić zamiast tych prawdziwych - które potem spuściłam z wodą w toalecie.

- Kiedy wróci do domu - stwierdził Zach znad swojej coli chyba cię zabije.

- I tak już chciała mnie zabić - stwierdziłam posępnie. - To ją tylko utwierdzi w tych zamiarach.

- Wiesz, że naprawdę nie zamierzała popełnić samobójstwa - powiedział Zach. Uniósł puszkę do ust i pociągnął długi łyk.

- Nie zamierzała? Zach, oczywiście, że zamierzała. Nie można przedawkować valium przez przypadek. To po prostu szaleństwo!

- Hm. - Zach sięgnął do torebki chipsów, którą ktoś zostawił otwartą na kuchennym blacie i wziął sobie garść. - Kompletny idiotyzm. Valium to akurat lek, za pomocą którego strasznie trudno jest się zabić. A w razie gdybyś nie zauważyła, idealnie, wszystko sobie zgrała czasowo.

Siedziałam, zgnębiona, na krześle, na którym zwykle przy; śniadaniu siadała Alice. Spojrzałam na Zacha z zaskoczeniem.

- Zgrała czasowo? Ale o czym ty mówisz?

- Wiedziała, że dzisiaj wieczorem gdzieś razem wychodzimy, prawda?

Zagryzłam wargę, przypominając sobie naszą sprzeczkę w kuchni.

- No cóż. Owszem - przyznałam.

- Tak właśnie myślałam. No więc, wzięła tabletki po obiedzie - ciągnął. - Tuż zanim po ciebie przyszedłem. Gdyby Petra do niej zajrzała, jak miała to zrobić, znalazłaby Tory rozciągniętą na podłodze, a naszą małą wycieczkę do Carnegie Hall - głośno chrupnął chipsa - trzeba byłoby odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Patrzyłam na niego ponad kuchennym stołem.

- Nie mówisz poważnie - odezwałam się. - Chcesz powiedzieć, że Tory wcale nie próbowała się zabić - że wzięła garść pigułek tylko po to, żeby mnie powstrzymać od pójścia

z tobą na koncert?

Wzruszył ramionami i popił chipsy colą.

- Nie żadną garść - sprostował. - Dwie. Powiedziała paramedycykom, że tyle wzięła. Tory wie, że dwie tabletki valium nikomu nie zaszkodzą. To wszystko tylko na pokaz. Wielki, kłopotliwy pokaz. Ona nigdy nie zrobiłaby sobie nic złego. Na nasze szczęście, tym razem zamieniłaś prawdziwe pigułki na aspirynę dla dzieci. A potem Petra nawaliła i znalazła Tory dopiero po naszym wyjściu.

- Och, Zach - westchnęłam. - Biedna Petra myśli, że to wszystko przez nią, ale to nieprawda. To moja wina.

Zach trzasnął puszką o stół.

- A, do diabła z tym wszystkim! - rzucił.

Ale łatwo było Zachowi mówić, że do diabła z tym wszystkim. Ja nie umiałam tak do tego podejść. Tory, mimo wszystko, zaufała mi, pokazując tę zrobioną przez siebie lalkę. A jak ja jej za to odpłaciłam? Idąc na randkę z Zachem. Oczywiście, Zachowi się nie podobam - a w każdym razie nie w taki sposób, w jaki on podoba się mnie. Byliśmy tylko przyjaciółmi.

Ale on i Tory też byli tylko przyjaciółmi, a jej na żaden koncert nie zaprosił. Oczywiście, była zazdrosna. Oczywiście, z tej zazdrości próbowała się odegrać.

A teraz on mnie zaprosił na bal. Jeśli ona próbowała się zabić - albo, jeśli wierzyć Zachowi, symulowała próbę samobójczą - tylko dlatego, że poszliśmy razem na koncert, to co zrobi, kiedy się dowie, że Zach mnie zaprosił na wiosenny bal?

Nie wiedziałam. Ale byłam pewna, że wcale nie chcę się tego dowiadywać.

I dokładnie wtedy zadzwonił telefon. Poderwałam się z za stołu i zdjęłam słuchawkę z widełek, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- To ja - odezwała się ciocia Evelyn. - Jesteśmy w szpitalu, z Tory. Niedługo wracamy do domu. Nic jej nie będzie. Dzięki tobie.

Wyrwało mi się potężne westchnienie ulgi.

- Całe szczęście. - Pokazałam Zachowi uniesiony kciuk. Bezgłośnie szepnął: „A nie mówiłem?”

- Jak się mają dzieci? - spytała ciocia Evelyn.

- Śpią - powiedziałam. Alice na szczęście w ogóle się nie obudziła. Teddy usłyszał zamieszanie i zszedł na dół, ale Zach przekonał go, żeby wracał do łóżka, obiecując mu, że następnego dnia pograją razem w piłkę w ogrodzie.

, - Dobrze. No cóż, wygląda na to, że niedługo ją wypiszą. Nie musieli robić jej płukania żołądka, kiedy już się dowiedzieli, że to była... No cóż, jak powiedziałaś, aspiryna.

Trudno mi było uwierzyć w to, co mi mówili. Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazła dostęp do valium. Skąd o tym wiedziałaś, Maggie?

- O czym?

- O tym, że miała valium? Przełknęłam ślinę i odparłam:

- Ja, hm, po prostu znalazłam...

- I nic nam nie powiedziałaś? - Głos cioci Evelyn za brzmiał tak, jakby była mną poważnie rozczarowana. - Maggie, jestem ci bardzo wdzięczna za to, co zrobiłaś, ale i tak powinnaś była nam powiedzieć. Tory jest... Och, idzie lekarz. Nie czekaj na nas, Maggie. Porozmawiamy rano. Dziękuję, że zajęłaś się dziećmi.

- Ależ nie ma za...

Ale ciocia Evelyn już się rozłączyła.

Odłożyłam słuchawkę, a potem obróciłam się do Zacha. Czułam się tak, jakbym miała za chwilę zwymiotować. Ale nie miałam wyjścia.

Tory się o to zatroszczyła.

- No i? - Zach patrzył na mnie intensywnym spojrzeniem zielonych oczu. - Nic jej nie jest, prawda? Mówiłem ci.

- Ma się dobrze - oznajmiłam. I z trudem przełknęłam ślinę. - Zach, nie mogę iść z tobą na bal - powiedziałam szybko. I bardzo stanowczo.

- Wiesz, ona właśnie tego chciała - stwierdził. - Właśnie dlatego to zrobiła.

- Mimo wszystko... - powiedziałam, wspominając zmęczony głos cioci Evelyn przez telefon. - Nie mogę pójść. Przykro mi.

Zach przewrócił oczami.

- Przestań sobie dokopywać. To się nie stało przez ciebie.

- Owszem, przeze mnie! Dlatego nie mogę z tobą pójść. Tak nie można. Lepiej zaprosz kogoś innego.

Zach chyba się rozzłościł.

- Nie chcę zapraszać nikogo innego - mruknął. - Jeśli nie mogę iść z dziewczyną, z którą chcę, to nie pójdę z żadną.

- Dlaczego? - spytałam ostro. - Przecież to na Petrze ci zależy, a chciałeś zabrać mnie. Więc co ci za różnica?

- Wiesz co? - wypalił z nagłym i całkowicie pozbawionym radości wybuchem śmiechu. - Masz rację. To zupełnie żadna różnica. Pójdę teraz do domu. Zobaczymy się jutro.

I poszedł.

Zostałam zupełnie sama w kuchni Gardinerów. Co mi ułatwiło sytuację, bo później



przez dobre dziesięć minut siedziałam i wypłakiwałam sobie oczy. I wcale nie płakałam wyłącznie nad sobą ani dlatego, że straciłam Zacha - nie żeby w ogóle kiedy był mój.

Nie, płakałam nad Tory, i nad Petra, i nad tymi wszystkimi ludźmi, którzy ucierpieli przez moje czary. Czy to w ogóle były czary? A może po prostu zwykły pech...

No bo, koniec końców, czy to, co Tory próbowała zrobić, było bezpośrednią konsekwencją mojego wiążącego zaklęcia. Związałam ją, żeby nie szkodziła innym... ale to jej nie powstrzymało od szkodzenia samej sobie.

To wszystko zabolalo mnie jeszcze bardziej, kiedy wróciłam do domu, a ja ją z nimi zobaczyłam - z rodzicami i z Petrą w holu, bo wybiegłam im na spotkanie. Była blada i wydawała się chudsza niż kiedykolwiek przedtem.

Ale chociaż wyglądała niewyraźnie, w spojrzeniu, które mi posłała, kiedy usłyszała mój głos wołający: „Och, już wróciliście!”, nie było nic niewyraźnego. Wchodząc na górę po schodach, rzuciła mi przez ramię spojrzenie pełne czystej, niczym niezmażonej wrogości.

- Och, Maggie - powiedziała ciocia Evelyn, zdejmując płaszcz. - Jeszcze nie śpisz? Nie musiałaś czekać. Jest późno.

- Za bardzo się denerwowałam, żeby zasnąć - odparłam.

- No cóż, już nie musisz się denerwować - orzekł wujek Ted, zerkając na wchodzącą na górę Tory. - Nic jej nie będzie. Dzięki tobie.

Kiedy Tory to usłyszała, jej twarz przestała być taka biała i pokryła się czerwonymi cętkami. Potem, spoglądając na mnie ze schodów, wyrzuciła z siebie:

- Dopadnę cię za to, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz jaką zrobię Mago.

- Tory! - Wujek Ted był oburzony. - Możliwe, że dziś wieczorem twoja cioteczna siostra uratowała ci życie. Należy jej za to podziękować.

- Och, dziękuję, spokojna głowa - wycodziła Tory z szyderczym uśmiechem. - Przygotowuję, specjalnie dla ciebie Mago, bardzo szczególne podziękowanie.

- Torrance! - Głos cioci Evelyn zabrzmiał tak ostro, że można nim było ciąć szkło. - Idź do swojego pokoju. Porozmawiamy o tym rano. W obecności twojego terapeuty.

Tory rzuciła mi ostatnie nienawistne spojrzenie, a potem wbiegła po schodach. Kiedy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, Petra, która stała cicho przy drzwiach balkonowych salonu, powiedziała:

- No cóż, jestem zmęczona. Jeśli państwo nie mają nic przeciwko, pójdę spać.

- Och, oczywiście, Petro - odezwała się ciocia Evelyn zupełnie innym tonem. - Bardzo ci dziękuję za wszystko, co dzisiaj wieczorem zrobiłaś.

- Nie ma za co - rzuciła Petra. - Po prostu cieszę się, że... No cóż. Po prostu się cieszę.

Dobranoc.

Zniknęła za drzwiami, które prowadziły do jej przytulnego mieszkanca w suterenie. A kiedy tylko poszła, obróciłam się do cioci Evelyn i wujka Teda.

Nadeszła pora. Z Zachem sprawę załatwiłam. Teraz kolej na nich.

Nie chciałam tego. Ale nie miałam wyboru.

- Wiem, że jesteście oboje zmęczeni i pewnie chcecie się już kłaść - zaczęłam. - Ale chciałam was tylko przeprosić za to, że nie powiedziałam wam o tych lekach. No bo wiedziałam, że Tory je ma. I... I... - Ostatnie zdanie dodałam w pośpiechu, recytując je tak, jak to niemal bez przerwy ćwiczyłam w myślach od chwili, kiedy zobaczyłam Tory wynoszoną z domu do karetki: - I jeśli będziecie chcieli mnie odesłać do domu, ja to totalnie zrozumiem.

Ciocia Evelyn i wujek Ted spojrzeli na mnie tak, jakbym zaproponowała, żeby mi ucięli głowę.

- Odesłać cię do domu? - powtórzył wujek Ted. - Ale dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Och, Maggie, kochanie... - Ciocia Evelyn, pachnąca równie egzotycznie jak zawsze i pięknie wyglądająca w swojej długiej, wąskiej i czarnej wieczorowej sukni, objęła mnie ramieniem. - To, co się dzisiaj wieczorem stało, to nie twoja wina. Tory ma... pewne kłopoty... i to już od jakiegoś czasu. Przepraszam, że przez telefon naskoczyłam na ciebie. Byłam po prostu wytrącona z równowagi. Ale my cię nie obwiniamy. Zupełnie nie.

- Ale... - Jak miałam to wyjaśnić, żeby Tory mnie nie znienawidziła na zawsze (jakby już mnie nie nienawidziła), jeśli się o tym dowie? - Chodzi mi tylko o to, że... No cóż, ta sprawa z Zachem...

Ładna twarz cioci Evelyn nagle stężała i ciocia cofnęła ramię. Ale nie dlatego, jak w pierwszej chwili pomyślałam, że się na mnie rozgniewała.

- Więc to o to tu chodzi? - spytała. - Już od jakiegoś czasu zastanawialiśmy się, czy Tory czasem się w nim nie podkochuje. To przykre, że on nie odwzajemnia jej uczuć, ale już jej wyjaśniałam... że takie jest życie. To nie twoja wina, że wybrał ciebie, a nie ją.

Zarumieniłam się po cebulki włosów.

- Och, nie - jęknęłam, przerażona. - Zach i ja... My nie chodzimy ze sobą. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nie wiem, dlaczego Tory uważa, że między nami jest coś więcej.

Ciocia Evelyn uniosła brwi.

- Naprawdę? - spytała. - No cóż, może to dlatego, że on zawsze tak jakoś...

Ale nie udało jej się dokończyć, bo wtrącił się wujek Ted.

- Zaraz. Za czymś tu nie nadążam. Sądziłem, że już wyleczyła się z Zacha -

powiedział. - No przecież jest ten cały Shawn?

- Moim zdaniem, z Shawnem się tylko przyjaźni - oceniła ciocia Evelyn.

„No tak... Przyjaciele z seksem na dokładkę”.

- Chodzi o to - brnęłam, czując, że jakoś mi umyka to, co właściwie chciałam im przekazać - że moim zdaniem Tory zrobiła to właśnie przez moją przyjaźń z Zachem. Więc może jeśli po prostu pojedę do domu...

- Maggie, jeszcze nie możesz wrócić do Hancock - powiedziała ciocia Evelyn z zaniepokojoną miną. - Bardzo cieszymy się z Tedem, że jesteś tu z nami. A Teddy i Alice ci uwielbiają. Petra nie może się ciebie nachwalić. Nawet Mart mówi, że jesteś w tym domu jak powiew świeżego powietrza. Tak zapuściłaś u nas korzenie, że nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- Poza tym - dodał wujek Ted - moim zdaniem twoja obecność dobrze robi Tory. Wiem, że dzisiejszy wieczór był trudny, ale wyobraź sobie, o ile gorzej byłoby, gdybyś... No cóż, gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś.

- Maggie, dajesz jej dobry przykład - zgodziła się ciocia Evelyn. - Tak twardo stąpasz po ziemi. Muszę przyznać, Maggie, że naprawdę liczyłam na to, że Tory zacznie się na tobie trochę wzorować.

Zagryzłam dolną wargę. Dobry przykład? Mieli nadzieję, że Tory zacznie się na mnie wzorować? Boże, nic dziwnego, że ona tak mnie znienawidziła! Sama siebie nienawidziłam, słysząc, jak mnie w ten sposób opisują.

Ale, prawdę mówiąc, nie chciałam wyjeżdżać. Nawet jeśli ciocia Evelyn grubo się myliła z tą swoją uwagą: „twardo stąpasz po ziemi”. Naprawdę nie miała zielonego pojęcia, dokąd się wybierałam następnego dnia - a wiedziałam, że skoro zostaję, nie mam innego wyjścia i muszę tam pojechać.

Jednak nie miałam zamiaru jej tego mówić.

- Dobrze - ustąpiłam. - Zostanę.

Mimo wszystko, co gorszego mogło się zdarzyć? Nic aż tak złego jak to, co stało się w domu, w Hancock. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Dzwonek przy drzwiach sklepu zabrzączał, kiedy weszłam do środka. Kobieta za kontuarem podniosła wzrok znad właśnie czytanej książki i powitała mnie:

- Błogosławieństwo... - Kiedy mnie sobie przypomniała, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - Ach, to ty - zagaiła miło. - Jak się masz, siostrze?

Z wahaniem podeszłam do lady. Tym razem przyjechałam sama, poruszając się nowojorskim transportem publicznym bez pomocy Zacha. Trochę się bałam, sama wsiadając do metra - zwłaszcza kiedy wagony pociągu wtoczyły się na stację z tak głośnym hukiem, że zagłuszyły wszystkie inne odgłosy.

Ale udało mi się. A teraz stałam w sklepie na Dziewiątej ulicy, czując, że idiotycznie zrobiłam, przychodząc tu. Magia nie mogła mi pomóc.

Ani ta kobieta.

Nikt nie mógł mi pomóc.

Kobieta odłożyła książkę. Zerknęłam na okładkę. To wcale nie była żadna książka o czarach, jak się spodziewałam, ale zwykła, pocziwa powieść fantastyczno - naukowa.

- Co się stało, kochanie? - spytała współczującym głosem.

Rozejrzałam się wkoło. Pomijając leżącą w kącie na stosie książek kotkę, zawzięcie czyszczącą futerko, w sklepie nie było nikogo. Z trudem przełknęłam ślinę. Czułam się jak idiotka, a jednak...

- Ktoś z moich znajomych rzuca pewne zaklęcie - powiedziałam szybko. Bo przecież to nie mogło nikomu zaszkodzić. A kto wie, może i pomoże. - Wiem o nim tylko tyle, że jednym ze składników jest jakiś rodzaj grzybów, które rosną na nagrobkach i że, hm... osoba, która rzuca to zaklęcie, musi zbierać te grzyby o północy, przy rosnącym księżycu. Zastanawiałam się, czy będzie pani wiedziała, jakiego typu zaklęcie to może być.

Kobieta, która była chyba po trzydziestce, miała idealną cerę i długie ciemne włosy. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

Martwiłam się, że szykuje się, żeby mi palnąć mówkę o tym, że praktykowanie magii opiera się na zjednoczeniu z naturą i że zaklęcia są dla czarownicy tylko sposobem na skoncentrowanie własnych energii na rozwiązaniu pewnego problemu, ale zamiast tego powiedziała:

- No cóż, księżyc rośnie, zbliżając się do pełni, więc zaklęcie rzucane w takim okresie może wiązać się z jakiegoś typu wzrostem. To dobry czas na zaczynanie różnych rzeczy od nowa.

- A więc... może chodzić o pozytywne zaklęcie? - Rozjaśniłam się. - To znaczy, zaczynanie od nowa to przecież coś dobrego, prawda?

- Nie zawsze - orzekła sprzedawczyni, patrząc na mnie ze współczuciem. - Czy ta osoba jest może na ciebie rozgniewana?

Znów z trudem przełknęłam ślinę. „Przygotowuję, specjalnie dla ciebie, Mago, bardzo szczególne podziękowanie”.

- Tak.

Pokiwała głową i stwierdziła:

- No to mamy problem. Ale nic takiego, z czym nie mogłabyś sobie poradzić.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Ja? Wątpię.

Kobieta miała rozbawioną minę.

- Wystarczy, że na ciebie spojrzę. Od razu widać, że jesteś urodzoną czarownicą... I to, jak wyczuwam, dość potężną - oceniła.

Pokręciłam głową tak gwałtownie, że włosy aż mnie uderzyły po policzkach.

- Nie. Nie, nie rozumie pani. Jeśli posiadam jakąś moc... to złą. Wszystko, czego się tknę, muszę sknocić. Dlatego mówią na mnie Maga.

Kobieta uśmiechnęła się, ale jednocześnie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ty nie masz pecha. Ale wyczuwam... Wybacz, że to powiem. Ale wyczuwam, że się tego boisz. Własnej mocy.

Nie mogłam przestać się na nią gapić. Skąd ona... Ach. No jasne. Jest czarownicą.

- Raz kiedyś rzuciłam zaklęcie - zwierzyłam się, czując, że nagle strasznie mi zaschło w gardle. - Moje pierwsze zaklęcie. W sumie, moje jedyne zaklęcie, poza tym wiążącym. Tamto zaklęcie... moje pierwsze... nie udało się. Naprawdę, okropnie się nie udało.

- Aha. - Zmarszczyła brwi. - Teraz rozumiem. Przestraszyła cię ta moc, jaką odkryłaś w sobie. Być może, właśnie to powoduje tego twojego tak zwanego pecha. Sama go na siebie sprowadzasz przez ten swój strach.

- Co? Ja sama na siebie sprowadzam pecha? Niemożliwe. Dlaczego miałabym to robić?

- Ja rozumiem, jak to musi wyglądać dla ciebie - ciągnęła ze współczuciem. - I masz słuszność, że starasz się uważać. Moc tak silna jak twoja... To duża odpowiedzialność. Nigdy nie powinnaś korzystać z niej lekkomyślnie. I nigdy, jak na pewno się nauczyłaś, nie po to, żeby kimś manipulować. Bo to może się nie udać... Poważnie nie udać, jak w przypadku tego twojego pierwszego zaklęcia. Ale to nie znaczy, że powinnaś się jej bać. Uważać, owszem.

Ale bać się, nie. Bo twoja moc, twój dar, to część ciebie samej. Jej dobra część, nie zła. Kiedy z niej rezygnujesz, wypierasz się części samej siebie. To tak, jakbyś mówiła, że sama siebie nie lubisz. A tak nie wolno. Na pewno sama widzisz, że właśnie coś takiego się dzieje, że dlatego towarzyszy ci ten... no cóż, jak to ujęłaś, pech?

Bezwiednie kiwałam głową. Bałam się odezwać głośno.

- Moc, którą posiadasz - ciągnęła łagodnie kobieta - jest bardzo stara i bardzo silna. Mogłabym się założyć, że ta osoba, która rzuca zaklęcia przeciwko tobie... ta od grzybów... nie ma zielonego pojęcia, z czym próbuje się mierzyć. Pokonasz ją. Ale nie zdołasz tego dokonać, póki nie pogodzisz się z tym, czego się boisz.

Pogodzić się z tym, czego się boję? No, chyba ją pocięło. Znaczą, łatwo jej mówić. Może gdyby przez jeden dzień znalazła się na moim miejscu - chociaż jeden dzień - to by się przekonała, że tu nie ma się z czym godzić ... Że to tylko coś, od czego trzeba wiać, i to z wrzaskiem. Szczury bez głowy i kurierzy tracący panowanie nad rowerami, i lalki, którym ktoś wbija w głowę; szpilki, i...

Kobieta spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Nie wierzysz mi - powiedziała. - Widzę to. I nie mam pretensji. Ale tamto twoje zaklęcie wiążące... podziałało?

Pomyślałam o Petrze... I o Willemie, który wygrał bilet do Nowego Jorku, i o tej piątce z procesów przemiany glikoli.

- Tak - potwierdziłam z wahaniem. - W sumie, wydaje mi się, że działa. Jak na razie.

- Nie bałaś się wtedy swojej mocy, prawda?

- Nie - przyznałam. - Byłam wściekła.

- Widzisz? Gniew może być zdrowy. Kiedy przyjdzie pora, a taka pora przyjdzie, pamiętaj o tym. I o tym, co powiedziałam. Pogódź się ze swoimi mocami: pokochaj samą siebie taką, jaką cię stworzyła natura, a będziesz górą. Zawsze.

Chciałam jej uwierzyć. Ale jak miałam uwierzyć w coś, co przez całe życie wiązało się dla mnie tylko z kompletnym nieudacznictwem? To było niemożliwe.

Ale i tak, z grzeczności, uśmiechnęłam się.

- Hm... - mruknęłam. - Rzecz w tym, że ja nie martwię się tak bardzo o siebie. Bardziej się martwię o... mojego przyjaciela. - Nie chciałam głośno mówić, że martwię się, że Tory mogłaby chcieć zrobić coś złego Zachowi. Nie specjalnie, oczywiście... ale nie mogłam pozbyć się z myśli obrazu tej lalki ze szpilką w głowie. Wiedziałam - aż za dobrze - że zaklęcie może przynieść odwrotny skutek, i że może się skończyć tym, że zaszkodzi osobie, której rzucający zaklęcie wcale zaszkodzić nie chciał. - Boję się, że osoba, która rzuca to

zakłęcie z grzybami, może spróbować mu coś zrobić. Miałam nadzieję, że znajdę u pani coś, co mogłoby go ochronić... w miarę możliwości tak, żeby on o tym nic nie wiedział.

- On nie jest wyznawcą? - spytała kobieta z cierpkim uśmiechem.

- Hm... niezupełnie. Kobieta zmrużyła błękitne oczy.

- Rozumiem - powiedziała. - No cóż, w sumie... A potem ta kobieta - która tak naprawdę, jak już się zdążyłam zorientować, była prawdziwą, praktykującą czarownicą, chociaż nie miała na sobie ani skrawka czarnego materiału, a ubrana była zwyczajnie w T - shirta z logo Wonder Bread i dżinsy - zeszła ze stołka, na którym siedziała, i wyszła do mnie zza kontuaru.

- Odrobina sproszkowanej skórki cytryny - mówiła, idąc w stronę odległego krańca sklepu, gdzie na półkach stały takie szklane słoje z metalowymi pokrywkami, które unosiło się, żeby dostać się do zawartości, jak w staroświeckim sklepie ze słodyczami. - To dla oczyszczenia. - Uniosła pokrywkę i odrobinę żółtego proszku nasypała do małej torebeczki z materiału. - Potem nieco imbiru, dla dodania energii. - Wrzuciła do woreczka kilka plasterków korzenia imbiru. - Goździki, dla ochrony, oczywiście... - Kilka sztuk wylądowało w woreczku. - No i nie zapominajmy o rozmarynie. - Obróciła się i mrugnęła do mnie. - To dla miłości, takiej jak w „miłuj nieprzyjaciół swoich”, jakkolwiek nieprawdopodobne to się może w tej chwili wydawać. I proszę. - Ścisnęła górę torebeczki i związała ją kawałkiem czerwonej wstążki. - Przy odrobinie szczęścia, jak długo będzie to nosił, każde zakłęcie rzucone przeciw niemu - wręczyła mi ów magiczny przedmiot - odbije się, nie czyniąc mu szkody, i wróci do rzucającego.

„Przy odrobinie szczęścia”. Z trudem przełknęłam ślinę i spojrzałam na torebeczkę.

- Trochę tak, jak mówią małe dzieci... „Ja jestem guma, a ty klej”; ode mnie się odbije, a do ciebie przyklei.

Czarownica roześmiała się, a w kącikach jej niebieskich oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Dokładnie tak.

Otworzyłam plecak i włożyłam do środka pachnącą saszetkę, zastanawiając się, jak zdołam ją powiesić Zachowi na szyi tak, żeby on tego nie zauważył... Zwłaszcza że chyba przestał ze mną rozmawiać po tej historii z balem.

- No cóż, bardzo dziękuję.

Mimo wszystko, nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób taka kupka suszonych ziół ma kogokolwiek uchronić przed gniewem Tory.

Z drugiej strony, już raz kiedyś też nie doceniłam siły działania pewnego zaklęcia i

patrzcie tylko, dokąd mnie to zaprowadziło.

- Ile jestem pani winna?

Na co czarownica się roześmiała:

- Nic! Cieszę się, że mogę ci pomóc. Tak przy okazji, na imię mam Lisa.

- Maggie - przedstawiłam się, wyciągając rękę, żeby uścisnąć dłoń sprzedawczyni. - Ale pani sklep zbankrutuje, jeśli będzie mi pani co chwila coś dawała. Już mi pani dała to. - Dotknęłam pentagramu zawieszzonego na szyi. - Pamięta pani?

Lisa się uśmiechnęła.

- Pamiętam. Noś go na zdrowie. Wróc za parę dni i daj mi znać, jak się wszystko ułożyło.

Znów założyłam plecak na ramię i powiedziałam:

- No cóż, dobrze. Dziękuję.

- I nie zapominaj - dodała Lisa, kiedy już wychodziłam - pogódź się ze swoim darem, Maggie. Nigdy się go nie lękaj. Przecież to część ciebie samej.

Pokiwałam głową i wyszłam ze sklepu, podziękowawszy jej jeszcze raz. Oczywiście, jakąś częścią umysłu traktowałam to wszystko jak wygłup. Pogodzić się ze swoim darem? No przecież nie mogła mieć na myśli daru, jaki otrzymałam od mojej prapra - coś tam - babki Branwen. Czy raczej: otrzymałyśmy, jeśli włączyć w to Tory. Daru, o którym Tory powiedziała, tak kpiąco, że nie boi się go używać, chociaż może ja się boję. Skąd ta kobieta mogła w ogóle wiedzieć o Branwen, a co dopiero ojej darze?

Czy ja faktycznie dysponowałam jakąś mocą - prawdziwą i rzeczywistą - jak sądziła ta sprzedawczyni?

I czy naprawdę sama na siebie sprowadzałam własnego pecha, lękając się go, zamiast go zaakceptować?

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.



I mam chronicznego pecha - prawdopodobnie takiego, którego sama na siebie sprowadzam brakiem pewności siebie - ale głupia nie jestem. Nie miałam zamiaru mówić rodzicom Tory, skąd wzięła prochy. Już i tak dość trudno mi było przystosować się w tej nowej szkole - jeśli wziąć pod uwagę, że przy mojej szafce zawisają bezgłowe szczury, no i to, że krążą plotki o tym, że w Iowa ktoś mnie prześladował. Nie potrzebuję do tego jeszcze etykietyki kapusia.

I chociaż skończyło się na tym, że Shawn wyleciał ze szkoły, ja nie miałam z tym nic wspólnego.

Kiedy w czasie trzeciej lekcji w poniedziałkowy rano rozeszła się wiadomość, że administracja przeszukuje nasze szafki, nic sobie z tego nie robiłam.

Ale kiedy w czasie czwartej lekcji (historia Stanów, którą mam razem z Tory i Shawnem, chociaż w poniedziałek Tory w szkole nie było, bo musiała jechać na kontrolę do lekarza i na spotkanie z terapeutą), dyrektor faktycznie pojawił się w drzwiach klasy i spytał panią Tyler - „Czy mogę prosić do siebie Shawna Ketteringa? - nawet ja wiedziałam, że to nie jest dobry znak.

A potem, w czasie lunchu, poszła plotka, że już go nie ma. Wpadł. Wywalili go.

- No cóż, ja tam jestem zadowolona - skomentowała to wszystko filozoficznie Chanelle, wylizując nadzienie z czekoladki Devil Dog. - Na przykład, Robertowi będzie teraz dużo trudniej znaleźć jakiś towar. No wiesz. Ziele. Jasne, mógłby się wybrać na Plac Waszyngtona i tam kupić. Ale połowa dilerów to gliny w przebraniu. Nie będzie ryzykował. Gdyby wpadł, rodzice by go zabili. Teraz na balu wiosennym będzie może nawet przytomny. To będzie jakaś odmiana.

- Muszę być przytomny na balu? - spytał Robert z taką miną, jakby go lekko zemdliło.

- Ludzie, no to już nie fair.

- Och, weź się w garść - powiedziała Chanelle. - Dobrze ci zrobi, jak zobaczysz, w jakim świecie żyje reszta z nas.

- Reszta z was żyje w beznadziejnym świecie - burknął Robert.

Śmiałam się z jego rozczarowania, gdy nagle znajomy chropawy głos odezwał się tuż przy moim uchu:

- A śmiej się, śmiej, kapusiu jeden.

O mało się nie zakrztusiłam nóżką z kurczaka. Obróciłam się na krześle i zobaczyłam Gretchen i Lindsey, które patrzyły na mnie gniewnie.

- Jesteś teraz zadowolona, donosicielko? - zapytała Gretchen. - Co, nie wystarczyło ci, że sprzątnęłaś Zacha Tory sprzed nosa? Musiałaś jeszcze doprowadzić do tego, że Shawna, jej chłopaka, wywalili ze szkoły?

Gapiałam się na obie dziewczyny.

- Nikomu Zacha nie sprzątnęłam sprzed nosa - zaprotestowałam, kiedy wreszcie udało mi się wydobyć głos z gardła. - Nie chodzimy ze sobą. Nie wiem, o co ci chodzi z tym Shawnem. Nie ja wygadałam.

- Tak... jasne - mruknęła Lindsey i się skrzywiła. - Córeczka pastora? Oczywiście, że to ty.

- To nie ja - fuknęłam.

- A mów sobie, co chcesz, kapusiu - parsknęła Gretchen. A potem z Lindsey zabrały swoje tace i poszły w przeciwną stronę.

Kiedy zmartwiona obróciłam się z powrotem do stołu, Chanelle miała współczującą minę.

- Och, Maggie - powiedziała. - Nie daj się zdołować tym czarownicom. Wiemy, że to nie byłaś ty. A nawet gdyby, to kto mógłby mieć do ciebie pretensje po tym, co się stało z Torrance?

Bo, oczywiście, wiadomość o próbie samobójczej Tory rozeszła się po szkole lotem błyskawicy - chociaż ja o tym nie pisałam nikomu ani słowa.

- To nie byłam ja - oświadczyłam gwałtownie.

- Nie przejmuj się. - Robert miał znudzoną minę. - I tak nikt nie słucha tego, co wygadują te dwie wariatki.

Ale tutaj się mylił. Albo to, albo nie tylko Gretchen i Lindsey rozповідаły w szkole, że to ja zakapowałam Shawna. Gdziekolwiek się ruszyłam, ludzie zaczynali szeptać, ale milkli, kiedy patrzyłam w ich stronę. Do czasu, kiedy zaczęła się piąta lekcja, miałam już tego wszystkiego serdecznie dość.

W Chapmanie była tylko jedna osoba, której reakcja na sprawę Shawna mnie obchodziła. A Zach od sobotniego wieczoru unikał mnie jak morowej zarazy. Nie udało mi się znaleźć na tyle blisko, żeby zamienić z nim choć jedno słowo, a co dopiero wsunąć mu do plecaka pakiecik od Lisy.

Nie żebym miała do niego żal. Przy tych moich wszystkich kłopotach z Tory, a potem z czarami, a teraz jeszcze z Shawnem, musiałam mu się wydawać jednym wielkim magnesem na pecha. Zresztą sama wiedziałam, że nim jestem.

Trener Winthrop znów kazał nam grać w zbijaka. I to wcale nie przypadek, że Zach i

ja wylądowaliśmy w tej samej drużynie. W rzadkim przyptywie dobrego humoru, trener Winthrop najwyraźniej uznał, że to będzie świetny dowcip, jeśli kapitanem jednej drużyny zrobi muzycznego geniusza - i osobę podejrzaną o donosicielstwo, chociaż jestem przekonana, że akurat o tym na pewno jeszcze nie zdążył usłyszeć. Oczywiście, Zacha pierwszego wybrałam do swojej drużyny. Hej, mogło się okazać, że to jedyna okazja, żeby z nim porozmawiać.

Ale, w sumie, myliłam się. Podszedł i odezwał się do mnie zupełnie z własnej woli, kiedy czekaliśmy, aż zacznie się mecz.

- A więc, kuzynko Maggie z Lowy... - zaczął. - Nie kłamałaś, kiedy mówiłaś, że masz chronicznego pecha. Rzeczywiście, jesteś najbardziej pechową osobą, jaką spotkałem. Teraz, jak słyszę, zostałaś kapusiem?

Stojąc na linii, z najwyższym trudem - serio - powstrzymałam się przed wybuchem płaczu, chociaż powszechnie wiadomo, że na płacz nie ma miejsca w sporcie. W zbijaku też.

- To nie byłam ja! - rzuciłam trochę za głośno. Cała reszta drużyny popatrzyła na mnie.

Zach uśmiechnął się łagodnie.

- Wyluzuj, Maggie - powiedział. - Ja wiem, że to nie ty. Jednak ciekawi mnie, że plotka akurat tak głosi, he?

- Bo to się trzyma kupy - stwierdziłam, wzruszając ramionami. - No bo, chodzi o moją kuzynkę. Jestem w tej szkole. Jestem...

- .córką pastora - dokończył za mnie Zach. - Tak... wiem. Wszystko to już słyszałem. No i? Co zamierzasz z tym zrobić?

Znów wzruszyłam ramionami.

- A co mogę zrobić?

- Możesz iść ze mną na bal - powiedział Zach. Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Zwariowałaś? To tylko pogorszy sprawę. Gretchen i Lindsey już chodzą i rozpowiadają...

- Właśnie - mruknął Zach. - To Gretchen i Lindsey dolewają oliwy do ognia. A jak sądzisz, dlaczego to robią?

Bo nie chcę połączyć sił z Tory i pomóc im w stworzeniu najpotężniejszego kowenu na wschodnim wybrzeżu. Ale tego nie mogłam mu zdradzić. Odpowiedziałam natomiast:

- Bo mnie nienawidzą.

- Owszem. Ale dlaczego cię nienawidzą? Bo Tory im kazała. Pokręciłam głową, zbita z tropu.

- Chcesz powiedzieć, że Tory im wmówiła, że to przeze mnie Shawn wyleciał ze szkoły?

- A to założenie wydaje się takie niemożliwe do przyjęcia przy tym wszystkim, co już wiesz o swojej kuzynce?

Zastanawiałam się już nad tym. Serio, zastanawiałam się. Jednak po prostu nie mogłam wyobrazić sobie, żeby Tory zrobiła coś równie podłego. Symulować próbę samobójczą, tak. Ale roznosić na mój temat plotkę, która była totalnym kłamstwem i ona o tym wiedziała?

A z drugiej strony, ostatnio faktycznie ciągle z kimś gada na IM...

No, ale mimo wszystko.

- Sama nie wiem, Zach - sapnęłam. - Moim zdaniem nawet Tory nie upadłaby tak nisko.

- Świetnie - powiedział. - Ale w razie, gdybyś zmieniła zdanie... Zaproszenie jest nadal aktualne.

- Zaproszenie... na bal? - Przykro mi to mówić, ale pod koniec zdania wyrwał mi się praktycznie pisk.

- Tak... - odrzekł Zach ze speszoną miną. - Na bal.

- Ale... - Prawdę mówiąc, chociaż wypowiedziałam te słowa dwa dni temu - te, w których oznajmiłam mu, że nie mogę z nim iść na bal - one mnie nadal bolały... Bolały jeszcze bardziej niż złożona rodzicom Tory propozycja, że wrócę do domu, do Hancock.

Mimo to wiedziałam, że nie mogę przyjąć zaproszenia, którego mógłby w jakimś momencie pożałować. No bo, to by nie było w porządku. Nikt - nawet taki świetny facet jak Zach - nie ścieriałby, żeby go łączono z kimś, kogo się podejrzewa o do - nosicielstwo.

- Serio, Zach - powiedziałam. - Nie ma sprawy. Możesz zabrać kogoś innego. Ja się nie obrażę. - Mnie by to zabiło. Ale nie miałam zamiaru go o tym informować.

Ale ku mojemu zdziwieniu, zamiast nadal się ze mną spierać, powiedział:

- Słuchaj, masz historię Stanów. Pani Tyler przerabiała już różne typy rządów?

- Tak - odparłam, zastanawiając się, co to ma, u licha, wspólnego z balem.

- A doszła już do leseferyzmu? Do pozwalania, żeby sprawy toczyły się własnym trybem?

- Rząd ma unikać wtrącania się w sprawy wolnego rynku! - Kiwnęłam głową.

- Właśnie. Chyba da się powiedzieć, że wobec Tory zawsze wykazywałam postawę, w pewnym sensie, leseferystyczną. O ile ona mi nie następowała na odcisk, ja jej też nie dokuczałam, rozumiesz? Przez jakiś czas podejrzewałam, że ona na mnie leci, ale...

- Ale sam wolałeś Petrę - dokończyłam za niego. - No i, o ile udawało ci się z Tory zachować przyjazne kontakty, miałeś pretekst, żeby się z nią widywać. To znaczy, z Petrą.

Zrobił taką minę, jakby się autentycznie zawstydził.

- No cóż - powiedział. - Niby tak... W zasadzie. Przez jakiś czas, w każdym razie. Ale chcę powiedzieć właśnie to nie zamierzam już stosować leseferyzmu w podejściu do Tory... Ani nikogo innego. Moim zdaniem już czas, żebym zajął jakieś stanowisko.

Odezwałam się ostrożnie:

- Ale, Zach, jeśli pójdziemy razem na bal, a Tory się wścieknie, a potem ja... - z trudem przełknęłam ślinę, ale brnęłam dalej - wrócę do Hancock, to stracisz pretekst do odwiedzania Petry. Rozumiesz, Tory ci nie wybaczy.

- Wiem - rzucił Zach. - Właśnie to próbuję powiedzieć. Jestem gotów ponieść taką ofiarę.

Popatrzyłam na niego zaciekawiona.

- Ale dlaczego? Po co miałbyś to robić? Nie kochasz już Petry?

Zach miał okropnie dziwną minę. Przypominała coś pośredniego między frustracją a rozbawieniem. Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale przerwał mu trener Winthrop, który zagrział:

- Rosen! Rzucasz!

Z przepaszającym spojrzeniem w moją stronę Zach poszedł po piłkę.

Oparłam się o ławkę, zastanawiając się, co takiego mógł chcieć mi powiedzieć. Czyżby uczucia Zacha wobec Petry uległy zmianie? Zobaczył jej radość ze zbliżającej się wizyty Willema i wreszcie zrozumiał, że nigdy nie miał u niej szans?

O co mu chodziło?

Ale nie udało mi się tego dowiedzieć, bo później, w czasie meczu, piłka uderzyła mnie w głowę (typowe), więc musiałam posiedzieć sobie z boku, póki trener Winthrop nie upewnił się, że nie mam wstrząsu mózgu, i nie pozwolił mi pójść do szatni, przebrać się.

Ale jeśli uczucia Zacha wobec Petry były już historią, to nie tylko one, jak się przekonałam, kiedy tego dnia wróciłam do domu ze szkoły. Jak się okazało, ulotniły się też uczucia Tory wobec mnie. To znaczy, te wrogie.

A przynajmniej ona tak twierdziła.

Byłam w swoim pokoju i ćwiczyłam na skrzypcach, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziałam, odkładając skrzypce. Wiedziałam, że to musi być coś ważnego. Teddy'ego i Alice nauczyłam już, że w czasie moich codziennych, godzinnych

ćwiczeń na skrzypcach nie wolno mi przeszkadzać, niezależnie od tego, co się stało w ostatnim odcinku Sponge Boba Kanciastoportego.

Powinłam była domyślić się, że to nie może być żadne z młodszych Gardinerów, bo oni naprawdę starają się nie przeszkadzać mi, jeśli usłyszą, że z mojego pokoju dobiegają dźwięki Strawińskiego. Okazało się, że to Tory.

- Cześć - powiedziała do mnie, zamykając drzwi i opierając się o nie. - Masz sekundę?

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Coś... Coś się zmieniło w jej wyglądzie. Naprawdę zmieniło. W pierwszej chwili nie umiałam określić, co konkretnie.

A potem mnie to uderzyło. Nie była ubrana na czarno! Na sobie miała dzinsy - takie zwykłe, a nie te, które czasem nosiła, całe samodzielnie ozdobione wymalowanymi czarnym markerem ankhami i pentagramami.

I nie miała na twarzy tony makijażu. Tory, uderzająco ładna dziewczyna, i tak nigdy nie potrzebowała całego tego eyelinera i tuszu, którymi pacykowała sobie oczy. Bez nich wyglądała równie ładnie... Tylko w nieco inny, delikatniejszy sposób.

Jeszcze coś się zmieniło. Potrwało to kolejną chwilę, zanim do mnie dotarło, ale wreszcie zrozumiałam, w czym rzecz. Nie piorunowała mnie wzrokiem. W sumie wyglądała tak, jakby się z mojego widoku cieszyła.

- Chciałam cię przeprosić - powiedziała - za to jak cię traktowałam od chwili, kiedy tu przyjechałaś.

Byłam tak zdumiona, że skrzypce o mały włos nie wypadły mi z rąk.

- Ostatnio zachowywałam się jak kompletny psychoz - ciągnęła Tory. - Nie wiem, co się ze mną działo. Chyba po prostu za dużo było tego wszystkiego: szkoła, potrzeba popularności, ta sprawa z Zachem... No i jeszcze czary. I tak wyszło, że wyładowywałam się na tobie. Mój terapeuta, no wiesz, ten do którego teraz chodzę, naprawdę stara mi się w tym pomóc. Więc! chciałam ci tylko powiedzieć, że przepraszam cię za swoje zachowanie, i podziękować ci za to, co zrobiłaś tamtego wieczoru... z tymi prochami i tak dalej. Wiem, że zrobiłaś to ze zwykłej troski. Mam szczęście, że wokół mnie jest tylu ludzi, którzy tak bardzo się o mnie martwią. Dla mnie to był prawdziwy dzwonek ostrzegawczy. A więc... Dzięki, Maga. I... jeśli się zgodzisz...

To ja bym chciała, żebyś mi dała jeszcze jedną szansę.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Słyszałam o tym, że terapia potrafi zdziałać cuda, ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałam.

- Ja... - Co miałam powiedzieć? Zachwycona byłam, że ta dawna Tory, ta sprzed pięciu lat, wróciła. Jeśli to była faktycznie prawda. - Och, Tory, naprawdę mówisz serio?

- Oczywiście, że serio - potwierdziła Tory z uśmiechem., Nawet jej włosy wyglądały inaczej. Upięła je do góry i nie opadały jej na oczy, więc wyglądała prawie... No cóż, elegancko. I, na odmianę, jak osoba szczęśliwa. - I nie chcę też już więcej wyglupiać się z tymi czarami. Ta cała historia babci o Branwen... To było po prostu niemądre. Tak samo jak numer z lalką Zacha...

- Wzdrygnęła się. - O Boże, w głowie mi się nie mieści, że to w ogóle zrobiłam. Straszna żenada. Wyrzuciłam lalkę do śmieci i zapomniałam o niej, tak jak sugerowałam. Naprawdę chcę, żebyśmy znów były przyjaciółkami, Mago. Myślisz, że to możliwe?

- Oczywiście, że tak - powiedziałam. Ale coś nie dawało, mi spokoju... I wcale nie chodziło o ten lekki ucisk w żołądku.

- Ale co z... Shawnem?

- Shawnem? - Tory się zdziwiła. A potem roześmiała. - Ach, Shawn! No wiem, aż trudno uwierzyć, prawda? W głowie mi się nie mieści, że ktoś go tak podkablował. Ale to mu wyjdzie na dobre. Słyszałam, że doktor Kettering już pociągnął za parę sznurków, żeby go umieścić w Spencerze, a wszystkie swoje recepty trzyma teraz pod kluczem.

Przyjrzałam się jej.

- Twoje przyjaciółki, Gretchen i Lindsey, uważają chyba, że to ja to zrobiłam. Cała szkoła zdaje się, uważa, że ja to zrobiłam.

- Naprawdę? - Tory pokręciła głową. - Ale to nie ma sensu! Oczywiście, że to nie ty. Wierzyć się nie chce. Boże, Maggie, naprawdę masz okropnego pecha. Zawsze go miałaś. To chyba jedna z rzeczy, za które tak bardzo cię lubię. Jesteś po prostu taka... przewidywalna.

Przyglądałam jej się chwilę. Rzeczywiście wyglądała, jakby mówiła serio. Zupełnie przypominała dawną Tory. Naprawdę.

I zanim się zorientowałam, już do niej podchodziłam, żeby ją uściskać - i dopiero potem dotarło do mnie, że nadal mam w dłoniach skrzypce i smyczek, więc parsknęłam śmiechem, odłożyłam je i uściskałam ją.

Coś niebywałego! Kiedy oddała uścisk, poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Wydawało mi się, że to niemożliwe, a jednak się stało - dawna Tory wróciła!

- Och, Maggie - westchnęła, kiedy wreszcie wypuściłam ją z objęć. - Tak bardzo się cieszę, że mi wybaczasz. Zwłaszcza że byłam dla ciebie taka wredna.

- Tory... - Pokręciłam głową. - Zawsze ci wszystko wybaczę. Przecież jesteś moją cioteczną siostrą, prawda? Ale... - Potrzeba było aż pobytu w szpitalu, żeby doszła ze sobą do ładu, i wydawało się, że jest pełna szczerzej skruchy, niemniej jednak... - Jesteś naprawdę pewna? To znaczy...

- Och, Maggie, już nie musisz się o mnie martwić - zapewniła ze śmiechem. - Naprawdę, wszystko ze mną w porządku. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz... No wiesz. Czuję się niezręcznie. Nie chodzi mi o czary, ale o Zacha. Wyleczyłam się już z niego. Serio. Przysięgam. Nie będę miała nic przeciwko, jeśli zaczniecie ze sobą chodzić. Moim zdaniem tworzyście śliczną parę. Razem na balu będziecie się pięknie prezentować.

- Dzięki - powiedziałam z zażenowaniem. - Ale, jak ci to ciągle powtarzam... Nie jesteśmy parą. I na pewno nie pójdziemy razem na bal.

- Dlaczego? Nie zaprosił cię? - Oczy Tory były pełne troski. - To dziwne. No bo, tak bardzo się do siebie zbliżyliście... Nawet jeśli tylko jako przyjaciele. Myślałam, że zaprosił cię na ten bal...

- No cóż... - odparłam z wahaniem. - Zaprosił. Ale ja odmówiłam. Bo to się wydawało zwyczajnie nie w...

- Och, Maggie! - zawołała Tory, podchodząc i ściskając mnie za ramię. - Wy musicie iść razem! Po prostu musicie. To będzie żadna impreza, jeżeli was zabraknie.

- Jeśli nas... - przerwałam. - To ty nadal się wybierasz? Ale ja myślałam...

- Oczywiście, że się wybieram! Nie z Shawnem, naturalnie. - Zrobiła niechętną minę. - Nie wolno mu się pojawiać na żadnych imprezach organizowanych przez szkołę. Ale pomyślałam, że pójdę, no wiesz, w pojedynkę. Mnóstwo dziewczyn tak robi. Wcale nie będę tam wyglądała jak największe dziwadło. A kto wie? Może na balu sobie kogoś znajdę... Kogoś, kto będzie zainteresowany przyjaźnią, w przeciwieństwie do przyjaźni z seksem na dokładkę. - Mrugnęła do mnie. - Wiesz, o co mi chodzi.

- To świetny pomysł - powiedziałam, myśląc, że dokładnie czegoś takiego trzeba Tory: nowego początku, zwłaszcza jeśli chodzi o facetów. - Czekaj, wiem. Może poszłybyśmy razem? Ty i ja... Obie możemy sobie poszukać nowych facetów...

- Och, nie - sprzeciwiła się Tory. - I zostawić naszego biednego Zacha? To nie w porządku. Musisz iść z Zachem, Maggie. Po prostu musisz. Jeśli nie pójdziesz... No cóż, będę czuła, że to przeze mnie.

- Hm... - odezwałam się z wahaniem. Tory zakryła dłonią usta.

- O, nie! Bo to naprawdę przeze mnie, tak? Och, Maggie. Czuję się tak okropnie. Po prostu okropnie! Nie chcę, żeby moje głupie problemy obciążały innych ludzi... a co dopiero, żeby zrujnowały ostatnią szansę Zacha na szkolny bal. Maggie, musisz z nim iść. Po prostu musisz.

- Ale ja już mu powiedziałam, że nie pójdę - stwierdziłam nieco bezradnie.

- To może zadzwoń do niego i powiedz mu, że zmieniłaś zdanie? Jestem pewna, że



nadal chce iść na bal.

- No cóż - powtórzyłam. - Sama nie wiem. Może. Ale...

- Och, zadzwoń do niego - nalegała Tory. Wzięła słuchawkę bezprzewodowego telefonu leżącą na stoliku przy moim łóżku. - Zadzwoń do niego od razu i powiedz mu, że zmieniłaś zdanie.

- To nie takie proste, Tory - tłumaczyłam, myśląc o jego minie, kiedy widziałam go po raz ostatni i spytałam go, czy nadal się kocha w Petrze. Miał taki dziwny wyraz twarzy... Jeśli już wcale nie kochał się w Petrze, po co miałby chcieć kręcić się koło mnie?

Po nic, oto odpowiedź.

- Nigdy się tego nie dowiesz - uznała Tory, podając mi słuchawkę - jeśli nawet nie spróbujesz.

Spojrzałam na telefon. Oczywiście, miała rację. I co mi to szkodzi, że zapytam?

Wzruszyłam ramionami, wzięłam od niej telefon i wystukałam numer Zacha.

Odebrał przy drugim dzwonku.

- Zach? To ja, Maggie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki się nie odezwał tonem, który wskazywał, że się faktycznie ucieszył, że do niego zadzwoniłam:

- O, cześć!

Szybko wypuściłam powietrze z płuc.

- Jak leci? - spytał. - Jak twoja głowa? Rozglądałem się za tobą po wuefie, ale już gdzieś zniknęłaś...

- A, no tak... nic mi nie jest - powiedziałam, krzywiąc się na wspomnienie własnego braku sprawności fizycznej.

- To dobrze. A jak się ma twoja kuzynka? Czy już...

- Tory ma się świetnie - przerwałam mu, uśmiechając się szeroko w stronę Tory. Oddała uśmiech, uniesieniem kciuka życząc mi powodzenia. - W sumie, dzwonię trochę z tego powodu... W sprawie balu. Chodzi o to, że... Tory dzisiaj jest w o wiele lepszej formie. I mówi, że naprawdę bardzo by nie chciała, żebyśmy rezygnowali z balu z jej powodu.

- Och - sapnął Zach. - Tak powiedziała, na serio?

- Tak powiedziała - przytaknęłam. - Naprawdę. Więc zastanawiałam się, czy nie masz ochoty mimo wszystko iść na bal. - Zdałam sobie sprawę, że dłonie mi się spociły i wytarłam je o nogawki dzinsów, przekładając telefon z jednej do drugiej ręki. - To znaczy, ze mną.

- Maggie... - zaczął Zach.

- Tak?

- Czy Tory jest teraz z tobą w pokoju?

- Aha - potwierdziłam, starannie unikając jej wzroku.

- Nie wydaje ci się, że to jakaś podpucha?

- Co? - odezwałam się, zaskoczona. - Nie. Nie, Zach. Nic podobnego. Tory też wybiera się na bal... Oczywiście, solo, ze względu na to, co się stało z Shawnem. I mówi, że czułaby się naprawdę podle, gdyby nas tam nie było.

Odchrząknęłam. Strasznie to wszystko zrobiło się niezręczne. Bo, oczywiście, jeśli to, co chyba próbował powiedzieć mi Zach na wuefie, jest prawdą, to jemu Petra już się wcale nie podoba. Więc po co, u licha, miałby chcieć gdzieś iść w moim towarzystwie?

- Jeśli znalazłeś już kogoś innego, z kim chcesz iść, to absolutnie nie ma sprawy - dodałam szybko. - Chciałam tylko sprawdzić. W razie, gdybyś nie znalazł. Ale jeśli wybierasz się z kim innym, to naprawdę, nie ma problemu...

- Nie o to chodzi - odparł Zach. - Tylko, czy tobie się nie wydaje, że to wszystko trochę wygląda tak, jakby...

- Maggie - włączyła się Tory. Spojrzałam na nią. Wyciągała rękę. - Daj mi go do telefonu.

Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, podałam Tory słuchawkę. Odezwała się bardzo ożywionym tonem, jakiego u niej jeszcze nie słyszałam:

- Zach? Cześć, to ja, Torrance. Posłuchaj, Zach, ja wiem, że to musi wyglądać jak taka strasznie nagła odmiana, ale naprawdę bardzo jestem wdzięczna Maggie za to, co dla mnie zrobiła. Chciałam po prostu, żeby wiedziała, jak bardzo mi przykro, że tak wstrętnie ją traktowałam od chwili, kiedy do nas przyjechała, i... Co takiego? Och, oczywiście, Zach, już to robiłam. I Maggie chyba zdecydowała się dać mi jeszcze jedną szansę. Miałam nadzieję, że ty też mi ją dasz.

Zapadła cisza, kiedy Tory słuchała tego, co Zach mówił w odpowiedzi. A potem uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Super - powiedziała. - Dzięki, Zach. Nie pożałujesz. Tak, już ci ją daję.

Oddała mi słuchawkę, bezgłośnie szepcząc: „Zgodził się!” Aż trudno było uwierzyć. Z uśmiechem przytknęłam słuchawkę do ucha.

- Zach?

- Albo ze szczętem oszalała, albo próbuje wyciąć ci jakiś wredny numer - ocenił Zach.  
- Ale nie wiem, czy uda nam się dowieść jednego albo drugiego. Więc powiedziałem, że pójdziemy. Przynajmniej jeśli będziemy tam razem, będziemy mogli mieć ją na oku. Poza tym, czy na szkolnym balu można narobić jakiegoś przesadnego dymu?

- Racja - zgodziłam się z nim, rzucając w stronę Tory nerwowe spojrzenie, bo się bałam, że mogła coś usłyszeć. Ona jednak przerzucała nuty leżące na stojaku i sprawiała wrażenie, że w ogóle nie zwraca uwagi na naszą rozmowę. - Brzmi nieźle. No więc... - Chciałam go zapytać o to, co zaczął mówić o Petrze na wuefie, ale jakoś nie mogłam przy Tory.

- Nadal tam jest? - spytał Zach.

- Tak.

- Posłuchaj, pogadamy jutro w szkole - zaproponował. - Dobrze?

- Dobrze - odpowiedziałam z ulgą. Z ulgą, że mimo wszystko nie będę musiała poruszać sprawy Petry. Bo w pewnym sensie wcale, ale to wcale nie chciałam tego roztrząsać.

- Na razie.

- Na razie. - Zach się rozłączył. Odłożyłam telefon.

- No cóż - zwróciłam się do Tory. - Po sprawie.

- Naprawdę się zgodził? - spytała Tory niecierpliwie.

- Naprawdę się zgodził - powiedziałam.

- Łau! - Tory zaczęła podskakiwać i klaskać w ręce. Tak bardzo przypominała dawną siebie - tę Tory, z którą tak świetnie się bawiłam pięć lat temu - że trudno było uwierzyć, aby obawy Zacha okazały się słuszne. Może w tej całej sprawie wykazywał typowy nowojorski sceptycyzm. Może Tory naprawdę zrozumiała nauczkę i się zmieniła.

Ale zastanawiało mnie to, co powiedziała wcześniej - że lalkę Zacha wyrzuciła do śmieci. Czy rzeczywiście?

Nie żebym - w przeciwieństwie do Zacha - nie wierzyła w tę przemianę Tory.

Ale nie umiałam wymazać z pamięci spojrzenia, które rzuciła mi ze schodów w sobotni wieczór. Bardzo mnie cieszyło, że się rozmyśliła, że zrezygnowała z tych eksperymentów z czarami - które, w jej przypadku, nie dodawały jej siły i stanowiły raczej niebezpieczną zabawę niż cokolwiek innego.

Czy na pewno była szczerą? A jeśli to wszystko tylko udawanie?

Czułam się okropnie, że w ogóle mogę coś takiego o niej pomyśleć. No bo, przecież wyraźnie widać, że Tory chce zacząć wszystko od początku. Zapytała nawet, czy może u mnie posiedzieć i posłuchać, jak ćwiczę. Pozwoliłam jej, oczywiście - byłam za bardzo zbita z tropu, żeby odmówić.

A potem, kiedy zaproponowała, żebyśmy zeszły na dół i wzięły sobie po porcji lodów z gorącym sosem karmelowym i pooglądały powtórkowe odcinki Real World, też, nie powiedziałam nie.

Ale później, wieczorem, po kolacji - najprzyjemniejszym posiłku, jaki kiedykolwiek jadłam u Gardinerów, bo Tory przez cały czas radośnie szczebiotała zamiast robić uszczypliwe uwagi na temat wszystkiego, co mówią inni - wyszłam przed dom i zbiegłam po schodkach na Wschodnią Sześćdziesiątą Dziewiątą ulicę.

A tam zaczęłam grzebać w śmietniku Gardinerów.

Znalazłam ją szybko. Leżała samotnie w torbie na zakupy z napisem „IV New York”. Lalka Zacha. Tory naprawdę ją wyrzuciła.

Ona naprawdę się zmieniła.

I chociaż powiedziała, że nie chce się już bawić w czary, przemyślałam ze sobą torbę z lalką Zacha do domu. Nie dlatego, że nie ufałam Tory - wcale nie o to mi chodziło. Tylko że... No cóż, niezależnie czy Tory miała jakieś magiczne moce czy nie, to nadal była lalka, do której przyczepiono włosy Zacha.

I w żaden sposób nie mogłam pozwolić, żeby pleśniała na jakimś wysypisku śmieci na Staten Island.

Zaniosłam lalkę do swojego pokoju i tam wyjęłam ją z plastikowej torby.

Naprawdę, gorzej uszytej lalki jeszcze w życiu nie widziałam. Mimo to, widać było, że przedstawia Zacha. Kto wie? Może kiedyś dam mu ją, żeby mógł się pośmiać (ale najpierw zmuszę, żeby mi przysiągł, że nikomu nie powie, gdzie ją znalazłam).

Ale potem, tuż przed zaśnięciem, naszła mnie pewna myśl. Głupia, wiem.

Niemniej i tak zmusiłam się, wstałam i wyjęłam lalkę z miejsca, gdzie ją schowałam.

Dokładnie tak, jak podejrzewałam, Tory nie usunęła swoich włosów, nadal przemieszanych na głowie lalki z włosami Zacha.

I wiem, że to prawdopodobnie najgłupsza rzecz na świecie, ale i tak to zrobiłam. Po prostu wiedziałam, że nie zdołam zasnąć, dopóki tego nie zrobię: starannie usunęłam wszystkie kosmyki włosów Tory, zostawiając na głowie lalki tylko włosy Zacha. Włosy Tory spuściłam w toalecie.

A potem schowałam lalkę z powrotem i zasnęłam tak głębokim snem, jakiego od przeprowadzki do Nowego Jorku jeszcze nie zaznałam.

Może ta pani ze sklepu dla czarownic jednak miała rację. Może naprawdę wszystko się jeszcze ułoży.

Willem - Willem Petry - przyjechał we środę i przywiózł z sobą prezenty - dla Alice małej akordeon, na którym dało się grać, dla Teddy'ego autentyczną niemiecką piłkę do piłki nożnej, dla Tory perfumy, dla Muszki kocimiętkę, a dla mnie małą figurkę dziewczyny grającej na skrzypcach - a poza prezentami mnóstwo dobrego humoru i radości życia.

Oczywiście, był zabójczo przystojny. Nie podejrzewała naszej ślicznej Petry o umawianie się z jakimś trollem i miała całkowitą rację. Willem był jeszcze wyższy niż Zach, miał jasne włosy, niebieskie oczy i co chwila sympatycznie się uśmiechał. Podśledzałam, jak ciocia Evelyn mówiła do mojej mamy w czasie ich cotygodniowej pogawędki przez telefon:

- Boże, sama już się w nim na wpół zakochałam. Petra, oczywiście, nie posiadała się z radości, że go widzi.

- Śpi na kanapie - powiedziała Teddy'emu i Alice. I, faktycznie, na kanapie w jej przytulnym mieszkanku w suterenie leżały złożony koc i poduszka.

Ale i tak codziennie przy śniadaniu zdradzała ją skóra twarzy, lekko zaczerwieniona od otarcia o czyjś zarost. Zastanawiałam się, jak mam przekazać Zachowi wiadomość, że wizyta Willema; jest tak udana - o ile Zacha jeszcze to w ogóle obchodziło. Od tamtego popołudnia na wuefie jakoś ciągle nie nadarzała się odpowiednia chwila, żeby wrócić do omawianego wtedy tematu; - nowej, pozbawionej leseferyzmu postawy Zacha wobec Tory i tego, jak zamierzał zrobić wrażenie na Petrze...

...Zwłaszcza że Tory teraz chyba nie miała nic przeciwko temu, że się przyjaźnimy, więc Zach wpadał do nas równie często jak przedtem i grał w piłkę z Teddym albo przesiadywał ze mną w kuchni (co mi dało wystarczająco dużo okazji, żeby wsunąć mu do plecaka pakiecik od Lisy. Nie żebym nie wierzyła w twierdzenie Tory, że darowała sobie czary. Ale i tak martwiłam się jeszcze Gretchen i Lindsey. Codziennie w stołówce te dwie rzucały mi jeszcze bardziej wściekłe spojrzenia niż przedtem... Szczególnie teraz, kiedy Tory przeprosiła również i Chanelle, a ponieważ przeprosiny zostały przyjęte, znów jadła lunch ze mną i Chanelle, a je obie ignorowała).

Wiem, że powinnam była po prostu podejść i spytać Zacha: „Nadal się kochasz w Petrze?”

Ale za każdym razem, kiedy zamierałam to zrobić, ta gęź w moim żołądku - która od chwili przemiany Tory pojawiała się coraz rzadziej - znów mi go z całą siłą zaciskała.

Więc po prostu nie poruszałam tego tematu. A Zach sam do niego też wcale nie

wracał. Chociaż może to dlatego, że bywał u nas wystarczająco często, żeby na własne oczy przekonać się, jak szczęśliwi są razem Petra i Willem...

Nie żebym miała przesadnie dużo czasu na przejmowanie się życiem uczuciowym Petry. Bal miał się odbyć już za parę dni, i my wszystkie, dziewczyny, zaczęłyśmy się zamartwiać, w co się ubierzemy.

- Musisz włożyć czarną sukienkę - orzekła Chanelle.

- Wszyscy noszą czerń - zgodziła się Tory. - To coś w rodzaju tradycji.

- Matka chyba nie pozwoliłaby mi ubrać się na czarno - stwierdziłam z niepokojem.

Rodzice dowiedzieli się o balu - ale nie o samobójczej próbie Tory (jak to ujęła ciocia Evelyn: „Boże Broń, żeby Charlotte miała coś na ten temat usłyszeć. Zabrałyby cię do domu w nowojorską sekundę. Może najlepiej byłoby, hm, uchronić ją przed tą informacją”) - i wysłali mi pięćdziesiąt dolców na sukienkę. Chciałam oszczędzić, więc planowałam iść na zakupy do H&M na Piątą Aleję.

Ale nawet Tory, która przestała mi już dokuczać na temat względnego ubóstwa mojej rodziny, przeraziła się tym pomysłem.

- Nie możesz włożyć na bal sukienki z H&M - jęknęła, zaszokowana. - Wszyscy będą wiedzieli, że wydałaś na nią tylko pięćdziesiąt dolców.

- Ale w normalnym sklepie ta kasa na wiele mi nie wystarczy - tłumaczyłam jej, bo już zdążyłam pooglądać sukienki w Bloomingdales i Macy's.

- Zostaw to mnie - powiedziała Tory.

I tego dnia wróciła do domu po sesji u terapeuty, niosąc torbę od Betsey Johnson.

- Ma sklep tuż obok gabinetu doktora Lippmana - wyjaśniła Tory podekscytowanym tonem, wyciągając z torby długą, seksowną suknię. - Zobaczyłam ją na wystawie i wiedziałam, że będzie dla ciebie idealna. Nie martw się, to była wyprzedaż. Kosztowała ponad pięćdziesiąt dolarów, ale uznaj to za, no wiesz. Moje oficjalne podziękowanie za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Nie mogłam oczu oderwać od tej sukienki. Była piękna. Ale...

- Jest czarna - zauważyłam.

- Wiem, że jest czarna - odparła Tory z odrobiną swojej dawnej szorstkości w głosie. - Ale tylko na nią popatrz. Jest jak stworzona dla ciebie. Przy twojej jasnej cerze i tych rudych włosach...

- Ale... jest czarna. - Podniosłam oczy na Tory. - Mama by mnie zabiła. Mówi, że jestem za młoda na czerń. A wiesz, że ciocia Evelyn wysłała jej mailem zdjęcia...

- Powiedz swojej matce, żeby się pogodziła z faktem, że jest już XXI wiek -

roześmiała się Tory. - To Manhattan, nie Hancock. Nikt tu już nie nosi różowego na bal.

Wzięłam sukienkę do ręki. Nie o to chodzi, że nie chciałam jej włożyć. Mocno wydekoltowana, na cieniutkich ramiączkach, składała się po prostu z dwóch kawałków czarnego, lejącego się materiału, zszytych razem po skosie. Dokoła rąbka naszyto mnóstwo połyskujących czarnych koralików, które przy każdym ruchu cichutko dzwięczały.

Była cudowna.

I tak strasznie nie w moim stylu.

- Po prostu ją przymierz - poprosiła Tory. Wiedziałam, że jeśli ją włożę, za nic z niej już nie zrezygnuję.

- Nie - wahałam się. - Naprawdę nie powinnam. Ty się w nią ubierz na bal, Tory. Fantastycznie byś w niej wyglądała.

- Ja już mam sukienkę, w której wyglądam fantastycznie - powiedziała Tory. - Przymierz ją chociaż. Co ci to szkodzi?

„Pogódź się z tym, czego się boisz”.

Miała rację. Przecież nic mi nie zaszkodzi chociaż przymierzyć.

Więc przymierzyłam.

I dokładnie tak, jak podejrzewałam, musiałam tę sukienkę mieć. Pasowała na mnie idealnie, jak rękawiczka, i eksponowała całe ramiona i większość pleców oraz o wiele więcej dekoltu, niż pokazałam kiedykolwiek poza basenem.

Ale wyglądałam w niej... Wyglądałam w niej...

- Zupełnie nie jak córka pastora - podsumowała Tory. - Kiedy Zach cię w niej zobaczy, w żaden sposób już nie będzie chciał się z tobą „tylko przyjaźnić”.

Po tych jej słowach zrozumiałam, że zatrzymam sukienkę. Nie żebym powiedziała Tory cokolwiek świadczącego, że podzielam jej zdanie. Bo nie podzielałam. Zach nigdy nie zacznie myśleć o mnie inaczej niż jak o przyjaciółce...

Ale co mi zaszkodzi raz na odmianę wyglądać nieco seksowniej? Mama będzie musiała jakoś się z tym uporać. A może uda mi się namówić ciocię Evelyn, żeby powiedziała, że aparat jej się popsuł...

Rano, w dzień balu, mama Tory zaskoczyła mnie, Tory i Chanelle - opłaciła nam kilka zabiegów w swoim ulubionym gabinecie kosmetycznym w Soho. Manikur, pedikur, uczesanie i makijaż, wykonane przez prawdziwą wizażystkę. Ciocia Evelyn powiedziała, że robi to bo: „Wy dwie tak ładnie się teraz dogadujecie. A ty, Tory, poczyniłaś w ostatnim tygodniu takie postępy...”

Kiedy ciocia Evelyn powiedziała to przy stole, podczas śniadania, w jej oczach były

prawdziwe łzy. To mnie tak wzruszyło, że sama o mało się nie rozpląkałam... Ale z nieco innego powodu niż ciocia Evelyn.

Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w moim życiu wszystko zaczynało dobrze się układać. Nie wiem, czy to Lisa sprawiła jakoś, że moje szczęście się odmieniło, czy, jakimś cudem, sama to osiągnęłam. Wiedziałam, że nie tylko świetnie się dogaduję z Tory, ale też zyskałam dobrą przyjaciółkę w Chanelle - która łaskawie zgodziła się pozwolić Tory wrócić do swojego towarzyskiego kółka, o ile ta powstrzyma się przy lunchu od rozmów o zbieraniu grzybów na cmentarzach - a nawet, o ile nie chłopaka, to przynajmniej przyjaciela płci męskiej.

W sumie to właśnie Zach pokazał mi ulotkę, którą znalazł w biurze szkolnej administracji. Zapowiadała stypendium - pełną opłatę czesnego - na przyszły rok dla każdego ucznia z odpowiednio wysoką średnią ocen, ale znajdującego się w trudnej sytuacji finansowej.

Warunek? Uczeń miał też wykazać się grą na jakimś instrumencie muzycznym. Trzeba było przejść przesłuchanie i tak dalej.

- To coś dokładnie dla ciebie - uznał Zach. - Masz stypendium w kieszeni.

Nie byłam tego taka pewna. Ale wiedziałam, jak bardzo zdążyłam pokochać Nowy Jork. Niekoniecznie Liceum Chapmana, bo nie zmieniłam zdania, że pełne jest forsiastych snobów (z których wielu w dalszym ciągu winiło mnie za to, że Shawn wyleciał ze szkoły... Nie żebym jeszcze specjalnie się tym przejmowała. Znałam przecież prawdę - a co ważniejsze, znali ją ludzie, na których faktycznie mi zależało).

Ale pokochałam mieszkanie z Gardinerami - teraz, kiedy Tory wreszcie zaczęła być wobec mnie miła - i bardzo, bardzo, bardzo pokochałam samo miasto. Uwielbiałam te zatłoczone ulice i wspaniałe wystawy w sklepach, i wysokie budynki, i Met, Carnegie Hall, i smażone pierożki z Sushi by Gari, i bajgle z H&H, i wędzonego łososia z Citarella. Pokonałam już nawet swój lęk przed metrem i mogłam wsiąść do pociągu linii numer 6 bez (prawie) najlżejszego śladu ucisku w żołądku.

Nadal kompletnie nie radziłam sobie z innymi liniami. Ale szóstkę znałam na wrywki.

I dobra, brakowało mi Stacy i rodziny.

Ale Hancock? Za Hancock nie tęskniłam wcale.

A już zwłaszcza za pewnymi rzeczami, które się z nim wiązały.

A jeśli dostałabym stypendium, nie musiałabym wracać. Wiedziałam, że ciocia Evelyn i wujek Ted pozwolą mi nadal z nimi mieszkać. Jasne, rodzicom byłoby smutno (choć



Courtney nie - dla niej to jedna osoba mniej w kolejce do łazienki).

Ale nawet mama i tata rozumieją, że świadectwo ukończenia Liceum Chapmana będzie wyglądało lepiej na moim podaniu o przyjęcie do Julliard - bo dlaczego nie miałabym spróbować dostać się do Julliard, skoro pech zaczynał mnie opuszczać? - niż świadectwo z Liceum Hancock. Tyle innych rzeczy przemawiało jeszcze za pozostaniem w mieście i nie wracaniem do Hancock... Nawet nie biorąc pod uwagę tego, że Zach w przyszłym roku zacznie się uczyć na Uniwersytecie Nowojorskim, zaledwie niecałe sześćdziesiąt przecznic od domu.

Wieczorem w dniu balu, o szóstej pięćdziesiąt dziewięć - po tym, jak przez cały dzień dogadzano mi i doprowadzono do idealnego stanu każdy centymetr mojej osoby (choć stylistka fryzur, Jake, rzucił na moje włosy tylko jedno spojrzenie i oświadczył: - „Nie. Y - y. Nic z tym nie będziemy robić. Może tylko uniesiemy jakieś pasemko i przypniemy spinkę... o, tak będzie świetnie... ale niech nikt mi się nie zbliża z prostownicą do włosów tej dziewczyny. Wszyscy mnie słyszeli?”) - właśnie zapinałam błyszczącą klamerkę wieczorowego sandałka, kiedy zabrzączał dzwonek przy drzwiach.

A potem usłyszałam, jak Teddy - który zawsze dopadał drzwi pierwszy - woła:

- To Zach!

- Już tu jest, już tu jest! - oświadczyła Alice, wpadając do mojego pokoju.

Ale wyhamowała w progu i spojrzała na mnie z otwartą buzią.

- O kurczę! - zapiszczała. - Maggie, wyglądasz jak księżniczka!

- Naprawdę? - Nerwowo obciągnęłam sukienkę, przyglądając się swojemu odbiciu w wielkim lustrze na drzwiach łazienki. Nagle wydało mi się, że wszystkiego tu za wiele - że sukienka jest za obcisła, dekolt za duży, mój makijaż za ostry, obcasy za wysokie, pentagram na moim nadgarstku za... No tak. Nadal nosiłam pentagram na szczęście, bo jeśli kiedykolwiek potrzebowałam szczęścia, to właśnie teraz. Ale pomyślałam, że nieco dyskretniej będzie zawiesić go na nadgarstku. Zwykle chowałam wisiołek pod kołnierzykiem bluzki, ale przy tak dużym wycięciu sukni wisiołek strasznie rzucał się w oczy, jeśli go zakładałam na szyję.

- Och, Maggie. - Petra stanęła w drzwiach obok Alice. - Ona ma rację. Wyglądasz pięknie.

- Sukienka nie jest za ciasna? - spytałam z niepokojem.

- Ależ skąd - zapewniła mnie Petra. - Och, mam nadzieję, że pani Gardiner znajdzie aparat!

Zmówiłam w duchu modlitwę, żeby ciocia Evelyn go nie znalazła... Zwłaszcza że

schowałam aparat w suszarce do prania.

- No cóż - powiedziałam. - Nic specjalnego, ale trzeba iść. Wyszedłam z pokoju i ruszyłam po schodach do holu.

Zach stał przy drzwiach i wyglądał niesamowicie przystojnie w swoim smokingu. Rozmawiał z wujem Tedem, jedną rękę chowając w kieszeni spodni, a w drugiej trzymając przezroczyste plastikowe pudełko, w którym był kwiat do przypięcia do mojej sukni. Słyszając Alice - która skradała się za mną, a teraz zaczęła chichotać - spojrzał w stronę schodów.

A mnie przeszły wszystkie wątpliwości co do własnego wyglądu. Bo cokolwiek Zach właśnie mówił do wuja Teda, wyglądało na to, że na śmierć o tym zapomniał, i spojrzeniem, którego najwyraźniej nie był w stanie ode mnie oderwać, podążał za mną, aż zeszedłam na sam dół. Kiedy wreszcie stanęłam u stóp schodów, Zach nadal ani drgnął. A przynajmniej stał tak, dopóki wujek Ted, nadal trzymający klamkę drzwi, nie zawołał:

- Łau, Maggie! Znakomicie wyglądasz!

Wtedy Zach jakoś zdołał dojść do siebie. Wymamrotał.

- Tak... Tak... wyglądasz naprawdę... Naprawdę...

Stanęłam, czując nagle, że żołądek mi się z całej siły zacisnął - bo co on chciał powiedzieć? Przecież na pewno nie, że wyglądam świetnie, ani nic. Przyjaciele nie mówią sobie nawzajem takich rzeczy...

- Wygląda przepięknie! - Ciocia Evelyn dokończyła zdanie za niego, wyciągając ręce, żeby mnie uściskać. A Zach, jak zauważyłam, wcale nie rzucił się, żeby ją poprawiać. - Och, Maggie, szkoda, że nie wiem, gdzie posiałam ten aparat. Twoja matka mnie zabije!

- Nie ma sprawy, ciociu - powiedziałam, przewracając oczami w stronę Zacha ponad ramieniem obejmującej mnie cioci. Wreszcie mu się udało uśmiechnąć do mnie. - Jestem pewna, że mama jakoś się z tym pogodzi.

- Ale ja się nie pogodzę. - Puściła mnie i popatrzyła na Zacha i na mnie ze łzami w oczach. - Och, we dwoje wyglądacie tak... tak...

- Mamo - odezwała się ze schodów Tory ostrzegawczym tonem. - Tylko się nie rozplacz. Bo wtedy ja też zacznę płakać i cały makijaż na nic.

Wszyscy podnieśliśmy oczy na Tory, schodzące po schodach zjawisko w bieli (ale przecież wszyscy podobno noszą na bal czerní?). Suknia Tory, według jej standardów wręcz skromniutka, wyglądała jak piana śnieżnobiałego tiulu i miała atlasowy gors. Włożyła do tego sięgające za łokieć białe rękawiczki. Jeśli ktoś tu wyglądał jak księżniczka, to właśnie Tory. Pomyślałam, że w porównaniu z nią, wyglądam w gruncie rzeczy... No cóż, wulgarnie.

- Tory! - zawołała jej matka. - Jesteś oszałamiająca! Och, gdzie jest ten aparat?

- Proszę, mamó, weź mój - zaoferowała Tory, wyjmując ze swojej dość sporej, jak na balową, torebki mały cyfrowy aparat.

Super. Po tych wszystkich trudach, jakie sobie zadałam, mama i tak dostanie swoje zdjęcie. Na którym ja będę wyglądała tak, jak zwykle wyglądała Tory, a Tory tak, jak... No cóż, jak wyglądałabym ja, gdybym nie straciła głowy przez sukienkę, którą mi podsunęła.

Ale przecież powiedziała, że wszyscy noszą się na czarno. Więc dlaczego ubrała się na biało?

Wytrwaliśmy jakoś rundę robienia zdjęć, a potem krępujący moment, kiedy Zach przypinał mi do sukni kwiat, który dla mnie kupił - pojedynczą, czerwoną jak krew różę - co wymagało zrobienia kolejnych zdjęć (i było szczególnie żenujące, bo przy tej sukni nie było za wiele miejsca do przypinania, po prostu cienki pasek ramiączka. Ciotka musiała wtrącić się z pomocą - i dobrze, bo zaczynałam się bać, że zaraz tam padnę, kiedy Zach stał tak blisko mnie, że widziałam małe skrawki skóry tuż poniżej jego ucha, gdzie się zapomniał ogolić... To znaczy, zdecydowanie za blisko, żeby się czuła swobodnie).

Wreszcie, kiedy już dochodziło wpół do ósmej, pozwolili nam wyjść, a my wsiedliśmy do czekającej limuzyny i zbiorowo odetchnęliśmy z ulgą.

- Jeśli kiedyś zrobię się taka sama, zastrzelcie mnie - odezwała się Tory ze środka obłoku puchatej bieli, jaki stanowiła spódnica jej sukni na tle ciemnej skóry siedzenia, mając na myśli swoich rodziców.

- Moim zdaniem to było słodkie - powiedziałam. - Żenujące, ale słodkie.

Próbowałam nie pokazywać po sobie, jakie wrażenie robi na mnie jazda limuzyną. Oczywiście, nigdy jeszcze taką nie jechałam. Zobaczyłam, że w oświetlonym barku, z boku, stoi prawdziwa karafka whisky, a na haku pod sufitem podwieszony jest płaskoekranowy telewizor.

Ale nie bawiłam się żadnymi przyciskami, ani nic, żeby się nie wydało, że to nie jest coś, co robię codziennie. To znaczy, że nie jeżdżę limuzyną.

A potem byliśmy już na miejscu. Ponieważ w Liceum Chapmana nie ma sali gimnastycznej, na doroczny wiosenny bal trzeba wynajmować salę balową w jakimś hotelu. W tym roku wybór padł na Waldorf - Astoria, wielki, elegancki hotel przy Park Avenue. Kiedy nasza limuzyna przed nim stanęła, odzwierny w czerwono - złotej liberii otworzył nam drzwi limuzyny. Tory wysiadła najpierw, potem ja, a na końcu Zach.

Ale Tory na nas nie czekała. Kiedy wysiedliśmy z limuzyny, już wchodziła przez wielkie, złożone, obrotowe drzwi.

- Okej - mruknął Zach. - Komuś się śpieszy do wazy z ponczem.

- Wiem - powiedziałam z niepokojem. - Mam nadzieję, że nie zrobi awantury, kiedy się zorientuje, że poncz jest z cukrem.

A potem, zerkając na mnie, kiedy wchodziliśmy po tych wyłożonych dywanem schodach w stronę drzwi hotelu, Zach zapytał:

- Hej, czy ja ci już mówiłem, jak świetnie wyglądasz w tej sukience?

- Nie - odparłam, rumieniąc się aż po linię włosów i desperacko modląc, żeby tego nie zauważył. - Nie mówiłeś.

- No cóż, wyglądasz niesamowicie.

- Dziękuję - szepnęłam. Co się tutaj działo? Zach prawie... No cóż, prawie ze mną flirtował. - Sam też nie wyglądasz źle.

- No tak - powiedział Zach z komicznie desperackim westchnieniem. - Robię, co się da.

A potem przeszliśmy przez obrotowe drzwi i znaleźliśmy się wewnątrz wielkiego holu o wysokim sklepieniu.

- O mój Boże, Maggie! - Chanelle wyrosła nagle u mojego boku, ciągnąc za sobą niezwykle przytomnie wyglądającego Roberta. - Jesteś po prostu zjawiskowa! I ta sukienka jest rewelacyjna. O, cześć Zach. No dobra, ale tej Tory co odbiło? - spytała Chanelle i nawet nie czekała na odpowiedź. - Minęła nas pędem, niczym białe tornado. I czy ty się przyjrzałeś tej kiecce? Co ona sobie wyobraża? Że jest jakąś cholerną księżną Dianą?

- Uhm... - odezwałam się. - Myślałam, że mówiłaś, że wszyscy na wiosenny bal ubierają się na czarno.

- Bo tak jest - stwierdziła Chanelle, wskazując na własną czarną koktajlową suknię, którą prawdopodobnie kupiła za równowartość mojej rocznej tygodniówki.

Robert spojrzał na Zacha i zagaił:

- Stary, ziele jakiegoś przy sobie nie masz?

- Nie - odparł Zach. - I tutaj chyba nie wolno palić.

- Wiem - mruknął Robert. - Tak pytałem. No wiesz. Na zaś.

- Słuchajcie, musicie zobaczyć salę balową - nawijała Chanelle, prowadząc nas w stronę podwójnych drzwi, przed którymi stała tablica z wykaligrafowanym napisem: WIOSENNY BAL LICEUM CHAPMANA. - Wystrój jest taki kiczowaty. Nie wiem, co ten komitet balowy sobie ubzdurał. Na przykład, zaczekajcie tylko aż...

Ale Chanelle nie zdążyła nam wyjaśnić, co takiego kiczowatego a związanego z wystrojem sali ubzdurał sobie komitet organizacyjny wiosennego balu Liceum Chapmana. Bo w tym samym momencie podbiegła do nas Tory, ciągnąc za sobą jakiegoś wysokiego,

jasnowłosego faceta w smokingu.

- Dzień dobry wszystkim - zaczęła, uśmiechnięta od ucha do ucha. - Chcę wam przedstawić nowego mężczyznę swojego życia. Nic wam wcześniej nie mówiłam, bo chciałam, żeby to była niespodzianka. Oto mój partner. Ach, w sumie, Mago, ty już go chyba znasz.

A ja, zaskoczona, podniosłam wzrok na twarz chłopaka, który stał obok niej.

I o mało nie zemdlalam.

Przygotowuję dla ciebie, Mago, bardzo szczególne podziękowanie.

To były słowa Tory. Byłam idiotką, że nie zauważyłam, na co się zanosi. Byłam idiotką, że w ogóle pomyślałam, że ona nie mówiła tego serio.

- W głowie mi się to nie mieści - wymruczałam w głąb papierowej torby. - Zwyczajnie w głowie się nie mieści.

- Ciii... Po prostu oddychaj - poradziła mi Chanelle.

- W głowie mi się nie mieści, że kłamała - powiedziałam, unosząc głowę znad torebki.  
- Przez cały czas. Nic się nie zmieniła. Groziła, że szykuje dla mnie bardzo szczególne podziękowanie. No i przyszykowała.

- Jeśli nie będziesz oddychać do tej torebki - upomniała mnie Chanelle - to nie przestaniesz hiperwentylować.

Zajęłam się oddychaniem do torebki.

To było okropne. To było straszne. To była najgorsza rzecz, jaka mnie spotkała w całym moim życiu.

No a wiecie, biorąc pod uwagę, jakiego do tej pory miałam pecha, takie stwierdzenie jest bardzo znaczące.

Widząc, że oddech mi się uspokaja, Chanelle (która zatroszczyła się o mnie szczerze i serdecznie... To ona przecież z miejsca zaprowadziła mnie do damskiej łazienki) przestała sprawdzać swoje odbicie w połączanym lustrze nad umywalkami i spytała:

- Już lepiej?

Pokiwałam głową i papierową torebką.

- Dobra - powiedziała. - No to teraz mów mi, kim jest ten facet.

Opuściłam torebkę i ze zdziwieniem przekonałam się, że znów mogę oddychać prawie zupełnie normalnie. A wszystko dzięki niziutkiej pani w toalecie, która dysponowała papierowymi torebkami, a teraz, w swoim czarno - białym uniformie siedziała na foteliku i spoglądała na mnie z macierzyńską troską.

- Na imię ma Dylan - jęknęłam. - W domu był moim... moim przyjacielem. - Nie mogłam powiedzieć jej prawdy. Nie mogłam. To było po prostu zbyt straszne.

Chanelle uniosła jedną brew.

- Tylko tyle? To czego tak się przestraszyłaś?

- Ja po prostu... No, zdziwiłam się, że go tutaj widzę - wybąkałam. Serce przestało mi już tak dziko walić, ale nadal byłam niespokojna. Co on tu robi? Jak on się tu w ogóle dostał?

Ale znałam odpowiedź na oba pytania. Znałam ją aż za dobrze.

„Przygotuję dla ciebie, Mago, bardzo szczególne podziękowanie” - dźwięczała mi w głowie groźba Tory.

A kiedy, sekundę później, weszła do łazienki z wielce skruszoną miną, z najwyższym trudem powstrzymałam się, żeby nie wybiec z damskiej łazienki hotelu Waldorf - Astoria z dzikim krzykiem.

- Och, Mago, tutaj jesteś. - Tory stanęła na środku, olśniewająca w swojej niesamowitej, białej sukni. Była zaniepokojona. Istne wcielenie siostrzanej troski. - Wszyscy się tam o ciebie martwią, bo tak wybiegłaś z holu. Wszystko w porządku?

- W porządku - przytaknęła Chanelle, poklepując mnie po ramieniu. - To tylko lekki szok.

- Wiem. Powinam ci była powiedzieć o Dylanie - stwierdziła Tory z uśmiechem w stronę niziutkiej pani, która wstała, a teraz porządkowała rząddek butelek lakieru do włosów, spinek do upinania koków, tamponów i innych rzeczy, i udawała, że wcale nie podsłuchuje naszej rozmowy. - Ale pomyślałam sobie, że to będzie przyjemna niespodzianka. Zwłaszcza że przecież byliście ze sobą tak... blisko.

- Och - wymamrotałam, czując, że papierowa torebka zaraz znów mi będzie potrzebna, bo coś strasznie zaczęło mi się przewracać w żołądku. - No i faktycznie, zaskoczyłaś mnie.

- Mam nadzieję, że to była przyjemna niespodzianka - zaćwierkała Tory. Promienny uśmiech ani na moment nie zniknął z jej idealnie podmalowanej twarzy. - Dylan naprawdę się cieszy, że mógł cię zobaczyć. Może wyjdiesz tam do nas i się z nim przywitasz? Świetnie dogadują się z Zachem.

- O, założę się, że tak - powiedziałam. Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że ona się zmieniła? Zach już mnie ostrzegał, a ja go nie słuchałam, bo tak bardzo nie chciałam jej potraktować niesprawiedliwie.

A prawdę mówiąc, nie mogłam się bardziej pomylić.

- No chodźcie już, głuptasy - ponagliła nas Tory, przeglądając się w lustrze, poprawiając kok po raz ostatni i obracając się w stronę wyjścia. - Nie każmy chłopcom na siebie czekać.

Chanelle spojrzała na mnie.

- Naprawdę już nic ci nie jest, Mago?

- Och - stęknęłam, wstając z niejakim trudem. Może powinam cicho wezwać ochronę. Tak... chyba tak. Gdybym zdążyła powiedzieć ludziom z ochrony, że Dylan... że

Dylan co? Przecież nic nie zrobił. Został zaproszony, jako gość, przez jedną z uczennic Liceum Chapmana. Nawet gdyby ochrona zgodziła się go wyprosić, Dylan miał prawo protestować. Pewnie skończyłoby się na tym, że zrobiłby scenę. A gdyby on nie zrobił, na pewno zrobiłaby ją Tory. To by zepsuło imprezę... Nie tylko mnie, ale i Zachowi też. Usunięcie Dylana z hotelu przyciągnęłoby jeszcze większą uwagę do całej sprawy...

A, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, czy w ogóle jeszcze jest jakaś sprawa. Sporo czasu minęło odkąd widziałam go po raz ostatni. Może już mu przeszło. Może wszystko będzie dobrze...

Tak... I może Zach się kocha we mnie, a nie w Petrze. I jeszcze co?

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam na pytanie Chanelle. Bo nic innego - absolutnie nic innego - nie mogłam zrobić.

- Świetnie. - Tory poczęstowała mnie kolejnym uśmiechem miss piękności. - No to chodźmy.

Z żołądkiem tak ściśniętym, jakby ktoś mnie kopnął w dołek, wyszłam śladem Tory i Chanelle do hotelowego holu. Dokładnie tak, jak powiedziała Tory, Dylan i Zach zagadali się przy drzwiach do sali balowej, a Robert stał obok z taką miną, jakby chciał znaleźć się zupełnie gdzie indziej... Najchętniej w altanie ogrodu Gardinerów.

Nie dziwiłam mu się. Sama też wolałabym się tam znaleźć. Zach, który najwyraźniej obserwował drzwi do damskiej toalety, czekając na mnie, rozjaśnił się, kiedy zobaczył, że doszłam do siebie. Dylan, zauważając uśmiech Zacha, też się odwrócił i też się uśmiechnął.

- No, jesteś - odezwał się Dylan, kiedy podeszłyśmy. - Niepokoił się.

- O, to takie babskie sprawy - rzuciła wesoło Chanelle. - Już wszystko dobrze.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Dylan. Uśmiechał się do mnie, a te jego błękitne oczy, w których kiedyś - jak mi się wydawało - tak bardzo byłam zakochana, przepelniała troska... I zachwyty. Dobra. No cóż. Może jednak jeszcze nie wrócił do normy tak do końca. Ale to nie znaczy, że... - To teraz się przywitajmy jak trzeba. Strasznie dawno cię nie widziałem, Maggie. Naprawdę się cieszę.

A potem pochylił się, żeby mnie pocałować.

Ot, taki powitalny cmok w policzek. Zwyczajny, przyjacielski. Znaczący tylko: „Strasznie dawno cię nie widziałem”.

Ale ja i tak odruchowo cofnęłam się o krok, żeby go uniknąć.

Tak właśnie. Cofnęłam się. Z obrzydzenia uchyliłam się przed pocałunkiem totalnie seksownego faceta, w którym kiedyś byłam zakochana.

A przynajmniej wydawało mi się, że byłam zakochana.



- Też się cieszę, że cię widzę, Dylan - wypaliłam szybko, wyciągając do niego prawą rękę i ściskając jego dłoń. - Jak się masz?

- Hm - zamruczał Dylan, zerkając na nasze złączone dłonie, którymi potrząsnęłam w serdecznym uścisku. - Nieźle.

- To dobrze - powiedziałam. Za głośno. Inni ludzie, wchodzący do sali balowej w swoich odświętnych strojach, zaczęli zerkać w moją stronę z zaciekawieniem. - Bardzo dobrze. No cóż. - Puściłam jego rękę i złapałam Zacha za ramię. - Może lepiej tam wejdźmy. Zaczniemy imprezę, i tak dalej. To na razie.

I zaczęłam ciągnąć Zacha do sali balowej, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Zatrzymaliśmy się przy tablicy z rozkładem stołów, żeby sprawdzić, gdzie mamy miejsca.

- Powiesz mi wreszcie, o co tu, do diabła, chodzi? - domagał się wyjaśnień Zach z równie sztucznym jak mój, przyklejonym do twarzy uśmiechem, tyle że ten jego uśmiech był naprawdę uroczy.

- Nic takiego - powiedziałam, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Zupełnie nic. Wszystko w porządku. O, patrz. Stolik siódmy. Tam jest, przy oknie.

- Nic nie jest w porządku - warknął Zach, skinieniem głowy witając paru znajomych maturzystów, którzy minęli nas i rzucili:

„Cześć, Rosen”. - Nie jestem idiotą. To raczej niepokojące, kiedy zabierasz dziewczynę na bal, a ona na widok jakiegoś innego faceta zaczyna nagle hiperwentylować.

- Och - sapnęłam i darowałam sobie sztuczny uśmiech. - Zauważyłeś?

- Tak... - Zach też przestał udawać, że się uśmiecha. - Zauważyłem. Kto to jest, Maggie? Co się dzieje?

- To tylko... - Zgarbiłam się. Co było niebezpieczne, bo kiedy nie stałam prosto, te cieniutkie ramiączka sukni mogły mi się zsunąć i suknia by mi opadła, a to by była katastrofa, bo tylko one tę suknię na mnie podtrzymywały. - To tylko... On - dokończyłam bezradnie.

- On? Jaki on? - spytał Zach zirytowanym tonem.

- On - szepnęłam znacząco. - Ten facet. Facet, przed którym tu uciekłam.

- Zaraz. - Zach obejrzał się przez ramię na Tory i Dylana, którzy sprawdzali rozkład stołów, żeby zobaczyć, gdzie mają usiąść. - On? To jest ten facet? Ten, który cię molestował?

- Ciii - uciszyłam Zacha, bo dziewczyna przy sąsiednim stoliku podniosła czujnie wzrok, słysząc ostatnie słowo. - On nie... Mówiłam ci. Nie chodziło o molestowanie jako takie. No cóż, to znaczy, prześladował mnie, ale...

- Jest tu, tak? - spytał ostro Zach. - Ja bym to nazwał prześladowaniem.

- Jest tu, bo Tory go zaprosiła - wyjaśniłam.

- Po co, do diabła, miałyby to zrobić?

- Żeby się na mnie odegrać - westchnęłam.

Usiedliśmy na naszych miejscach przy stoliku numer 7.

Było tam sześć miejsc, z pięknym stołowym nakryciem składającym się z gdzieś trzydziestu srebrnych sztućców i ośmiu talerzy każdy. To było coś o wiele bardziej wyszukanego niż nasze szkolne imprezy w Hancock, gdzie kolację jadło się przed imprezą, a nie na imprezie, i z reguły w miejscowym barze Applebee. A potem zbieraliśmy się w sali gimnastycznej, gdzie był DJ i sprzęt grający, a nie prawdziwa orkiestra i kandelabry pod sufitem.

- Tory ściągnęła go aż stamtąd - podjął Zach - żeby się na tobie odegrać... Ale za co, tak właściwie? Za te sprawy z czarami? Za to, co zrobiłaś z jej prochami? Za Shawna? Czy... za mnie?

- Sam sobie wybierz - powiedziałam. - To może być któreś z wymienionych. Albo i wszystkie. Albo coś zupełnie innego. Umiesz nadążyć za Tory? A myśmy wszyscy sądzili, że tak się ostatnio poprawiła!

Poprawka. Wszyscy poza Zachem sądzili, że się ostatnio tak bardzo poprawiła.

- No ale o co chodzi z tym facetem? - dopytywał Zach. - Czy on jest niebezpieczny? Trzeba wezwać ochronę? Maggie... Chcesz stąd wyjść?

- Nie - odparłam, siadając na wyznaczonym mi miejscu. - Och, nie, Zach. Zupełnie nie o to chodzi. On po prostu... On po prostu naprawdę się we mnie zakochał, okej? A to uczucie było nieodwzajemnione. To znaczy, kiedyś było, ale potem już nie. Ale on... On mi nie chciał dać spokoju. Wydzwaniał do domu o najrozmaitszych porach dnia i nocy, i... I przychodził. Na przykład w środku nocy. Wreszcie tata musiał mu powiedzieć, że ma się ode mnie odzepić. Ale nawet wtedy pojawiał się wszędzie, gdziekolwiek poszłam. W kościele. W bibliotece. U ludzi, gdzie pracowałam jako opiekunka do dzieci. Po prostu... Jakoś tak wszędzie za mną łąził. I wreszcie zdecydowaliśmy, że powinnam na jakiś czas wyjechać. I przyjechałam tutaj.

Oczywiście, nie mogłam powiedzieć Zachowi całej prawdy. W żadnym razie. Że na początku zainteresowanie Dylana niesamowicie mi pochlebiało. Że podkochiwałam się w nim od pierwszej klasy, kiedy stanowił dla mnie taką romantyczną i nieosiągalną postać: przewodniczący klasy, kapitan drużyny futbolowej, od góry do dołu same szóstki, oblegany przez czirliderki i takie szare myszki z orkiestry szkolnej jak ja sama.

A kiedy, będąc w klasie maturalnej, wreszcie na mnie zwrócił uwagę, a potem zaprosił

mnie na randkę, czułam się, jakbym pana Boga za nogi złapała. Moje koleżanki aż nie chciały mi wierzyć, ja zresztą też sama nie wierzyłam - ja, Maga Honeychurch, która oprócz chronicznego pecha nie miałam kompletnie nic, zostałam zaproszona na randkę przez Dylana Petersona, najpopularniejszego chłopaka z Liceum Hancock.

Ale taka była prawda. Tak właśnie było. I jeszcze nie skończyliśmy pierwszej wspólnie jedzonej porcji lodów Blizzard w Dairy Queen, kiedy Dylan zapytał, czy zgodzę się zostać jego dziewczyną, a ja zgodziłam się, myśląc, że oto właśnie umarłam i trafiłam do nieba.

Niestety, rola dziewczyny Dylana okazała się o wiele bardziej skomplikowana, niż to sobie w ogóle mogłam wyobrazić. Oczekiwał, że będę obecna na każdym jego meczu... Nawet na tych, które kolidowały z koncertami mojej orkiestry. Jeśli się nie pojawiałam, obrażał się i mówił, że go wcale nie kocham. Co nie było prawdą.

Przynajmniej z początku.

A potem chciał, żebym była nie tylko na jego meczach. Chciał, żebym z nim była przez cały czas. Rano chciał mnie odwozić do szkoły, potem miałam jeść z nim lunch, potem po szkole patrzeć na jego trening, potem jeść z nim obiad u niego w domu, a potem odrabiać przy nim lekcje... Jestem pewna, że chciałby też, żebym zostawała na noc, gdyby jego - i moi - rodzice tolerowali takie rzeczy. Obrażał się, jeśli mówiłam, że chcę iść do kina z koleżankami albo zostać w domu i poćwiczyć grę na skrzypcach.

I aż za szybko to, co miało być spełnionym snem, zamieniło się w koszmar na jawie...

Aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że wszystkie resztki uczuć do niego ulotniły się, a ja nie mam ochoty w ogóle spędzać z nim czasu, a co dopiero każdą chwilę każdego dnia, tak jak on tego chciał.

Więc z nim zerwałam.

Próbowałam załatwić to delikatnie. Powiedziałam mu, że nie chodzi o niego, tylko o mnie. Powiedziałam mu, że czuję się jeszcze za młoda na tak intensywny związek i że jak dla mnie, to wszystko toczy się za szybko. Tłumaczyłam, że potrzebuję przestrzeni dla siebie i że muszę się teraz zająć szkołą i grą na skrzypcach. I w końcu, że chcę się widywać ze znajomymi, a w weekendy pracować jako opiekunka do dzieci, a nie tylko cały swój wolny czas spędzać z nim.

On powiedział, że absolutnie to wszystko rozumie i że jeśli mu tylko dam drugą szansę, to da mi tę przestrzeń, której potrzebuję.

Ale rzecz w tym, że ja wcale nie chciałam dawać mu drugiej szansy. Bo wtedy on mi się już zupełnie nie podobał.

Więc skłamałam, że to moi rodzice nie zgadzają się, żebym z nim dalej chodziła, bo jest dla mnie za stary i oni uważają, że to się wszystko za daleko posunęło. Hej, jestem córką pastora, trudno, żeby się zdziwił.

Ale źle zrobiłam, że to powiedziałam. Trzeba było od razu zacząć od: „Już cię nie kocham”.

Bo wtedy on uznał, że jesteśmy zupełnie jak jakaś para nieszczęśliwych kochanków, jak Romeo i Julia, i że moi rodzice uparli się, żeby nas rozdzielić siłą, i że gdyby nie oni, to moglibyśmy być razem. Wtedy zaczęły się te telefony, i pojawianie się pod naszym domem w środku nocy, i chodzenie za mną, gdziekolwiek się ruszyłam.

Wreszcie, pewnej nocy oświadczyłam mu - kiedy obudził mnie o czwartej nad ranem rzucaniem kamyków w moje okno i błagał, żebym zeszła na dół i z nim porozmawiała - że go nie kocham i że ma po prostu dać mi święty spokój.

Ale do tej pory on już tak zgłupiał, że mi nie uwierzył.

Więc wyjechałam z miasta. Nie wiedziałam, co innego zrobić. Nie chciałam, żeby to wszystko zamieniło się w coś w rodzaju scenariusza do Wiecznej miłości, gdzie facet próbował podpalić czyjś dom, czy coś (a przy moim pechu, dokładnie czymś takim by się skończyło).

To, że nie umiałam zwyczajnie się w jakimś facecie zakochać, tak, żeby on mnie też pokochał i stworzył ze mną fajny, zdrowy, normalny związek, było kolejnym dowodem, jak fatalnie ułożyły się gwiazdy tej nocy, kiedy przyszedłam na świat. No bo, może Lindsey sobie wyobraża, że to takie romantyczne, musieć uciekać na drugi koniec Stanów przed facetem, który się we mnie obsesyjnie zakochał.

Ale to nie mój ideał romantyzmu.

A teraz jeszcze miałam przyjemność dowiedzieć się, że nawet i to niezbyt dobrze mi się udało (to znaczy, uciec na drugi koniec Stanów). Bo właśnie pojawił się na balu wiosennym w mojej nowej szkole.

Fajnie. Bardzo fajnie.

Dlaczego ta Tory zwyczajnie mnie nie zastrzeliła? Miałaby kłopot z głową, a dla mnie byłoby to mniej bolesne. I żenujące.

- A więc, przez ten cały czas, kiedy myśleliśmy, że jej się tak bardzo poprawiło - powiedział Zach, siadając obok mnie przy stoliku numer 7 - Tory to sobie planowała.

- Pewnie tak - przyznałam. - I nie musisz mówić: „my”. Miałaś rację. Och, Zach, tak strasznie cię przepraszam.

- Ty mnie przepraszasz? - Zach strzepnął serwetką i rozłożył ją sobie na kolanach. - Za

co miałybyś mnie przepraszać? To nie twoja wina.

- Owszem, moja - obstawałam, czując, że żołądek boli mnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. - Wierz mi. To moja wina.

- Co, że jakiś facet dostał bzika z twojego powodu? Czy to, że z jakiegoś powodu twoja siostra cioteczna postanowiła się na tobie odegrać? Wierz mi, Maggie. Ani jedno, ani drugie nie jest twoją winą.

No ale on nie wiedział wszystkiego. A przynajmniej, jeszcze nie wtedy.

- No więc, co chcesz zrobić, Maggie? - spytał mnie. - Bo moim zdaniem być może najlepiej byłoby stąd wyjść.

- Och! - powiedziałam. - Nie, Zach. Nie z mojego powodu. Ani przez niego. Wszystko się ułoży. Naprawdę.

Musiało się ułożyć. Gorzej już przecież być nie mogło.

- O, hej! - Chanelle przystanęła obok stołu, trzymając małą karteczkę w kolorze kości słoniowej, którą zdjęła z tablicy z rozkładem miejsc. - Stolik siódmy?

- Stolik siódmy - potwierdził Zach, wskazując dekorację pośrodku stołu, z której wystawała siódemka. - Zapraszamy.

- Pysznie - rzuciła Chanelle. - Strasznie się cieszę, że nie trafiła mi się jakaś banda kretynów. Siadaj, Robert. - Robert usiadł obok Chanelle, która zajęła puste krzesło naprzeciwko Zacha. - Popatrzcie tylko na te srebrne sztuce. Po co nam te wszystkie widelce? O mój Boże, widelec do ryby? Nienawidzę ryb. Kto zdecydował, że na balu podadzą rybę? Wszystkim będzie śmierdzieć z ust.

I nagle, właśnie kiedy zaczynałam już myśleć, że może miałam rację i nic gorszego mnie już nie spotka, spotkało mnie coś gorszego.

- Cześć wszystkim.

Usłyszałam ten głos, ale nie podnosiłam głowy. Nie musiałam.

- Fajnie jest prawda? - Tory usiadła obok Zacha. Widziałam, że krzesło obok mnie odsuwa się od stołu i wiedziałam, że zajął je Dylan. - Wszystko tak ładnie wygląda. Komitet organizacyjny naprawdę się postarał, co?

- Podadzą rybę - prychnęła pogardliwie Chanelle, podnosząc swój widelec do ryb.

- Na pewno będzie pyszna - stwierdziła Tory, biorąc serwetkę i z wprawą ją rozkładając, po czym zakryła nią swój śnieżnobiały podolek. - Nie mogę się doczekać.

- Ja też - zawtórował jej Dylan. - To bije na głowę bale w Hancock, nie, Maggie?

Dźwięk jego głosu, który kiedyś przyprawiał mnie o przyjemne dreszcze, teraz sprawił, że poczułam się, jakby coś obrzydliwego łąziło mi po plecach. Aż tak bardzo już go

wcale nie kochałam. Zastanawiałam się, czy ja w ogóle byłam w nim kiedyś zakochana, jeśli mogę w ten sposób odbierać go teraz.

- Tak... - potwierdziłam głosem zupełnie pozbawionym entuzjazmu.

W głowie mi się to wszystko nie mieściło. To się w ogóle nie powinno było zdarzyć. Przecież nosiłam swój pentagram! A w wieczorowej torebce miałam malutką torebeczkę ziół - taką jak ta, którą pani ze sklepu dla czarownic dała mi dla Zacha. Powinna mnie przecież ochronić przed takimi rzeczami! I co z tym wiążącym zaklęciem rzuconym na Tory? Miała nie być w stanie już mi dalej szkodzić.

A potem zdałam sobie sprawę, że te wszystkie rzeczy - pentagram, amulet z ziół, zaklęcie związania - mogły mnie chronić wyłącznie przed magią. To, co Tory dziś zrobiła, z magią nie miało nic wspólnego.

Nie było w tym nic magicznego. Wystarczyło tylko umieć przeprowadzić małe śledztwo i mieć duży limit na karcie kredytowej.

- Chciałbym wnieść toast - odezwał się Dylan, unosząc swoją szklankę, kiedy tylko kelner podszedł i zaczął nalewać nam wodę z kryształowej karafki.

Byłam pewna, że za moment zwymiotuję.

- Za stare przyjaźnie - powiedział Dylan, patrząc wprost na mnie.

- Za stare przyjaźnie - powtórzyła Chanelle. - Ach, jakie to miłe. I za nowe też, prawda, Maggie?

Uniosłam swoją szklankę wody.

- Tak. - Zdziwiłam się, że udało mi się wydobyć z siebie to słowo.

Popatrzyłam na Zacha i zobaczyłam, że też na mnie patrzy. Uniósł brew. Jego mina wyraźnie mówiła: „Daj spokój. Nie jest tak źle”.

I miał rację. Nie było.

Ale się zrobiło.

- A więc, Tory - zagadnęła Chanelle, kiedy cała drużyna kelnerów zaczęła stawiać przed nami przystawkę... Sałatkę z mniszka z sosem vinaigrette. - Skąd znasz Dylana?

- Och, to w sumie taka zabawna historia - zaczęła brylować Tory, przełknąwszy kęs sałatki. - Wiedziałam, że Maga chodziła z facetem, który miał na imię Dylan, ale nie znałam jego nazwiska, ani nic. Więc zadzwoniłam do jej siostry, Courtney, która bardzo chętnie wszystko mi o nim opowiedziała.

Szlag mnie trafił. Pomyślałam, że kiedy wrócę do Hancock, pierwsza rzecz - zabiję Courtney.

To znaczy, o ile przeżyję ten wieczór.

- No więc zadzwoniłam do Dylana i pogadaliśmy sobie bardzo miło. - Tory przerwała, żeby rzucić Dylanowi olśniewający uśmiech... A Dylan, ku mojemu zdumieniu, też się uśmiechnął prawie tak, jakby... No cóż, prawie tak, jakby ona mu się podobała. - I pomyślałam sobie, jaką fajną niespodziankę mogłabym zrobić Maggie... która, chociaż pewnie wam o tym nie mówiła, bardzo tęskni za domem... jeśli go zaproszę na nasz bal i ściągnę tu samolotem. I tak zrobiłam. Niestety, samolot przyleciał tak późno, że nie zdążyłam najpierw zabrać go do domu. Ale moim zdaniem to nawet lepiej. Zgodzisz się, Mago?

- Och, tak... - powiedziałam, rozgrzebując sałatkę z mniszka na stojącym przede mną talerzu. W żaden sposób nie mogłam się zmusić do jedzenia. - Wyszło ci bezbłędnie.

- Pomyślałam, że chociaż tyle mogę zrobić - ciągnęła Tory tonem lekkiej rozmowy. - Ściągnąć tu Dylana, i tak dalej. Żeby pokazać Maggie, jak bardzo jej jestem wdzięczna za to wszystko, co dla mnie zrobiła, odkąd tu przyjechała. Na przykład, ukradła mi najlepszą przyjaciółkę. A, no i zakapowała Shawna. Ach, i jeszcze sprzątnęła mi sprzed nosa Zacha.

Chanelle upuściła widelec na podłogę. Wszyscy przy naszym stoliku - nie wyłączając Dylana - gapili się na Tory, zaszokowani.

Robert pierwszy przerwał milczenie.

- Mówiłaś, że nie zakapowałaś Shawna - zwrócił się do mnie oskarżycielskim tonem.

Oczy napęłniły mi się łzami. Myślałam, że już gorzej być nie może. Nie miałam pojęcia, że za moment zrobi się aż tak fatalnie.

- Nie zakapowałam go - zaprotestowałam. A potem to mnie uderzyło, jak grom z jasnego nieba. - Ale całkiem nieźle domyślam się, kto to zrobił - dodałam, patrząc na Tory zmrużonymi oczami.

- No jasne, Mago - roześmiała się Tory. - Miałabym zakapować własnego chłopaka...

- Twojego własnego chłopaka, który już wpłacił zaliczkę na limuzynę na dzisiejszy wieczór - powiedziałam. - I który mógłby się trochę zdenerwować, gdybyś zdecydowała się jednak iść na bal z kimś innym.

Robert przeniósł oskarżycielskie spojrzenie na Tory.

- Zakapowałaś Shawna, żeby móc dzisiaj przyjść tu z tym całym Dylanem?! - zawołał.

Tory jednak ani na moment nie przestała patrzeć na mnie.

- Jeszcze pożałujesz - syknęła - że się w ogóle urodziłaś.

- Dobra - odezwał się Zach, rzucając swoją serwetkę na stół i wstając. - Dość tego. Maggie, wychodzimy. Już.

- O mój Boże! - parsknęła Tory. Ale nadal patrzyła na mnie, nie na Zacha. - Teraz nawet i on je ci z ręki. Nie wystarczyło ci, że przekabaciłaś moją najlepszą przyjaciółkę i

moich własnych rodziców. Musiałaś jeszcze odebrać mi faceta, którego kocham.

Poczułam, że robię się czerwona jak dywan na posadzce sali. Tory wcale nie mówiła przyciszonym głosem. Wszyscy - przynajmniej z tych siedzących w pobliżu - gapili się teraz na stolik siódmy.

- Maggie nikogo ci nie ukradła, Tory. - Zach pochylił się i powiedział to do niej cichym, opanowanym głosem. - Może sobie teraz wyjdziemy na chwilę na zewnątrz, dobrze? Moim zdaniem potrzebujesz świeżego powietrza.

- Popatrz tylko na niego - wysapała do mnie Tory, złośliwie się uśmiechając do Zacha. - Jaki gotowy zrobić dla ciebie wszystko. Zupełnie jak nasz Dylan. Powinnaś była słyszeć, jak się ucieszył, kiedy zadzwoniłam i powiedziałam mu, gdzie jesteś. O mało nie wyskoczył ze skóry. Raczej nie przypuszczam, żeby któryś z tych dwóch zadał sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak właściwie do tego stopnia na twoim punkcie szaleją.

Dreszcz, jaki mi przeleciał po plecach, był z dziesięć razy gorszy niż ten, który poczułam, kiedy Dylan się do mnie odezwał. Wtedy byłam po prostu zniesmaczona. Teraz ogarnął mnie dziwny lęk.

Bo wiedziałam, co Tory zamierza zrobić. Wiedziałam to z taką pewnością, z jaką wiedziałam, że to ona wydała Shawna.

- Tory - zajęczałam zupełnie nieswoim, wysokim i pełnym lęku głosem. - Nie rób tego.

Ale było za późno. O wiele za późno.

Bo Tory już wyjmowała torbę - tę, która wcześniej wydała mi się o wiele za duża jak na dodatek do wieczorowej sukni - i sięgała do środka.

A chwilę później rzuciła na stół lalkę. Szmacianą lalkę, którą znałam aż za dobrze. I jestem pewna, że wszyscy siedzący przy stoliku siódmym też ją rozpoznali.

Bo była bardzo podobna do Dylana.



Lalka miała oczy Dylana.

Miała jego posturę - szerokie ramiona, długie nogi.

Miała nawet kurtkę szkolnej drużyny futbolowej, w kolorach Liceum Hancock, zielono - białą. Na piersi kurtki wyszyty był numer Dylana - dwunastka. Chociaż to akurat z osób siedzących przy stole wiedzieliśmy tylko ja i Dylan. Pomijając Tory, która się tego najwyraźniej domyśliła.

Lalka miała nawet włosy Dylana. Jego prawdziwe włosy, włosy, które zdobyłam z wielkim trudem, kiedy postanowiłam sprawić, że Dylan się we mnie zakocha. Musiałam mu wmówić, że pobieramy próbki włosów od wszystkich członków drużyny futbolowej, żeby je wszyć do patchworkowej kapy, która miała przynosić drużynie szczęście.

Patchworkowa kapa, na miłość boską!

A potem musiałam do tego wszystkiego zadbać, żeby ta kapa została uszyta, bo nie chciałam, żeby Dylan się dowiedział, że zależało mi wyłącznie na jego włosach.

Oczywiście, gdybym wiedziała, że zakłęcie podziała tak skutecznie - trochę za skutecznie, w sumie - nie zawracałabym sobie głowy szyciem kapy. Bo kiedy tylko skończyłam ostatni szew przy twarzy lalki, odezwał się telefon. To Dylan chciał mnie zaprosić na tę pierwszą, historyczną porcję lodów.

Wiedziałam to wszystko i miałam wrażenie, że Tory też wie. A przynajmniej, że wie o większości z tych rzeczy.

Ale nikt inny przy stoliku numer 7 nie wiedział. A zwłaszcza, nie wiedział Zach. Jeszcze miałam szansę. Jeszcze miałam...

- Czy ty się nigdy nie zastanawiałeś, Dylan - zapytała Tory słodkim głosikiem - jak to się stało, że tak szybko i tak mocno zakochałeś się w dziewczynie, z którą nic cię na dobrą sprawę nie łączyło?

Dylan nie mógł oderwać wzroku od lalki.

- Dwunastka. Przecież to mój numer w drużynie. Co to w ogóle jest? To mam być ja? Czy to moje włosy?!

- Tak - potwierdziła Tory. - Tak, Dylan. Ta lalka przedstawia ciebie. I zrobiła ją Maga, po to żebyś się w niej zakochał. Rozumiesz, kiedyś na głowie tej lalki były też włosy Maggie, żebyś nie mógł wybić sobie z głowy myśli o niej. No i podziałało. Nieprawdaz?

Dylan popatrzył na lalkę, na Tory, na mnie, i znów na lalkę.

- Co to ma być? - rzucił. - Jakieś voodoo?

- Nie, Dylan, nie - odparłam. Czułam, jak mój świat - który nie był, spójrzmy prawdzie w oczy, jakimś specjalnie pięknym światem, ale jednak jedynym, jaki znałam - wali się w gruzy. - To była taka zabawa. Rozumiesz, w szkole w jednej książce znalazłam takie zaklęcie, i... No cóż, nasza babcia zawsze nam opowiadała... że jedna z dziewczyn z tego pokolenia naszej rodziny okaże się potężną czarownicą - dokończyła Tory, informując cały stół. - Możecie tylko raz zgadywać, kto się okazał tą czarownicą.

Wszystkie spojrzenia osób przy stole siódmym skupiły się na mnie. I nie tylko przy stole siódmym. Stół szósty i ósmy też mi się dość intensywnie przyglądały.

- To była tylko taka zabawa - tłumaczyłam, śmiejąc się nerwowo. - Głupia zabawa. Przecież żadna rozsądna osoba nie uwierzy, że można zmusić kogoś do zakochania się tylko w ten sposób, że się uszyje lalkę, która wygląda jak ta osoba.

- Poważnie? - mruknęła Tory. - Ale w twoim przypadku to podziałało, Mago, prawda? Gwałtownie pokręciłam głową.

- Daj spokój - wymamrotałam. - Bądź rozsądna. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. To był zwykły zbieg okoliczności, Dylan. To znaczy, zrobiłam tę lalkę, i tak się złożyło, że mnie zaprosiłeś na randkę. To znaczy, pewnie w ogóle zwróciłeś na mnie uwagę tylko dlatego, że wymyśliłam historię o tym, że potrzebne mi są twoje włosy do tej głupiej kapy...

Dylan miał skonsternowaną minę.

- Wymyśliłaś historię o tej kapie? O tej kapie, która miała nam przynosić szczęście? Ale ja ją widziałem. I wszyscy inni faceci z drużyny też dali po kosmyku włosów...

- Pewnie sama bym uwierzyła, że to zbieg okoliczności - powiedziała Tory z namysłem - gdyby to się zdarzyło tylko raz.

Oderwałam spojrzenie od Dylana i popatrzyłam na rękę Tory, znów zanurzając się w torbie.

O nie. Och, na miłość boską, nie...

- Ale potem zrobiłaś to jeszcze raz - kontynuowała bez kłótni Tory. - Nieprawdaż, Mago?

I na stół, obok lalki Dylana, rzuciła lalkę Zacha. Powinna była się domyślić. To znaczy, że skoro znalazła jedną, znalazła też i drugą. Tę pierwszą - lalkę Dylana - schowałam już pierwszego dnia po przyjeździe do Nowego Jorku w miejscu, które wydało mi się idealną kryjówką. Lalkę przywiozłam tu ze sobą, bo nie chciałam, żeby któraś z moich młodszych sióstr znalazła ją w moim pokoju w domu. A nie wyrzuciłam jej z tego samego powodu, dla którego wyłowiałam lalkę zrobioną przez Tory ze śmietnika... Nie mogłam pozwolić, żeby

gniła na jakimś wysypisku śmieci. Przedstawiała przecież kogoś, kogo kiedyś kochałam.

Więc schowałam lalkę Dylana tam, gdzie moim zdaniem nikt nawet nie wpadłby na pomysł, żeby jej szukać. A kilka tygodni później dołączyłam do niej lalkę Zacha.

Szkoda, że nie zorientowałam się, że Tory cały czas mnie szpiegowała. A może ona też chowała różne rzeczy w przewodzie kominowym nieczynnego kominka w moim pokoju?

Zach, wpatrując się w lalkę rzuconą właśnie przez Tory na stół, zapytał głosem, który brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka:

- I to mam być ja?

- Zach... - powiedziałaam czując, że coś mnie dławi w gardle. - Ja tej lalki nie zrobiłam. Przysięgam na Boga. Uszyłam lalkę Dylana. Ale to było dawno temu, a ja wtedy z miejsca zrozumiałam, jaki popełniłam okropny błąd...

- Zaraz. - Chanelle uniosła wzrok znad obu lalek i spojrzała mi w twarz. - A więc jesteś jednak czarownicą?

Z trudem przełknęłam ślinę. Jak to możliwe, że do tego doszło? To znaczy, ja rozumiem, że chodzi o mnie, a osobie takiej jak ja podobne rzeczy ciągle się zdarzają. Ale nie coś aż tak okropnego. Mój pech do tej pory jeszcze nie był aż tak dotkliwy.

- Interesowałam się wikkaniem - przyznałam. Co miałam zrobić?

„Pogódź się z tym, czego się boisz”.

Tak wtedy powiedziała Lisa. A ja z całą pewnością lękałam się przyznać komukolwiek, co zrobiłam. Może, jeśli teraz wyznam całą prawdę, sprawy zaczną się układać lepiej.

- Myślałam, że to co robię, to biała magia. Nie zdawałam sobie sprawy, że biała magia nie zajmuje się zmuszaniem ludzi, żeby robili cokolwiek wbrew własnej woli, albo manipulowaniem ich uczuciami. Dylan, nie wiedziałam tego, kiedy robiłam tę twoją lalkę i jest mi naprawdę strasznie przykro. Kiedy tylko zrozumiałam, co zrobiłam, próbowałam zdjąć zaklęcie, usuwając z głowy lalki moje własne włosy. Ale... To chyba nic nie dało.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Robert oderwał wzrok od lalek i wtrącił:

- Ludzie. Skóra mi od tego cierpnie. Ona naprawdę jest czarownicą, czy co?

- Jest czarownicą - oświadczyła stanowczo Tory. - Pomyślałam sobie, że wszyscy powinniście o tym wiedzieć. Najpierw sprawiła, że biedny Dylan zakochał się w niej do szaleństwa. A potem, zdaje się, uznała, że nie wystarczy jej, że jeden facet dostał na jej punkcie kompletnego bzika, więc przyjechała do Nowego Jorku, gdzie z miejsca upatrzyła sobie naszego biednego Zacha...

- Nie zrobiłam lalki Zacha! - krzyknęłam, podrywając się na nogi. - Tory ją uszyła!

Pokazała mi ją pierwszego wieczoru po moim przyjeździe do Nowego Jorku. Uważała, że to ona jest czarownicą, o której zawsze opowiadała nasza babcia, i zrobiła tę lalkę, i próbowała mnie namówić, żebym dołączyła do jej kowenu. A kiedy powiedziałam, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego, bo na własnej skórze przekonałam się, co się może stać, kiedy się głupio eksperymentuje z magią, wściekła się na mnie.

Oddychając z trudem, rozejrzałam się wokół stolika, spojrzałam na osłupiałe twarze Dylana i moich przyjaciół. Wyglądało na to, że nikt z nich mi nie wierzył. Nawet Zach unikał mojego wzroku.

- Zach - zwróciłam się do niego. Bo ze wszystkich, na jego opinii zależało mi najbardziej. - Musisz mi uwierzyć. No bo, spójrz tylko na tę lalkę. - Uniosłam lalkę Zacha w górę. - Przecież to w niczym nie przypomina lalki, którą zrobiłam sama. No bo... no... Przecież zwykła mała uszyłaby lepszą lalkę niż ta.

- Moim zdaniem - powiedziała Tory cicho, kiedy Zach nie zareagował od razu - lepiej będzie, Mago, jeśli sobie stąd pójdziesz. Nikt cię tu nie chce.

Spojrzałam wtedy na nią. To znaczy, przyjrzałam się jej uważnie.

I zrozumiałam, jak niesamowicie przebiegle, w najdrobniejszych szczegółach, zrealizowała ten swój plan. W tej białej sukni i z subtelnym makijażem to ona wyglądała jak jakaś córka pastora - jak ktoś, kto z natury rzeczy mówiłby prawdę. Podczas gdy ja, w obcisłej czarnej sukni, którą mi wcisnęła, i z tymi moimi nieujarzmionymi rudymi włosami wyglądałam dokładnie tak, jak ona to sobie założyła... Jak praktykująca czarownica, która postanowiła sobie zdobyć serce najbardziej popularnego chłopaka nie i w jednej, ale w obu szkołach, do których w tym roku chodziła.

Musiałam jej to przyznać. Udało jej się i to pewnie nawet lepiej, niż to sobie wymyśliła.

Ale ona jeszcze nie skończyła. Ostateczny cios miał dopiero nadejść.

- Moim zdaniem - odezwała się Tory, zniżając głos, jakby to była taka zwyczajna rozmowa „między nami dziewczynami”

- chociaż, oczywiście, teraz słuchała nas już cała sala... i nawet kelnerzy, którzy zaczęli właśnie roznosić rybne pierwsze danie - powinnaś nauczyć się czegoś na przykładzie naszej praprapra - prababki Branwen, Mago. Bo wiesz, spalono ją na stosie za czary. Nie chcielibyśmy przecież, żeby coś podobnego spotkało teraz ciebie, prawda?

W głowie mi się nie mieściło, że ona mi teraz rzuca w twarz to, co ja sama powiedziałam jej o Branwen. W głowie mi się nie mieściło, że wywlekła na światło dzienne straszliwą śmierć Branwen tylko po to, żebym źle wypadła w oczach Zacha.

Ale nie powinnam się była dziwić. No bo, skoro kłamała w sprawie tej lalki, mogła się przecież posunąć do wszystkiego.

- Świetnie - wyjąkałam drżącym głosem. - Po prostu świetnie, Tory. Wygrałaś. Bo, wiesz co? Ja... Mnie już przestało zależeć.

I odwróciłam się.

I przy tych wszystkich ludziach, których spojrzenia świdrowały moje plecy, wyszłam z sali balowej z nadzieją, że starczy mi sił na tyle, żeby wydostać się stamtąd, zanim się rozpłaczę.

Wydawało mi się, że jakiś chłopak woła za mną po imieniu, ale czy to był Dylan czy Zach, nie umiałabym powiedzieć.

Wiedziałam tylko, że ktokolwiek to był, ja nie jestem w stanie z nim rozmawiać. Nie mogłabym spojrzeć mu w twarz i nie wybuchnąć przy tym płaczem.

Wyszłam przez obrotowe drzwi na Park Avenue. Tam, ku mojej uldze, odźwierny zapytał:

- Potrzebna taksówka, panienko?

Pokiwałam głową, a on skinieniem ręki zatrzymał dla mnie taksówkę. Wsiadłam na tylne siedzenie, zadowolona, że wzięłam ze sobą tyle gotówki, żeby w razie potrzeby starczyło na kurs do domu... Lekcja, którą moja matka pastor wbijała mi do głowy od wczesnego dzieciństwa.

- Dokąd jedziemy? - zagadnął taksówkarz.

Chciałam powiedzieć, że na lotnisko. Chciałam powiedzieć, że na Penn Station albo Grand Central, albo w jakiegokolwiek inne miejsce, skąd mogę złapać samolot albo pociąg i wrócić z Nowego Jorku do Iowy.

Ale aż tylu pieniędzy przy sobie nie miałam.

Więc rzuciłam tylko:

- Wschodnia Sześćdziesiąta Dziewiąta 326, poproszę.

A taksówkarz pokiwał głową, włączył taksometr i zawiózł mnie do domu.

Rozpłakałam się dopiero w swoim pokoju. Na szczęście w holu ani na schodach na nikogo się nie natknęłam. Alice już spała, Teddy nocował u kolegi, a Petra i Willem, którzy zajmowali się dziećmi, kiedy ciocia Evelyn i wujek Ted poszli na jedną z imprez, na jakie ciągle ich gdzieś zapraszają, teraz siedzieli w salonie i oglądali film. Nikt nie słyszał, jak wchodziłam.

I nikt nie słyszał, jak płaczę, kiedy już zrzuciłam z siebie odświętny strój i wlałam do wielkiej, marmurowej wanny. Płakałam tak długo, aż oczy mi poczerwieniały i nie mogłam

już z nich wycisnąć ani jednej łzy. Przez cały czas puszczałam wodę, tak na wszelki wypadek, żeby Petra, jeśli zajrzy do Alice, nie usłyszała, że płaczę.

Jak mogło do tego dojść? Zostałam upokorzona przy całej szkole - wyszłam na jeszcze większe dziwadło niż to, za które już mnie mieli. Nie przejmowałam się tak bardzo tym, co o mnie sobie pomyśli Robert, czy nawet Chanelle. Ale Zach! Jak ona mogła mi to zrobić przy Zachu! To znaczy, ja wiem, że on jej się podoba, ja wiem, że złościło ją, że moje zaklęcie podziałało na Dylana, a jej zaklęcie na Zacha nie.

Ale czy musiała zrobić to wszystko przy Zachu?

I wtedy, łzy, które już mi z powrotem napływały do oczu, nagle wyschły.

Bo przyszła mi do głowy nowa myśl, taka, której wcześniej nie brałam pod uwagę.

Czy to właśnie o to chodziło? Nie tyle o chłopaka, co o fakt, że moje zaklęcie podziałało, a jej nie? Czy Tory naprawdę była o mnie zazdrosna dlatego, że wiedziała, że to ja jestem tą czarownicą, której nadejście zapowiadała Branwen? Była zazdrosna, bo uważała, że to powinna być ona sama?

„Bo ja się nie boję korzystać z jej daru, w przeciwieństwie do ciebie”. Coś takiego powiedziała mi Tory.

Wydało mi się, że to strasznie głupie. No bo, jakie to w ogóle miało znaczenie? Moje moce, jakiegokolwiek by były, sprowadziły na mnie wyłącznie nieszczęście i sercową zgryzotę. Jasne, ochroniłam Zacha przed tym kurierem na rowerze, sama przy tym doznając uszczerbku. Ale to nie była magia. Ja po prostu znalazłam się w złym miejscu we właściwym czasie.

A to, że w szpitalu doszło do awarii prądu w noc, kiedy się urodziłam... To była zwykła burza.

A że Willem wygrał bilet na podróż i mógł się zobaczyć z Petrą? To był zwyczajny szczęśliwy traf. Nie miał nic wspólnego z wiążącym zaklęciem, jakie rzuciłam na Tory, ani ochronnym, którym otoczyłam Petrę.

A Dylan... Biedny Dylan. On po prostu nabrał ochoty, żeby się w kimś zakochać, a ja się napatoczyłam, totalnie w nim zabujana... Oczywiście, że zakochał się we mnie.

Nic z tego nie stanowiło dowodu, że mam w sobie zadatki na czarownicę.

Pomijając, że tak to właśnie widziała Tory, która prawdopodobnie przechwalała się przed swoim kowenem tym czarodziejskim dziedzictwem i własnym przeznaczeniem jedynej prawdziwej czarownicy w naszym pokoleniu.

A potem ja musiałam wejść jej w paradę i wszystko to jej zepsuć.

Przecież to całkiem dobrze wszystko tłumaczy. Naprawdę trudno się dziwić, że tak się

wkurzyła.

Ale jeśli rola rodzinnej czarownicy tyle dla niej znaczy, to może sobie ją przypisać. Cofnę to wiążące zaklęcie, i...

Boże, o czym ja w ogóle myślę? Coś takiego jak magia w ogóle nie istnieje!

Bo, gdyby istniało, to wszystko to, co się dziś wieczorem stało, nie mogłoby, nie miałoby prawa się zdarzyć. Mój naszyjnik - ten głupi pentagram, który mi dała sprzedawczyni ze sklepu dla czarownic - ochroniłby mnie.

Ale nie ochronił. Nie ochronił, bo to wszystko jedna wielka ścierna. Nie istnieje żadna magia. Tak samo, jak nie istnieje traf. A przynajmniej szczęśliwy traf. Bo to coś, czego nigdy na swojej drodze nie napotkałam.

I tak się okropnie rozłościłam na to wszystko - tak miałam tego wszystkiego dość - że zerwałam pentagram i cisnęłam nim w drugi kąt łazienki. I próbowałam nawet nie patrzeć, gdzie wylądował, żeby mnie nie kusiło wrócić tu później i go podnieść. Niech go znajdzie Marta i pomyśli, że to jakiś śmieć.

Szkoda, że własnego życia nie można się tak łatwo pozbyć.

Chyba jakąś dobrą godzinę później - już leżałam w łóżku, w mojej najpaskudniejszej piżamie, różowej flanelowej w motylki - ktoś zapukał do moich drzwi.

- Maggie? - To był głos Petry.

- Proszę - powiedziałam. Petra była jedną z niewielu osób na świecie, których widok w tej chwili bym zniosła.

- Tak mi się wydawało, że słyszę, jak lejesz wodę do wanny - powiedziała, patrząc na mnie od drzwi zatroskanym wzrokiem.

- Wcześniej wróciłaś do domu, prawda?

- Tak - sapnęłam. - Jak się okazało, wcale nie było tak fajnie.

- Pokłóciliście się z Zachem? - spytała Petra łagodnie.

- Można to tak określić - odparłam.

- Tak myślałam. Bo on tu jest. Usiadłam w łóżku prosto jak struna.

- Tutaj? Teraz?

- Tak, jest na dole. Chciałby się z tobą zobaczyć.

Ha. Jasne, że chciałby. Żeby mi powiedzieć... co? Że jego zdaniem nie powinniśmy się już widywać? Że zdecydował się wrócić do strategii leseferyzmu - i że jedną z osób, wobec których tę strategię zamierza teraz stosować, jestem ja?

No cóż, nie miałam zamiaru dawać mu tej satysfakcji. Za nic tam na dół nie pójde. Nie bez makijażu, z włosami rozczochranymi i napuszonymi od pary wodnej, jak zawsze. Nie w

mojej piżamie w motylki. W taki sposób nie wolno wyglądać podczas zerwania. Nie żebyśmy mieli ze sobą zerwać, bo przecież nigdy ze sobą nie chodziliśmy. Tak czy inaczej, zerwać tę znajomość ze mną, jakkolwiek to nazwać, mógł jutro, kiedy będę miała usta pociągnięte błyszczkiem.

- Możesz mu powiedzieć, że już śpię? - zapytałam. Petra zmarszczyła brwi.

- Jasne, że mogę. Ale jesteś pewna, Maggie, że tego właśnie chcesz? Mam wrażenie, że on się bardzo o ciebie martwi. Powiedział... Powiedział, że dziś wieczorem coś się stało. Coś z Tory... ?

- Tak... - potwierdziłam. Na pewno wyglądał, jakby się martwił. Pewnie dlatego, że się niepokoił o to, jakie zakłęcie na niego rzucę, kiedy on rzuci mnie. To wszystko. - Tak, jestem pewna.

- No cóż - westchnęła Petra. - Dobrze. Chcesz z kimś o tym porozmawiać?

Czy ja chciałam z kimś o tym rozmawiać? Ja nie chciałam nawet o tym wszystkim myśleć, już nigdy przenigdy.

- Wiesz... - jęknęłam. - Naprawdę chciałabym teraz już iść spać, nie gniewaj się.

- Nie ma sprawy - Petra posłała mi swój ładny uśmiech.

- Ale pamiętaj, jeśli mnie będziesz potrzebowała, jestem tu. I nawet nie musisz się wstydić Willema. Jeśli będzie ci czegokolwiek potrzebna, od razu pukaj do drzwi suterenu. Dobrze?

- Dobrze - powiedziałam i udało mi się nawet uśmiechnąć.

- Dzięki. I dobranoc.

- Dobranoc, Maggie. - Petra zamknęła drzwi za sobą. Była taka miła. Wiedziałam, że będę za nią tęsknić po powrocie do domu.

Czyli, jak już zdecydowałam, jak tylko uda mi się załatwić bilet. Bo z całą pewnością w Nowym Jorku nie mogłam zostać ani sekundy dłużej. A już na pewno nie mogłam pójść znów w poniedziałek do szkoły. Z Zachem zobaczę się jutro, bo jestem mu winna przynajmniej tyle.

Ale potem wracam do Hancock, gdzie moje miejsce. Po Tory, poradzenie sobie z Dylanem będzie jak bułka z masłem.

Poza tym, dowiedziawszy się o tej lalce, może nieco ochłonie. Faceci nie lubią się dowiadywać, że ich okłamywano i manipulowano nimi. Zach stanowił tego wystarczający dowód. Może Dylan pójdzie za jego przykładem. Wtedy z tego wszystkiego wyniknie chociaż jedna dobra rzecz.

Powiedziałam Petrze, żeby powtórzyła Zachowi, że śpię, i po jej wyjściu zgasłam



światło, że niby naprawdę byłam senna.

Ale zupełnie nie mogłam spać. Leżałam bezsennie i wciąż na nowo przeżywałam w myślach scenę przy stoliku.

Nieważne, od której strony zaczynałam, nijak nie przychodziła mi do głowy ani jedna rzecz, którą mogłam powiedzieć i która sprawiłaby, żeby Zach mi uwierzył. Tory naprawdę świetnie kontrolowała sytuację tak, żeby potoczyła się zgodnie z jej wolą. Miałam nadzieję, że po tym wszystkim dostanie to, czego pragnie. Zacha. Magiczne moce Branwen. Święty spokój od Petry. Czegokolwiek sobie chciała. Trzeba przyznać, że niewiele osób wkłada aż tyle wysiłku, żeby zdobyć to, na czym im zależy.

A już na pewno nie w taki pokrętny sposób.

Nie wiem, o której zasnęłam. Wiem jednak, która była godzina, kiedy się obudziłam. Druga w nocy.

Wiem, bo otworzyłam oczy i zobaczyłam czerwone cyferki na wyświetlaczu elektronicznego budzika obok mojego łóżka.

A czemu się obudziłam? No cóż, to właśnie była dziwna sprawa.

Wcale nie dlatego, że nagle ogarnęło mnie poczucie, że teraz - nareszcie - wszystko zacznie się dobrze układać. Ani dlatego, że chociaż kładąc się spać, byłam zrozpaczona, obudziłam się ogarnięta spokojem, poczuciem, że nie ma na tym świecie nic - zupełnie nic - czego powinnam się bać. Chociaż i jedno, i drugie było prawdą.

Dlatego, że obok mojego łóżka ktoś stał i szeptał moje imię. - Maggie... - mówił ten głos. - Maggie...

To była dziewczyna w długiej białej sukni.

Ale wcale nie Tory wciąż ubrana w swoją balową kreację.

Bo ta dziewczyna uśmiechała się do mnie - bynajmniej nie wrednie, tylko tak, jakby naprawdę mnie lubiła. Poza tym miała długie, rude włosy.

I chociaż ja jej nigdy przedtem na oczy nie widziałam, znałam jej imię. Znałam je równie dobrze, jak swoje własne.

- Branwen? - powiedziałam, siadając na łóżku.

Niestety, w tej samej chwili, w której usiadłam, rozplynęła się w ciemności. Ta uśmiechnięta rudowłosa dziewczyna w długiej białej sukni znikła.

O ile w ogóle przedtem tam była.

Bo przecież to musiał być zwykły sen. Albo coś w rodzaju stanu między snem a jawą. Wydawało mi się tylko, że widzę swoją własną przodkinię, która stoi przy moim łóżku i wypowiada moje imię. Na pewno tak właśnie było. Bo ja nie wierzyłam w duchy, tak samo jak nie wierzyłam w magię.

A przynajmniej jeszcze nie wierzyłam.

Właśnie coś takiego sobie powtarzałam, kiedy poczułam coś na swojej szyi. Coś, czego tam nie było, kiedy się kładłam spać. Sięgając ręką, poczułam, że to naszyjnik z pentagramem, który dostałam od Lisy.

Ten, który, jak to sobie przez mgłę przypominałam, zdjęłam wcześniej z nadgarstka i cisnęłam w kąt łazienki, nawet nie sprawdzając, gdzie wylądował.

A jednak teraz wisiał na mojej szyi.

Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie. Czego? Nie niepokoju, bo nie byłam zaniepokojona. Przerazona też nie. Żołądek wcale mi nie dokuczał. Jakieś dziwne uczucie jednak mnie dopadło.

Wciąż byłam zaskakująco spokojna, jak w chwili przebudzenia, ale teraz jeszcze dołączyło do tego poczucie... szczęścia. Byłam szczęśliwa.

Co się działo? Dlaczego się nie bałam? Wisiorki nie wieszają się same człowiekowi na szyi. Ktoś musiał go znaleźć i na mojej szyi powiesić. Ale kto? Kto mógł wejść do mojego pokoju i zrobić coś takiego tak cicho i dyskretnie, że nawet mnie nie obudził? Petra?

A może jednak duch mojej praprapraprababki, opiekującej się mną w chwili potrzeby? Pokazującej mi, że dokładnie tak, jak to sama podejrzewałam, to ja jestem tą wnuczką, którą miała na myśli - tą, której przeznaczeniem było stać się wielką czarownicą. Ja, nie Tory.

Ja. Zawsze chodziło właśnie o mnie.

Musiałam tylko uwierzyć. Uwierzyć w nią.

I w siebie.

Nagle zupełnie przeszła mi ochota na sen. Skóra mnie mrowiła jak naelektryzowana. Wskoczyłam z łóżka i podeszłam do okna. Zza cieniutkich firanek snuło się stłumione, błękitne światło - same zasłony zapomniałam zasunąć. Założyłam, że to jakieś lampy z sąsiedztwa, z domów obok.

Ale kiedy odsunęłam firankę, zobaczyłam, że to promienie księżycyca w pełni, zwisającego ciężkim białym okręgiem na nocnym niebie, tak jasnego, że otaczała go cienka tęczowa poświata.

Księżyc, którego właśnie zacznie ubywać. Wiedziałam z lektury kupionej sobie książki o czarach, że to czas na rzucanie zaklęć wypędzania. Kiedy księżyc rośnie, czarownice tradycyjnie rzucają zaklęcia gwarantujące powodzenie i wzrost.

Ale w noc pełni... No cóż, praktycznie wszystko może się zdarzyć. Dlatego aż tak wielu ludzi trafia na szpitalny ostry dyżur, kiedy jest pełnia.

A przynajmniej tak mówili w Oстрыm dyżurze.

Jakie to dziwne, że akurat w tę noc przypadała pełnia.

A może właśnie dlatego Branwen zdołała wreszcie mi się ukazać? Przez ten księżyc... I dlatego, że jej potrzebowałam?

A potem usłyszałam jakiś dźwięk dobiegający z ogrodu. W sumie brzmiało to jak Muszka. Ale co Muszka robiłaby o tej porze na zewnątrz? Alice zawsze pamiętała, żeby po zmroku ją zawołać i zabrać do domu. Kotka spała u niej co noc. Kto mógł wypuścić Muszkę na dwór?

Wtedy zauważyłam coś dziwnego. W altanie paliło się światło.

Nie, to przecież niemożliwe. Musiałam sobie coś ubzdurać. Tak jak ubzdurałam sobie, że widzę Branwen. O ile faktycznie to sobie ubzdurałam...

Ale nie. Znow się pojawiło. Niejedno światło, ale wiele, zupełnie jakby...

.. Jakby ktoś tam na dole palił świece.

Coś mi się wydawało, że tym kimś okaże się Tory.

I nagle zrozumiałam, dlaczego Branwen ukazała mi się właśnie tej, a nie innej nocy. Wiedziałam nawet, po co odszukała mój wisiołek i zawiesiła mi go na szyi.

Bo już przyszedł czas. Przyszedł czas na konfrontację z moją siostrą cioteczną.

Nie zapalając światła - nie chciałam, żeby Tory zobaczyła, że wstałam, bo nie chciałam jej w ten sposób ostrzegać, że idę jej na spotkanie - zdjęłam piżamę i włożyłam dzinsy i sweter. Parę mokasynów niosłam w ręku, kiedy zamknęłam drzwi pokoju i ruszyłam na dół po schodach, żeby moje kroki nikogo nie obudziły. Kiedy doszłam do drzwi wychodzących na ogród, włożyłam buty i zesłam na dół po schodkach.

Promienie księżycyca dawały niebieskawe, ale mocne światło, przy którym wszystko widziałam.

Ja jednak nie potrzebowałam światła księżycyca, żeby dostrzec żółtawy poblask dochodzący zza matowych tafli szkła ścian altany. Ani trzech szczupłych postaci, które

rzucały cień.

To była Tory. Tory i jej kowen.

A ja nagle przypomniałam sobie o tych grzybach, które Tory chciała zebrać z pomocą Chanelle przy świetle rosnącego księżyca. Księżyca, który teraz osiągnął pełnię. Jutro zacznie go ubywać. Jeśli zamierzała do czegoś użyć tych grzybów, musiała to zrobić dzisiaj.

A do czego zamierzała ich użyć...? Znając Tory miałam przeczucie, że nie będzie to nic dobrego. Nie mogło jej jednak chodzić o mnie. Mnie przecież zniszczyła na balu, musiała to wiedzieć. Kto wie, dla kogo to zaklęcie było przeznaczone - Petry, Zacha - ale z pewnością nie dla mnie. Tory wiedziała, że mnie już ma z głowy.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy się tej nocy obudziłam, poczułam coś innego niż ten dziwny spokój. Ogarnął mnie gniew.

Nie za to, co ta wariatka zrobiła mnie - zasłużyłam sobie na to tym, co sama zrobiłam Dylanowi. Ale za to, że chociaż na balu zobaczyła na własne oczy, jakie są bezpośrednie skutki moich własnych prób manipulowania wolą innych ludzi, Tory nadal nie rozumiała, że absolutnie nie wolno tego robić.

No cóż, dosyć tego dobrego. Koniec! Trzeba ją jakoś powstrzymać. I postanowiłam to zrobić.

I wtedy szarpnęłam oszklone drzwi do altany, żeby jej to powiedzieć ...

.. .ale głos mi uwiązł w gardle, kiedy ujrzałam, co się dzieje w środku.

Były tam wszystkie trzy, Tory nadal w tej swojej dziewiczo białej sukni balowej. Gretchen i Lindsey, z drugiej strony, miały na sobie swoje zwykłe czarne ciuchy, i tak jak zawsze oczy mocno obwiedzione eyelinerem. Siedziały wokół czegoś, co wyglądało jak niewielki ołtarz, urządzony na szklanym blacie stolika pośrodku altany. Było tam mnóstwo zapalonych świec (oczywiście czarnych), a na środku tego stołu przerobionego na ołtarz stał pusty kielich.

A one nawet się na mój widok nie zdziwiły. No cóż, przynajmniej Tory.

- Proszę - rzuciła z niejaką satysfakcją. - Moje panie, mówiłam wam, że przyjdzie. Nieprawdaż?

W odpowiedzi Lindsey tylko zachichotała, jak to ona. Ale Gretchen rzuciła mi miążdżące spojrzenie i powiedziała:

- Nie rozumiem, Tor. Skąd wiedziałaś?

- Bo ona jest słaba - odparła Tory. I wtedy zauważyłam, co trzyma w rękach, pod szklanym blatem stołu. Muszkę, która się wyrывała i całkiem głośno przy tym miauczała.

Właśnie to miauczenie usłyszałam ze swojego pokoju.

I dlatego teraz Tory nagle puściła kotkę. Bo Muszka już spełniła zadanie, do którego Tory jej potrzebowała.

Zwabiła mnie tu do altany. Dokładnie tak, jak tego chciała Tory.

- Po co nam ona, jeśli jest słaba? - spytała głuchym tonem Gretchen.

- Mówiłam ci. Ona sama nie jest nam potrzebna - odparła Tory. - Tylko jej krew.

I dopiero wtedy dotarło do mnie, co się tam dzieje - i dlaczego one siedzą w krąg wokół pustego kielicha. I po co ja się tam znalazłam.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Poczułam też, że opuszcza mnie cała determinacja, wzbudzona przez Branwen. Obróciłam się na pięcie, żeby wyjść - ale nie zdążyłam. Udało mi się otworzyć drzwi - na tyle szeroko, że Muszka wybiegła na zewnątrz - ale Gretchen, która okazała się równie silna jak wysoka, złapała mnie i wciągnęła do środka, pchając mnie dość brutalnie na krzesło z kutego żelaza stojące przy stole naprzeciwko Tory.

- Zwiążcie jej ręce - przykazała Tory.

A Lindsey i Gretchen posłusznie wyjęły czarny atlasowy sznur - pewnie pasek od szlafroka któregoś ojca - i zaczęły nim wiązać - dość ściśle, chciałabym zaznaczyć - moje nadgarstki. W sumie związały mnie całkiem mocno.

- Dziewczyny... - próbowałam protestować. Tłumaczyłam sobie, że nie wolno mi panikować. To miał być pewnie tylko jakiś głupi rytuał. Pewnie zamierzały mnie zmusić, żebym dołączyła do tego ich głupiego kowenu i złożyła jakąś głupią przysięgę. Jakieś niewielkie puszczanie krwi, żeby nas złączyć jako „duchowe siostry”, czy coś. No ale mimo wszystko. - Chyba mi odcięłyście dopływ krwi do palców.

- Zamknij się - syknęła Tory.

- Dobra - mruknęłam. - Ale jeśli palce mi szernieją i zaczną odpadać...

- Powiedziałam, zamknij się!

Tory wstała ze swojego krzesła i mnie uderzyła. Mocno. Otwartą dłońią w twarz.

Można powiedzieć, że to był bardziej klaps niż cios. Ale zabołał. Przez jakąś minutę przed oczyma wirowały mi gwiazdy.

I wtedy do mnie dotarło, że to jednak wcale chyba nie są jakieś zwykłe otrzęsiny.

- Wszystko gotowe? - Tory zapytała swoje dwie pomocnice, a one pokiwały głowami. Gretchen patrzyła na to wszystko z przyjemnością. Tylko Lindsey, jak zauważyłam, wydała się zbита z tropu tym policzkiem. Przynajmniej z tego, co widziałam oczyma, które po uderzeniu napełniły mi się łzami bólu. Tory miała o wiele więcej fizycznej siły, niżbym ją kiedykolwiek posądzała. To uderzenie naprawdę poczułam. - Dobrze - powiedziała Tory i wróciła na swoje krzesło. - Dzisiaj, pod tym pełnym księżycem, w czas nowych początków,

zamierzam naprawić błąd - zaczęła. - Sto pięćdziesiąt lat temu, jedna z najpotężniejszych czarownic wszech czasów; Branwen, która urodziła się z darem magii, przepowiedziała, że jej potomkini odziedziczy po niej wielką siłę. Na mocy każdego naturalnego i przyrodzonego prawa tą potomkinią powinnam być ja. Ale z jakiegoś kompletnie debilnego powodu, wygląda na to, że została nią moja kuzynka, Maga.

- To nie tak - wtrąciłam. Bo chociaż dziś w nocy zobaczyłam Branwen w swoim pokoju, uznałam, że w oparciu o własne doświadczenia, moja prapraprababka pewnie zgodziłaby się, że najlepiej zaprzeczać, że się jakieś magiczne zdolności posiada. - To nie ja.

Tory spiorunowała mnie wzrokiem.

- Nie przerywaj ceremonii - powiedziała.

- Ale to nie ja, Tory - przekonywałam desperacko. - Daj spokój, to jakieś głupoty. Skąd miałabym mieć jakieś magiczne moce? Wiesz przecież, że na tej ziemi nie ma człowieka, który miałby większego pecha ode mnie...

- Więc jak w takim razie wyjaśnisz Dylana i jego przywiązanie do ciebie? - warknęła Tory.

- To był zwykły przypadek.

- A Shawn?

- To twoja robota - odparowałam. - To przez ciebie wyleciał ze szkoły.

- Jasne - zarechotała Tory. - Ale wszyscy obwiniają ciebie. I co z Zachem?

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- No, Mago? Co. Z. Zachem.

I dokładnie wtedy wrócił gniew, który czułam wcześniej. Ten gniew, o którym Lisa powiedziała, że przyda mi się, kiedy nadejdzie właściwa pora.

- Powtarzałam ci to z milion razy - odparłam. - Zachowi się nie podobam. Jesteśmy tylko przyjaciółmi... A już i to pewnie nawet nie, przez ciebie i tę twoją głupią lalkę, więc...

Tory wstała i znów uniosła rękę, jakby mnie chciała uderzyć. Popatrzyłam na nią ostro, wyzywając ją wzrokiem, żeby chociaż tylko spróbowała. Gdyby podeszła do mnie o krok bliżej, kopnęłabym ją w twarz.

Ale nagle Lindsey powstrzymała ją, bo zaczęła jęczeć:

- Możemy już to mieć wreszcie z głowy? Głodna jestem okropnie. A wiesz co się dzieje, kiedy za bardzo spadnie mi poziom cukru we krwi.

Tory spiorunowała ją wzrokiem.

- Dobra - powiedziała.

I wzięła do ręki nóż. Wielki nóż - taki dekoracyjny, jakie kupuje się w sklepach, które

sprzedają gadzety z Władcy pierścieni, podobny do noży z filmu.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ten nóż i szlag mnie trafił. Miałam tego dość. Zerwałam się z krzesła - ale Gretchen znów mnie na nie popchnęła i przytrzymała obiema rękami, mocno naciskając na moje ramiona, kiedy się wrywałam. Widząc, że w ten sposób nie ucieknę, otworzyłam usta, żeby zacząć krzyczeć...

Ale Tory, która to przewidziała, wcisnęła mi w usta obie swoje balowe rękawiczki, skutecznie mnie kneblując.

- Przestań się wrywać, Mago - rozkazała; w sumie jak na nią dość łagodnym tonem. - Przecież tego chcesz, zapomniałaś? Zawsze chciałaś być po prostu zwyczajną osobą, prawda? No cóż, jak tylko utoczmy ci tyle krwi, żebym jej się mogła napić, twoje moce przejdą na mnie, a ty już nie będziesz się musiała nimi martwić. Z pewnych bardzo rzadko spotykanych grzybów przyrządziłam napar wygnania. Możesz go wypić i już nie będziesz się musiała obawiać pecha. Wszystkie moce, jakie odziedziczyłaś po Branwen, znikną. Ja je przejmę.

Okej. Zrobiło się kiepsko. Naprawdę kiepsko. Fakt, miewałam wcześniej pecha... Ale nie takiego, jak teraz. Musiałam się z tego wszystkiego jakoś wyplątać.

Ale jak? Byłam zupełnie bezradna. Gretchen miała sporo siły. Ten sznur wpijał mi się w rękę. Nie mogłam nawet krzyczeć. Co miałam robić?

Co robi człowiek, kiedy znika wszelka nadzieja i wszystko go zawodzi?

Jak to powiedziała ta kobieta ze sklepu dla czarownic? Tory nie zdoła zrobić mi nic złego, jeśli... jeśli... jeśli co? Dlaczego nie mogłam sobie tego przypominieć?

„Uznaj swoją siłę”.

Ale jak to zrobić? Jak miałam uznać coś, co od tak dawna przysparzało mi tylko kłopotów? No bo, popatrzcie tylko, co się stało z Dylanem. Pomyślcie tylko, co musieli przeżyć ludzie w szpitalu w noc, kiedy się urodziłam. Popatrzcie na to, co zaszło dzisiaj na balu. Nie mogłam uznać czegoś, co tylu ludzi skrzywdziło, czegoś, co od tak dawna uważałam za coś złego.

- Czekaj chwilę - wtrąciła nagle Lindsey. - Masz zamiar pić jej krew?

- A ty co myślałaś? - sarknęła Tory. - To rytuał krwi. Kretynko.

- No, ja wiem - wymamrotała Lindsey, blednąc jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. - Ale nie wiedziałam, że masz zamiar ją pić. Ja też muszę?

- Chcesz, żebym była prawdziwą czarownicą?! - ryknęła Tory. - Czy nie?!

- No cóż - powiedziała Lindsey. - Tak Chyba tak. Sama nie wiem. Ale naprawdę zmusisz ją, żeby wypila ten wywar z grzybów? A co, jeśli ona się pochoruje? Przecież one mogą być trujące.

- To nie ma znaczenia - uznała Tory. - I tak nikt jej nie uwierzy. Wszyscy pomyślą, że sama się chciała otruć po tym, co się stało na balu. A ja już wtedy będę miała jej moce, których ona nigdy nie doceniała i nawet nie umiała porządnie wykorzystać! A mama i tata będą mi jedli z ręki. A Zach pokocha mnie, nie ją. Poczekajcie, a same zobaczycie - dorzuciła już łagodniejszym głosem.

Ale ja jej prawie nie słyszałam. Bo myślałam: A jeśli ta kobieta z Uroków miała rację i wszystkie te okropne rzeczy, które mnie spotkały, powodował nie pech, ale mój lęk... Lęk, który obrócił się przeciwko mnie? Lęk przed tym, czym byłam naprawdę?

Lęk przed tym, kim byłam.

Magia mnie ocali. Branwen mnie ocali...

.. Jeśli uznam w sobie to, czego się boję.

I nagle umysł oczyścił mi się z wszelkich myśli. Pomyślałam o magii i o tym, jak ona może mnie uratować. Pomyślałam o księżycu, takim jasnym, wysoko na niebie, otoczonym poświatą. Pomyślałam o różach, które w całym ogrodzie właśnie zakwitły. Pomyślałam o Branwen i o tym, jak oddała mi mój wisiołek, o spokoju, jaki poczułam, kiedy ją zobaczyłam, uśmiechniętą, obok swojego łóżka.

I pomyślałam o Zachu, który był w sąsiednim domu. Wystarczyłoby, żeby wyjrzał przez okno. A wtedy zobaczyłby altanę... Zobaczyłby mnie.

- Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam ją utrzymać. - Głos Gretchen brzmiał tak, jakby się czegoś wystraszyła. Wcześniej tego nie zauważyłam. Ale teraz miałam wrażenie, że wyostrzają mi się wszystkie zmysły. Poczulałam zapach róż w powietrzu, taki słodki.

Obudź się, Zach. Spójrz na księżyc, Zach. Jestem tu, Zach. Jestem tu, w ogrodzie.

- Dobra. - Tory miała w głosie furię. - No to zamknij się i patrz, jak będę robiła swoje.

A potem Tory zaczęła „robić swoje”, to znaczy uniosła nóż, aż jego ostrze zabłysło w promieniach księżycy lejących się przez szklany sufit altany. Później zaintonowała:

- W imię Hekate, i Branwen, i wszystkich czarownic tego świata, odbieram tej kobiecie to, co prawnie należy do mnie.

Dała sygnał Lindsey, że ma mi przytrzymać nadgarstki nad kielichem - a Lindsey to zrobiła, chociaż usiłowałam je odsunąć, jednocześnie wrywając się z mocnego chwytu Gretchen.

A Tory, bez najmniejszego śladu wahania, zaczęła opuszczać trzymane w dłoniach błyszczące ostrze.

I wtedy właśnie zdarzyły się trzy rzeczy naraz. Po pierwsze, Lindsey puściła moje nadgarstki i zawołała:



- O mój Boże, Tory! Przecież nie chcesz chyba...

A ja uniosłam kolano i od spodu, jak mogłam najsilniej, kopnęłam w stół, przewracając szklany blat, który poleciał - z tym kielichem, świecami i miksturą z grzybów - prosto na Tory.

I z trzaskiem otworzyły się drzwi altany, a znajomy, męski głos huknął:

- Co tu się, do diabła ciężkiego, wyprawia?!

- Zach! - zawołała Tory, zrywając się na nogi. - O mój Boże! A co ty tu robisz? Jak miło, że wpadłeś!

Zach jednak chyba nie był w nastroju do towarzyskich pogaduszek. Może to przez szklany blat, który się zsunął i przytrzasnął rąbek sukienki Tory, którą teraz desperacko - ale ruchem jakby od niechcienia - usiłowała spod niego wyszarpać. A może przez ten nóż, który wciąż trzymała w dłoni, albo wywar z grzybów, który jej poplamiał całą sukienkę.

A może chodziło o pełne poczucia winy twarze Gretchen i Lindsey.

Albo o to, że byłam związana i zakneblowana, i leżałam niczym kupka nieszczęścia na posadzce altany.

W każdym razie, nie odpowiedział na pytanie Tory. Zamiast tego klęknął przy mnie i wyciągnął mi z ust knebel.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Pokręciłam głową. Chyba nie mogłabym nic powiedzieć, nawet gdybym chciała. Nie dlatego, że moja cioteczna siostra właśnie próbowała mnie zabić. Ale dlatego, że Zach przybiegł tu, żeby mnie ratować i zapomniał przedtem włożyć koszulę.

A zresztą może i Tory mnie zabiła, a ja umarłam i poszłam do nieba?

Z tym że jeśli to niebo, to czemu Lindsey płacze?

- Och, Zach, proszę cię, nie mów o tym państwu Gardinerom - zaczęła błagać. - Pani Gardiner pracuje w tym samym społecznym Komitecie w Sloan - Kettering, co moja mama. A ona mnie zabije, jeśli się dowie, że udawałam czarownicę.

I wtedy Tory wrzasnęła:

- Lindsey! Zamknij się! - A potem zaczęła bezładnie paplać.

- Chciałyśmy ją powstrzymać - mówiła. - Szczerze, jak przed Bogiem, Zach. Ale Maggie tak się zdenerwowała, no wiesz, tym co się stało... tym, że na balu zdemaskowałam ją jako czarownicę i tak dalej... że próbowała się zabić. Tak ją znalazłyśmy. Miałyśmy właśnie dzwonić na pogotowie...

- I sama się zakneblowała? - spytał ostro Zach. - I związała ręce? Wszystko pięknie, Tory. Ale ja słyszałem, co do niej mówiłaś, ty chora...

A potem Zach rzucił wiązanek bardzo brzydkich przekleństw. Takich, za które moja mama kazałaby mu zapłacić ćwierćdolarówkę za każde słowo, gdyby to było w domu, w Hancock.

- Boże - powiedziała Tory, wyraźnie wściekła. - Świetnie. Nie wierzysz nam. Jesteś po

jej stronie tylko dlatego, że rzuciła na ciebie miłosne zaklęcie. Jak się czujesz, wiedząc, że jesteś tylko ofiarą jej magicznych manipulacji?

„Nie - chciałam powiedzieć. - Nie słuchaj jej. Rzeczywiście użyłam magii. Użyłam magii, żeby cię tu sprowadzić, Zach. Ale po to, żebyś mi pomógł. Nie po to, żebyś mnie pokochał. Nigdy po to. To była jej lalka! To ona zrobiła tę lalkę!”

Ale nic się nie wydostało z moich ust poza jakimś charczącym odgłosem. Nie mogłam mówić, bo gardło miałam po tym kneblu z rękawiczek wysuszone jak piasek.

- Jedyna ofiara jaką tutaj widzę, to Maggie - oświadczył Zach twardym tonem. - Tory, co ci odbiło? Mogłaś naprawdę zrobić jej krzywdę.

- Tak... jasne. - Tory zaczęła teraz pociągać nosem. - Bierz jej stronę. Bardzo to miłe. Znam cię od przedszkola, ale proszę, bierz stronę dziewczyny, którą znasz od miesiąca...

Ale Zach nie słuchał.

- Oddaj mi ten nóż - rozkazał Tory. A ona w milczeniu mu go podała, podczas gdy Gretchen odezwała się autentycznie przestraszonym tonem:

- Naprawdę nie sądziłam, że to zajdzie tak daleko, Zach. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że Tory będzie chciała ją skrzywdzić. Kiedy nam o tym mówiła, zapewniła, że tylko ją lekko skaleczy. I że Maggie nie będzie miała pretensji, że już ma dość tego swojego pecha, czy coś takiego, i że chce się tego czegoś pozbyć i przekazać to Tory.

„Nigdy! Nigdy się nie wyrzeknę swojej mocy! Pogodziłam się z nią! Już się jej nie boję!” - chciałam zagrzmieć, ale z ust wydobył mi się tylko jakiś kolejny skrzek.

- I nie chodziło o pecha - teraz to Gretchen plotła trzy po trzy, - tylko o magię, a ona, Maggie, nie wiedziała, jak trzeba z niej korzystać. I że jeśli Tory napije się jej krwi, krwi Maggie, to ta cała lalka poskutkuje, a ty ją pokochasz tak, jak zawsze tego chciała.

- Gretchen! - wrzasnęła Tory. - Zamknij się!

Zach nożem Tory przeciął sznur, który krępował mi ręce. Dopiero kiedy pomógł mi wstać, zauważył - oboje zauważyliśmy - że jakoś nie bardzo możemy chodzić. Nie przez coś, co zrobiła mi Tory, ale przez ból kolana, którym tak mocno walnęłam w szklany blat stołu, że aż go przewróciłam.

- Chodź - szepnął Zach, ramieniem obejmując mnie w talii. - Oprzyj się na mnie.

I pomógł mi wykuśtykać z altany na świeże nocne powietrze ogrodu, gdzie Muszka przywitała nas cichym, pytającym: „Miau?”

„Nie możemy zostawić Muszki na dworze - próbowałam powiedzieć. - Alice się zdenerwuje, jeśli kotki nie będzie u niej w łóżku, kiedy się obudzi”.

Ale głos nadal miałam zachrypnięty po tym kneblu i udało mi się wykrztusić tylko:

- Muszka.

- Wiem - uspokoił mnie Zach. - Kiedy cię wprowadzę do środka, wrócę tu po nią. Nie martw się.

A potem zaczął stukać do drzwi i parę chwil później zaspanym głosem odezwała się Petra:

- Tak? Kto tam...? Och, Zach! Co ty tu... - I o wiele mniej zaspanym głosem dodała zaraz: - Maggie...

A potem światło księżycy znikło, a my znaleźliśmy się w suterenie, w przytulnym mieszkanku Petry, którego drzwi wychodziły wprost na ogród. Zach posadził mnie na kanapie, a ja miałam okazję przekonać się, że Willem jednak na niej nie sypia. Stał teraz w drzwiach sypialni Petry ubrany wyłącznie w bokserki i miał potężnie zdezorientowaną minę. Wyglądał niesamowicie słodko.

Chociaż nie tak słodko jak Zach, który miał na sobie tylko narzucone w pośpiechu dżinsy, których nawet nie zdążył zapiąć jak trzeba.

I ręce Zach miał pokaleczone. Co mu się stało? Ach. Róże.

- O mój Boże - mówiła Petra. - Co się stało?

Róże. Zach pokaleczył się o róże, kiedy przechodził przez mur.

Ale jak się okazało, Petrze nie chodziło o niego.

- Nic jej nie będzie. Potrzeba jej tylko trochę wody - powiedział Zach. A potem dodał jeszcze trzy słowa tonem tak zimnym, że aż zmroziły mi serce: - To była Tory.

- Jej nadgarstki...

- Związały ją - wyjaśnił krótko Zach.

- O mój Boże. Trzeba zbudzić Gardinerów - stwierdziła Petra.

- Nie! - odezwał się czyjś ostry głos. I wtedy zobaczyłam, że Tory przyszła tu za nami z altany.

- Petro, nie rób tego! - zawołała Tory. Willem zapalił przed chwilą górne światło i widać było jej szeroko otwarte oczy osoby na skraju hysterii. Stała w tej swojej wymazanej magiczną miksturą sukni balowej i wyglądała jak Kopciuszek, do którego dotarło, że dwunasta już wybiła. - Nie mów mamie i tacie! Maga mi mówiła, że chce się pozbyć swoich mocy. Mówiła mi, że sobie z nimi nie radzi... Zmęczona była tym, że ma ciągle pecha. Próbowałam jej tylko pomóc. Naprawdę.

- Mocy? - spytał Willem. - O jakich mocach ona mówi?

- Tory - powiedziała Petra, przyklękając koło mnie i podając mi szklankę wody, którą natychmiast wypiałam do dna. - Nie teraz.

- Zaczekaj - stęknęła Tory. Zaczęła płakać. Patrzyłam, jak łzy płyną po jej ładnej twarzy. - To była tylko taka zabawa. Nic więcej. Maga się zgodziła. Podobało się jej.

- Och, czyżby? - Zach mówił twardym głosem. - A ten zdechły szczur? Też jej się podobał? I to, że wszyscy w szkole myślą, że jest kapusiem, chociaż to ty doniosłaś, nie zaprzeczaj! na Shawna, własnego chłopaka? A co z tym numerem, który odwaliłaś dzisiaj na balu, sprowadzając tamtego faceta aż z Iowy? Widziałem, jak bardzo jej się to podobało. - Głos Zacha ociekał ironią. - No i kto nie lubi, jak go wiążą i kneblują?

- Mówiłam ci! - wrzasnęła Tory, która teraz już naprawdę dostała hysterii. - To była tylko zabawa! Mago, powiedz im! Powiedz im, że to była tylko zabawa.

Popatrzyłam na moją kuzynkę, stojącą w schludnym, ciepłym salonie Petry, tak nieprawdopodobnie śliczną. Zawsze była tą ładniejszą z nas dwóch.

Ale ja jej nigdy z tego powodu nie znienawidziłam. Pogodziłam się z tym, tak jak człowiek się godzi z tym, że jego siostra jest od niego wyższa, a brat lepiej gra w koszykówkę.

Tory natomiast nigdy nie zdołała zaakceptować mnie i tego, że ja miałam coś, czego ona nigdy, przenigdy nie będzie miała.

W sumie, dlaczego miała akceptować we mnie coś, czego ja sama przez tak długi czas nie byłam w stanie zaakceptować?

Ale nie teraz. Teraz wszystko się zmieniło. Wszystko.

A przede wszystkim - ja.

- Powiedz im - błagała mnie Tory ze łzami w oczach. - Powiedz im, że to była tylko zabawa, Mago.

- Nie - oświadczyłam twardo. I tym razem, kiedy się odezwałam, wiedziałam, że wszyscy zrozumieli, co mówię.

A wtedy Petra, blada, ale stanowcza, zawróciła i ruszyła w stronę schodów - a Tory pobięła pędem za nią, wrzeszcząc:

- Nie! Petra! Ja to mogę wyjaśnić! Czekaj!

A Willem, z miną skonfundowaną, ale zdecydowaną, poszedł za Tory, najwyraźniej po to, żeby się upewnić, że ona nie zrobi nic złego Petrze.

A ja zostałam sam na sam z Zachem.

Byłam pewna, że pokaz rycerskiej galanterii w wykonaniu Willema musiał budzić jego zazdrość, więc obróciłam się do Zacha i powiedziałam:

- Przepraszam cię.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej zdziwiony.

- Przepraszasz? Za co? Przecież nic tu nie zawiniłaś.

- Nie chodzi mi o to - wyjaśniłam. - Chodzi mi o Petrę. I Willerna - Miałam zamiar ci powiedzieć. Ale jakoś nigdy się nie złożyło. No wiesz. - A kiedy nadal patrzył na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem, zaczęłam tłumaczyć dalej: - Zach, przepraszam cię. Ale obawiam się, że oni chyba w najbliższej przyszłości ze sobą nie zerwą. Ona naprawdę go kocha. A on kocha ją.

Mina Zacha, który nadal na mnie patrzył, zmieniła się z zaskoczonej na taką, którą już skądś znałam. To była ta sama mina, jaką zrobił tamtego dnia na wuefie - połączenie irytacji i rozbawienia.

- Maggie, Petra jest mi obojętna - oznajmił.

- Ale co ty mówisz... jest ci obojętna? - spytałam zaskoczona. - Kochasz się w niej.

- Nie - zaprzeczył Zach. - Nie, nieprawda. Nigdy się w niej nie kochałem.

- Ale jak to? - Usiadłam nieco bardziej prosto, a potem skrzywiłam się, bo uraziłam sobie przy tym ruchu potłuczone kolano. No ale to była taka ważna sprawa, że nie mogłam nad nią przejść do porządku dziennego. - Powiedziałeś mi, że ją kochasz...

- Nie - powtórzył Zach. - To ty mi powiedziałaś, że ja ją kocham. Bo tak powiedział ten idiota Robert. A ja tylko wspomniałem, że raz kiedyś był taki moment, kiedy Petra wydawała mi się urocza. To ty ciągle o tym mówiłaś. Ale, prawdę mówiąc, jest ktoś inny, kto już od jakiegoś czasu wydaje mi się o wiele bardziej uroczy.

- Naprawdę? - Spojrzałam na niego, zbita z tropu... I zaniepokojona. - Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Faktycznie, nie - przyznał. - Uznałem, że łatwiej po prostu pozwolić ci dalej wierzyć, że kocham się w Petrze. Bo widziałem, że nadal przeżywasz to, co ci się przytrafiło tam, w Iowa, z tamtym facetem. Uznałem, że nie jesteś gotowa...

- Gotowa? - Pokręciłam głową. Co on wygaduje? - Ale na co gotowa?

- Na to, żebyś powiedział ci prawdę - dokończył Zach. Patrzył na mnie bardzo intensywnym wzrokiem, a jego zielone oczy wydawały się tak jasne, jak świecący na dworze księżyc. - Że Petra przestała mi się podobać w tej samej chwili, w której zobaczyłem ciebie. - A kiedy nadal patrzyłam na niego, nic nie pojmując, dodał: - Tam, w tej cholerniej altanie... Tego dnia, kiedy przyjechałaś. Nie mów mi, że nie pamiętasz.

- Ja? - Nadal miałam wrażenie, że na pewno źle go zrozumiałam. - Ja?

- Oczywiście, że ty - powiedział z niedowierzaniem. - Maggie, jak mogłaś tego nie zauważyć? Tory to widziała: jak sądzisz, dlaczego tak się wściekła? Przez cały czas mówiłaś jej, mnie, wszystkim znajomym, że ty i ja jesteśmy wyłącznie przyjaciółmi, a „wyłącznie twój

przyjaciół” to ostatnia rola, jaką chciałem przy tobie odgrywać. I Tory to wiedziała. Wiedziała to samo, co wszyscy inni... wszyscy inni poza tobą, najwyraźniej. Wystarczyło tylko na mnie spojrzeć. Wiedziała, że szaleję na twoim punkcie. - Umilkł i popatrzył na mnie. - Ty mi nadal nie wierzysz, prawda?

Jak miałam mu uwierzyć? Jak to możliwe, że coś takiego spotkało mnie - akurat mnie?

- Tego się właśnie obawiałem - westchnął. - Jak widzę, nie zostawiasz mi żadnego innego wyboru.

- Żadnego wyboru niż co? - pisałam przestraszona.

- Niż to - szepnął.

I zanim się połapałam co się dzieje, pocałował mnie.

Jak sądzę, ten nasz pierwszy pocałunek był nieco niezręczny. No bo, dobra, może ktoś taki jak Tory, o lata świetlne przede mną w kwestii wyrobienia życiowego, umiałby tak się całować i nie stracić przy tym kompletnie głowy.

Mnie się to jednak nie udało. To nie tak, że on mnie porwał w ramiona i przycisnął do siebie w szalonym uścisku, jak Dylan za tym pierwszym razem, kiedy się całowaliśmy. Łagodniejszego pocałunku niż ten Zacha nie umiałabym sobie wyobrazić. Prawie mnie nie dotykał poza miejscem, gdzie jego palce lekko spoczywały na moich ramionach.

Ale chociaż pocałunek był delikatny, trwał długo. Można powiedzieć, że się z nim nigdzie nie śpieszył.

A ja ten pocałunek poczułam aż w czubeczkach palców u nóg.

Och, jak ja go poczułam.

Kiedy znów uniósł głowę, żeby na mnie popatrzeć, ledwie to zarejestrowałam. A to dlatego, że przed oczami latały mi ptaszki i gwiazdki, tak byłam oszołomiona dotykiem tych jego warg na moich ustach.

Dzięki Bogu, że siedziałam. Gdybym stała, kiedy mnie pocałował, to na pewno bym się przewróciła. Czułam, że się roztapiam. Od środka.

- A teraz - zapytał tym swoim głębokim, cichym głosem - teraz mi wierzysz?

Ale mnie ciężko było zdobyć się na jakąś odpowiedź, tak bardzo odrętwiały mi usta.

- No dobra - powiedział Zach, kiedy nie odpowiedziałam od razu. - To spróbuję jeszcze raz.

I pochylił się, żeby mnie znów pocałować.

A tym razem, kiedy uniósł głowę, przed moimi oczami latały ptaszki, gwiazdki i jeszcze niewielkie tęcze. To było zupełnie tak, jakby ktoś w stanie nieważkości rozsypał

paczkę płatków Lucky Charms.

- No i co? - spytał Zach. - Wierzysz mi teraz, że to ciebie kocham, że to ciebie zawsze kochałem, od tego dnia, kiedy mnie całego oplułaś mrożoną herbatą z Long Island? Wierzysz mi, że już jestem zmęczony tym, że nie mogę się z tobą całować? Wierzysz, że naprawdę mam już dość bycia „wyłącznie przyjaciółmi”?

- Uhm - mruknęłam, kiwając głową jak idiotka. A potem objęłam go ramionami za szyję i przyciągnęłam do siebie. I znów go pocałowałam.



Okazało się, że kolano mam mocno otarte, ale nie zwichnięte. Lekarz powiedział, że siniak sięga głęboko, prawie do kości, ale że w końcu zblednie. Kiedyś.

Trochę tak jak, miałam nadzieję, zbledną moje wspomnienia tego, co zaszło w nocy w ogrodowej altanie.

No cóż, nie wszystkie wspomnienia tej nocy, oczywiście.

Kiedy wróciłam do Uroków, podziękować Lisie za wszystko, co dla mnie zrobiła, i opowiedzieć jej, co się zdarzyło - dlaczego, na przykład, chodzę o kulach - uśmiechnęła się i stwierdziła:

- A więc ci się udało.

Nie musiałam pytać, o co jej chodzi.

- Tak - powiedziałam. - Udało się.

A ona kazała mi spać z lawendą pod poduszką. Że niby będę miała słodsze sny.

Nie zrobiły się słodsze.

Ale pościel zdecydowanie ładniej pachnie.

Pomógł mi, ostatecznie, czas. Czas i, oczywiście, przyjaciele.

Ciocia Evelyn i wujek Ted byli wstrząśnięci, kiedy dowiedzieli się, co Tory mi zrobiła. Ale była, mimo wszystko, ich dzieckiem, więc, no cóż, musieli stanąć po jej stronie.

Nawet jeżeli wyszło na to, że jest tak kompletnie pomyłona.

Mogłam to zrozumieć. Przecież to nie tak, że ona próbowała mnie zabić.

Jestem prawie pewna.

Tory chciała tylko wypić kilka kropel mojej krwi, żeby razem z nią wchłonąć to, co w jej przekonaniu ja odziedziczyłam, a ona nie, i zmusić mnie do wypicia jakiejś obrzydliwej mikstury, którą sporządziła z grzybów znalezionych na cmentarzu, a potem mnie wypuścić.

Przynajmniej tak opisała rodzicom to, co się działo, zanim w całą sprawę wtrącił się Zach.

Ja jej raczej wierzę. No bo, taką samą historię opowiedziały swoim rodzicom Gretchen i Lindsey.

Ale, oczywiście, raczej mało prawdopodobne, żeby się przyznały, że uczestniczyły w próbie zabójstwa.

W sumie, pozostawało mi w tym wszystkim tylko jedno pytanie... No cóż, to, które zadałam Zachowi następnego dnia, kiedy wróciłam do domu z gabinetu lekarskiego z okładem z lodu na kolanie i siedziałam w salonie przed telewizorem, podczas gdy

Gardinerowie byli u terapeuty Tory... Z pacjentką, oczywiście.

A pytanie brzmiało następująco: Skąd wiedział? To znaczy o tym, co się działo w ogrodowej altanie.

- Nie spałem - odpowiedział. - Nie mogłem zasnąć. - Posłał w moją stronę cierpki uśmiezek. - Myślę, że wiesz, dlaczego.

- Te lalkę zrobiła Tory - powtórzyłam po raz enty - nie...

- ..nie ty. Wiem. Gretchen powiedziała wczoraj w nocy to samo, zapomniałaś? W każdym razie, nie spałem, i... Nie bardzo pamiętam... Aa, usłyszałem miauczenie kota. To musiała być Muszka...

- I była - potwierdziłam. Muszka teraz siedziała spokojnie u Alice, której oszczędzono informacji, że jej ulubienicę wykorzystano w taki niecny sposób.

- Właśnie. No więc potem wyjrzałem przez okno i zobaczyłem światełka w altanie. I po prostu pomyślałem, że to... dziwne. No wiesz, że ktoś pali świece w altanie. I że Muszka o tak późnej porze jest poza domem. Więc zszedłem na dół i przeskoczyłem przez mur między naszymi domami, żeby to sprawdzić. A kiedy podszedłem, usłyszałem te idiotyzmy, które wygadywała na twój temat Tory. A potem wszedłem do środka i zobaczyłem... No, sama wiesz, co zobaczyłem.

Pokiwałam głową. Tak, wiedziałam, co zobaczył. I co usłyszał.

Muszkę, owszem. Ale mnie też. Usłyszał mnie. Nie wiedział tego. Prawdopodobnie nigdy tego nie będzie wiedział. Ale nic nie szkodzi. Na razie.

- Ale jeśli przez cały czas wiedziałeś, że to nie ja zrobiłam tę lalkę - dociekałam - czemu nic nie powiedziałaś? To znaczy, na balu?

- Nie zdążyłem, wybiegłaś tak szybko. Próbowałem zobaczyć się z tobą później, ale Petra powiedziała mi, że już poszłaś spać. W każdym razie, wiedziałem, że nie zrobiłaś tej lalki - ciągnął - bo cię znam. Ty zawsze mówisz prawdę... no cóż, pomijając tę bajeczkę o kupowaniu książki na urodziny twojej siostry, Courtney. - Zarumieniłam się, miałam nadzieję, że ładnie. - Ale w końcu sama się do tego przyznałaś. Przyznałaś się też, że zrobiłaś lalkę Dylana, a łatwo było dostrzec, że tych dwóch lalek nie uszyła ta sama osoba.

No ja myślę. No bo, ja leciutko dostałam szóstkę z szycia w siódmej klasie. A lalka Zacha zrobiona przez Tory... No cóż, widać było, że sklecił ją ktoś, kto nigdy w życiu nawet nie obrębił ściereczki do naczyń.

- Więc wiedziałem, że nie próbowałaś rzucać na mnie miłosnych zaklęć za pomocą jakiejś głupiej lalki - ciągnął Zach. - Ale... No cóż, wcześniej tego samego dnia znalazłem w swoim plecaku coś dziwnego...

I wyciągnął z kieszeni dzinsów małą torebkę, którą zrobiła dla mnie Lisa.

- To dla ochrony - powiedziałam. - Martwiłam się, że Tory może próbować ci coś zrobić. Powinieneś nosić to przy sobie, a wtedy nie spotka cię nic złego.

Popatrzył na torebkę i pokiwał głową.

- Podejrzywałem coś takiego - przyznał, wsuwając ją z powrotem do kieszeni. - Ale nie byłem pewien.

I wtedy zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Zaraz... Chyba nie myślałeś, że to jakieś zaklęcie miłosne, czy coś takiego, prawda? - zapytałam, oblewając się pąsem.

- No cóż - odparł. - Faktycznie jakoś nie bardzo mogłem sobie ciebie wybić z głowy. Więc przemknęło mi przez myśl, że może jednak...

- Zach! - zawołałam, siadając prosto, i uraziłam się w kolano. - Ja bym nigdy... Mówiłam ci, że Dylan to była dla mnie nauczka! Nigdy, przenigdy, jak długo żyję, nie rzucę już żadnego miłosnego zaklęcia!

- Wiem - rzekł ze śmiechem. - Pokochałem cię, zanim jeszcze miałaś szansę rzucić na mnie jakiegokolwiek zaklęcia. Pokochałem cię przy: „Nigdy nie byłam na Long Island”.

Nie mogłam zetrzeć z twarzy durnego, uszczęśliwionego uśmiechu.

- A ja ciebie przy: „Lubię foki” - wyznałam. Uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

- A poza tym - ciągnął - sama wiesz, że ja nie wierzę w żadne takie czarodziejskie abrakadabra. Mówiłem ci to.

- Wiem, że nie wierzysz. Ale musisz przyznać... - Jak miałam to ująć? - Że ta cała historia z Dylanem...

- Sama to powiedziałaś. Że ten facet tylko czekał, żeby się zakochać, a ty znalazłaś się pod ręką we właściwej chwili.

- Tak - zgodziłam się. - Ale jak wyjaśnisz to, że cię zepchnęłam z drogi tamtego kuriera na rowerze?

- Tak samo. Właściwe miejsce, niewłaściwy czas - ocenił Zach.

- A wczorajsza noc? Zach, jak w ogóle zdołasz wyjaśnić to wczorajsze?

- A którą część? Tę, w której twoja porębana kuzynka próbowała utoczyć ci krew, żeby przejąć odziedziczoną po jakiejś zmarłej babce magiczną moc? Czy tę część, w której przyszedłem ci na pomoc?

- Tę drugą część - drażyłam. - Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, żeby akurat w tamtym momencie wyjrzeć przez okno?

- Mówiłem ci - powiedział. - Usłyszałem kotkę Alice. Kotkę? Czy mnie?

Czy... Branwen?

- W każdym razie... - Zach wzruszył ramionami. - Teraz jesteśmy kwita, rozumiesz. Już nie jestem ci winien dozgonnej służby. Ty mnie uratowałaś od potrącenia przez rower, a teraz ja cię ocaliłem przed szaloną cioteczną siostrą. A skoro mowa o szaleńcach, gdzie się podział ten cały Dylan, tak na marginesie?

- Dziś rano Gardinerowie wsadzili go do powrotnego samolotu do Iowy - powiedziałam z westchnieniem.

Zrozumiałam, że nigdy nie zmuszę Zacha, żeby przyznał, że może istnieć coś takiego jak magia. Och, no cóż. Sam się kiedyś wreszcie przekona. To znaczy, jeśli wystarczająco długo przy mnie wytrwa. Co do tego wątpliwości nie miałam.

- Okazało się, że Dylan zatrzymał się w hotelu Waldorf - ciągnęłam. - Tory skorzystała z jednej ze swoich kart kredytowych, żeby go tu ściągnąć, wynajmując mu pokój, jako dodatek do biletu lotniczego, który mu kupiła. Zamawiał sobie różne rzeczy do pokoju i naoglądał się płatnej telewizji za jedyne pięćset dolarów.

- Łau - mruknął Zach. - Ty to już wiesz, jak sobie dobrać faceta.

Rzuciłam w niego jedną z poduszek z kanapy. Złapał ją ze śmiechem i stwierdził:

- Chyba ci lepiej. - A potem rozsiadł się na kanapie obok mnie, uważając na moje potłuczone kolano, i pochylił się nade mną, tak że jego twarz znalazła się zaledwie o parę centymetrów od mojej. - Hej, Maggie - powiedział o wiele ciszej.

Spojrzałam na jego usta.

- Tak?

- Mam wrażenie - teraz i Zach patrzył już na moje usta - że nikt cię już nigdy nie będzie nazywał pechową Magą. Coś mi się zdaje, że od teraz twoje szczęście zupełnie się odmieni...

A potem mnie pocałował.

Zadziwiająco, ale okazało się, że Zach miał rację. Co do tego, że po tym wszystkim moje szczęście się odmieni. Na przykład to stypendium Liceum Chapmana, o którym Zach mi powiedział?

No cóż, poszłam na przesłuchanie.

I dostałam je.

Potem, oczywiście, był niezręczny moment... Kiedy musiałam zapytać ciocię i wujka, czy mogę u nich mieszkać przez kolejny rok szkolny.

Ale oni zareagowali w sposób, który jasno wskazywał, że nawet im na myśl nie przyszło, że mogłabym w ogóle chcieć wracać do Hancock na ostatni rok szkoły. Stałam się

już członkiem rodziny - to znaczy, ich rodziny - i mogłam u nich zostać tak długo, jak chciałam.